

TEKSTY CYWILNE

PRZEZ

LEOPOLITE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1983

Handwritten text, possibly a signature or date, located in the top right corner of the page.

TEKSTY CYWILNE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 386

ISBN 2-7168-0042-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

TEKSTY CYWILNE

PRZEZ

LEOPOLITE

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1983

O D W Y D A W C Y

„Teksty cywilne przez Leopolitę” — taki jest tytuł tomiku, który ukazał się w bieżącym roku w krajowym wydawnictwie podziemnym „In Corpore”. Na książkę składa się 13 tekstów, z których siedem było przedtem drukowanych w *Kulturze*, w tomie „Ruch Oporu”, w serii wydawniczej PPN oraz w *Głosie*, *Kierunkach* i *Kosie*; pięć dalszych, a mianowicie: „Dwa okresy”, „Mundury i garnitury”, „List do A. Smolara i S. Blumsztajna”, „Widzieć jasno i bez zachwycenia” oraz „Łyżka dziegciu dla śpiącej królowny” ukazało się po raz pierwszy, albo po raz pierwszy w całości, w wymienionym tomie. Tekst 13-ty pt. „Wyznania jawne i ukryte” Leopolita napisał specjalnie jako zakończenie książki. W książce wszystkie teksty są datowane i ułożone chronologicznie.

Pozostawiamy ten sam tytuł i układ książki z tą różnicą, że zakończenie pierwszego wydania, tj. tekst „Wyznania jawne i ukryte” dajemy jako wstęp, gdyż od razu da on Czytelnikowi pojęcie o całości.

Ponadto obecne wydanie zawiera szereg tekstów późniejszych, dotąd nie publikowanych, z których ostatni nosi datę 22 października 1983; zamieszczamy je także chronologicznie.

WYZNANIA JAWNE I UKRYTE

Kiedy nagle na początku marca 1983 r. okazało się, że ktoś chce wydać zbiór tekstów Leopolity, pomyślałem sobie: no to wpadłeś, będziesz musiał napisać ten szkic, z którym nosisz się od miesięcy i dla którego wymyśliłeś nawet tytuł — „Wylatywanie o zmierzchu”. I siadłem nad ową słynną kartką niezapisanego papieru, która w moim przypadku jest zapisana, posługuję się bowiem odwrotnymi stronami starych maszynopisów, cudzych zresztą.

Siedziałem tedy nad tą zapisaną kartką i im dłużej to trwało, tym lepiej wiedziałem, że tekstu „Wylatywanie o zmierzchu” nie napiszę. Pomyślałem też sobie, że jeśli ma zaistnieć czytelnik tego tomiku, to winienem mu jest kilka wyjaśnień. Och, bynajmniej nie na temat tego, co dotychczas przeczytał. Te teksty albo się obronią — albo nie, ale muszą to zrobić same. Raz je napisawszy, ja im nie mogę pomóc. Nie moją też jest rzeczą wskazywać czytelnikowi, gdzie miałem rację, a gdzie się myliłem. A już zupełnie bez sensu byłoby tłumaczenie, co miałem na myśli pisząc to czy owo. Na przykład co miałem na myśli, pisząc w *Głosie*, że to my musimy być odpowiedzialni za kraj — bo ta władza jest zupełnie nieodpowiedzialna, lub że „Solidarności” grozi brak krytyki od wewnątrz, spowodowany kompleksem „oblężonej twierdzy”. Takie tłumaczenie nie miałoby sensu, bo jeśli nie potrafiłem dostatecznie jasno wyłożyć swojej myśli jesienią 1980 r., to skąd gwarancja, że potrafię to uczynić wczesną wiosną 1983 r.

Mówiąc o wyjaśnieniach należnych czytelnikowi, mam na myśli co innego.

Po pierwsze chciałbym zwrócić jego uwagę na fakt, że to, co składa się na tomik „Teksty cywilne” jest pewnym szcze-

gólnym gatunkiem sztuki słowa, zwanym piśmiennictwem politycznym. W każdym razie autor ma nadzieję, że udało mu się osiągnąć pewien poziom sztuki słowa. A jeżeli tak, to byłby rad, gdyby choć kilku czytelników z tego punktu widzenia zechciało ocenić tych kilkadziesiąt stron. Znaczy to, że mieliby owi czytelnicy powiedzieć nie tylko, czy się z Leopolitą zgadzają czy nie, lecz co sądzą o pisarskiej robocie tegoż. A to dwie różne sprawy.

Od dwóch lat niemal każdy zabierający głos czy to w prasie pozacenzuralnej, czy, powiedzmy, na łamach *Kultury* pisze o polityce, a pisarzy politycznych jest niewielu. Na mój gust Socjusz, Stefan Kisielewski, Maciej Poleski, kilku autorów z 37/38 i 39 nr. *Głosu*. O paru innych można by się jeszcze pospierać, ale zważywszy ilość zapisanego papieru — i tak niewielu. I żaden z nich (czy z nas) nie sięga rangi Mieroszewskiego, nie marząc już o Orwellu. Namnożyło się natomiast dziennikarsko-politycznych bufonów, nie mówiąc już o grafomanach specjalizujących się w martyrologii oraz jawnych przypadkach demencji, szczególnie widocznych na łamach pisma *Niepodległość*. By nie być podejrzanym o tchórzostwo, powiem, że za czołowych proroko-bufonów uważam Bratkowskiego i Kuśmierka.

Z pisarzem politycznym możemy się zgadzać lub nie, ale nadto wypada nam powiedzieć, co sądzymy o jego pisarstwie. Przykładowo: poglądy polityczne de Gaulle'a były mi obce, a jego złudzenia na temat „odwiecznej Rosji” uważam za wręcz szkodliwe. Co więcej, poetyka wypowiedzi politycznej de Gaulle'a obca jest moim gustom i skłonnościom. I „razem z tym wszystkim” sądzę, że należał on do najwybitniejszych europejskich pisarzy politycznych.

Przykład de Gaulle'a, przez zaprzeczenie, prowadzi do drugiego z kolei wyjaśnienia.

Generał-prezydent był przede wszystkim politykiem i jedynie przez przypadek — jeśli wolno tak powiedzieć — wybitnym pisarzem politycznym. Dość często jednak pisarze tacy nie są działaczami, w organizacjach politycznych czy społecznych — jeśli w ogóle do nich należą — nie zajmują ważnych stanowisk, nie podejmują decyzji, nie wydają poleceń. Ich rola polityczna, jeśli ją w ogóle spełniają, polega na czym innym: skłaniają do myślenia. Czasem komplikują sprawy z pozoru proste, czasem pokazują, że komplikacje są pozorne a sprawy w istocie proste. Pisarza politycznego nikt nie musi słuchać; jeśli jest

dobrym, tzn. między innymi inteligentnym pisarzem, ludzie chcą go czytać nawet wtedy, gdy ich złości czy denerwuje. Może przede wszystkim wtedy. Z faktu, iż pisarz nie dysponuje żadną władzą wykonawczą, lecz jedynie umiejętnością perswazji wynika — w moim przeświadczeniu — postulat zwielokrotnionej odpowiedzialności za słowo. Bo tylko za słowo pisarz może i powinien być odpowiedzialny. Nie znaczy to, że ma być zawsze śmiertelnie poważny lub że nie wolno mu korzystać z takich chwytów jak przesada, jednostronność ujęcia problematyki, złośliwy argument. Korzystając jednak z tych uprawnień rzemiosła, nie powinien, nie wolno mu przekraczać linii. Tej trudnej do nazwania a jednak wyraźnej linii dzielącej przesadę jako chwyt od kłamstwa, jednostronność od prostactwa, złoliwość od paszkwilantstwa. Szczególnym aspektem tej odpowiedzialności za słowo jest jej niepodzielność. Za to, co napisałem, jestem odpowiedzialny ja i tylko ja. Nie mogę tłumaczyć się tym, że zostałem wprowadzony w błąd lub że czegoś nie wiedziałem, bo łatwowierność i niewiedza to moja wina, nie mówiąc o tym, że są to mankamenty pracy umysłowej dyskredytujące autora.

Tak jest na całym świecie, przynajmniej przy założeniu, że pewne postulaty moralności mają charakter absolutny. Dlatego uważamy, że Passent, Krasicki czy Koźniewski postępują niemoralnie, choć być może oni uważają, że ich te zasady moralne nie dotyczą, bo mają jakieś inne, pozwalające im pisać to, co piszą. Ale w dzisiejszej Polsce uprawianie pisarstwa politycznego wiąże się również z odpowiedzialnością karną, co stawia piszących przed specyficznym dylematem moralnym. Rzecz w tym, że dotychczasowa polityka represyjna komunistów godzi nie tyle w piszących, co w drukarzy i kolporterów. Prawdą jest, że drukarze i kolporterzy to ludzie dorośli, którzy wiedzą co robią i robią to dobrowolnie. Prawdą jest, że w społeczeństwie podziemnym, jak w każdym innym, musi istnieć społeczny podział pracy. Prawdopodobnym nadto jest, że jutro wspomniana polityka represyjna może ulec „wyrównaniu” czy nawet „odwróceniu”. Niemniej dziś, godząc się na publikowanie moich tekstów czy to w gazetach, czy w tej oto książeczce, wchodzę w opisaną powyżej sytuację. I nie wolno mi tego ukrywać ani przed sobą, ani przed czytelnikami, ani przed wspomnianymi drukarzami i kolporterami.

Tak oto, od problemów ogólnych i łatwych do rozwiązania, przynajmniej na papierze (odpowiedzialność za słowo) przeszedłem do problemów konkretnych, trudnych nawet na papie-

rze (art. 12 Ustawy z 18.XII.1982 r. dot. art. 273 § 2 kk i inne).

Ponad 30 lat temu Orwell w rozmowie z poetą Stephenem Spenderem powiedział, że z komunistami nie należy polemizować — należy po prostu pisać swoje; a co najdziwniejsze, dodał, czasami coś do niektórych z nich dociera. Dyrektywa ta wydaje mi się szczególnie trafna dziś w Polsce. Przyznam, że polemika z „czerwonym” nudzi mnie śmiertelnie. Uważam, że należy pisać to, co ma się do powiedzenia, nie bacząc na to, co napisali czy mogą napisać w prasie oficjalnej Machejek, Sandauer, Irena Szewińska czy Jan Lew. Intellektualnie interesująca, społecznie pożyteczna może być natomiast polemika między nami, tj. wewnątrz ruchu oporu. A tu działa i dzieje się mało. Najpierw dlatego, że ludzie siedzieli w obozach dla internowanych lub ukrywali się, teraz zaś część z nich siedzi w więzieniach i zagrożona jest ciężkimi wyrokami, a inni nadal się ukrywają. Ale prawdę mówiąc przyczyny te — acz ważne — nie wydają mi się *de facto* najważniejsze. Polemik nie było, bo najpierw działał kompleks „obłężonej twierdzy”, potem zupełna nieświadomość rozmiaru porażki, wreszcie przygnębiające poczucie „i tym razem przegranej”. A nad każdym z tych okresów ciąży dziedzictwo komunizmu: przerażający brak kultury polemiki.

W każdej sytuacji — powiada pewien mój znajomy — trzeba przede wszystkim dodawać ludziom otuchy. Brzmi to arcyszlachetnie; rodzi się jednak pytanie: jeśli wszyscy będziemy się zajmowali dodawaniem sobie wzajem otuchy, to kto będzie w tym czasie myślał? Może skorzystajmy z tego, że mamy Kościół, dla którego dodawanie otuchy jest jednym z pierwszych obowiązków? Nie żeby jedynym, ale takim niezbywalnym.

I tu od razu problem. Bo to jest problem: Kościół i zdelegalizowana „Solidarność”, Kościół i „opozycja”, Kościół i ruch oporu. Niewierzący, należałem do tych, którzy na początku listopada ub.r. bronili episkopatu. Jeżeli ktoś — mówiłem — utożsamiał „Solidarność” z Kościołem, to pretensje o to, że Kościół nie utożsamiał się z „Solidarnością” może mieć tylko do siebie. Jeśli ktoś myślał, że Kościół może pełnić funkcję inną niż funkcja moderatora, to po prostu, niezależnie od swej wiary czy niewiary, nie rozumie czym jest Kościół, a nadto nie zna jego dziejów. Ale rewersem, odwrotną stroną problemu jest, że po to, by być moderatorem, trzeba mieć kogo moderować. Bo jak już nie będzie kogo moderować, to „czerwony” najwy-

czajniej w świecie zabierze się do Kościoła. Z czego może nie wszyscy biskupi zdają sobie sprawę.

Nie mam w tym trudnym przedmiocie żadnych recept i nie sądzę, by można je było wymyślić za biurkiem. To musi się „utrzeć” w życiu, a więc czasami w kwasach. Z góry przyjąć można jedno tylko, oczywiste chyba założenie: sfera działalności Kościoła i sfera działalności ruchu oporu, nawet jeśli przepojone są tymi samymi zasadami moralnymi, nie są, nie mogą i nie powinny być tożsame. (By uniknąć nieporozumień: nie zaliczałem się i nie zaliczam się do żadnej „lewicy laickiej”, chociażby dlatego, że nie wiem, co by to miało być).

Napisałem przed chwilą, że intelektualnie płodna i społecznie pożyteczna może być tylko polemika wewnątrz ruchu oporu. Winienem dodać: nie należy przez to rozumieć jedynie sporów między poszczególnymi ugrupowaniami czy tendencjami, ale również krytykę pewnych postaw czy przeświadczeń podziela-nych przez znakomitą większość gazetek, czasopism, działaczy.

Na przykład: ponieważ rządy komunistów w Polsce narzucone zostały przez jałtański dyktat i przy pomocy obcych wojsk, ponieważ komuniści utrzymują się przy władzy w oparciu o siłę policji i wojska oraz dzięki groźbie sowieckiej interwencji, a „za to” wbrew woli większości społeczeństwa, przeto, twierdzi się, PRL jest tworem bezprawnym, zaś rząd komunistyczny rządem okupacyjnym. Otóż przesłanki tego rozumowania są prawdziwe — konkluzja nie. Pomijam międzynarodowe aspekty całej sprawy, jak to, że prawny status władzy komunistycznej w Polsce uznawany jest przez większość rządów świata, bo na co dzień z ONZ-em i przyjęciami w ambasadach mało kto ma do czynienia. Natomiast każdy z nas codziennie zachowuje się w sposób wskazujący na to, że uznajemy prawny charakter państwa, w którym żyjemy. I nie możemy się zachowywać inaczej. Bierzymy pensje, żądamy, by PZU wypłaciło nam w stosownym wypadku odszkodowanie, ba, ograbieni przez zwykłych rzeźmieszków na ogół wzywamy milicję. Co więcej: domagamy się, by ta bezprawna, okupacyjna władza wydawała słuszne prawa, ku czemu skądinąd nie ma ona najmniejszych skłonności. Można powiedzieć, że nie jest to niespójność rozumowania, lecz jedynie rezultat schizofrenicznej sytuacji stworzonej między innymi przez nowomowę. Owszem, w traktacie filozoficznym czy socjologicznym należałoby koniecznie uwzględnić ten aspekt zagadnienia. Ale publicystyka polityczna, wypowiedzi przywódców „Solidarności” powinny być przejrzyste i zborne. Nie można w jednym tekście odmawiać władzy prawnej egzystencji

i, powiedzmy, domagać się, by przeprowadziła prawdziwą reformę gospodarczą. (Nie będzie żadnej reformy: po pierwsze komuniści jej nie chcą; po drugie, gdyby nawet chcieli, to nie ma za to kto zapłacić; po trzecie, gdyby nawet znalazły się prawdziwe pieniądze, to tej gospodarki zreformować nie można.)

A skoro o reformie gospodarczej mowa, to oto drugie z kolei rozpowszechnione w ruchu oporu przeświadczenie, którego nie podzielam. Większość publikacji tegoż ruchu w jednym punkcie ma niewątpliwie socjalistyczny charakter. Głoszą one mianowicie hasło „rzeczywistego uspołecznienia środków produkcji”. Drodzy, kochani, szanowni, czczeni, przestańcie udawać, że wiecie, co to znaczy. Przecież niemal każdy z was oddzielnie wzięty wie, że w społeczeństwie zindustrializowanym, nawet tak źle zindustrializowanym jak nasze, nie można pospołu posiadać ani pospołu zarządzać przemysłem. Można na różne sposoby dzielić dochód narodowy — ale to inna sprawa. I też nie taka prosta jak się to ludziom na ogół wydaje. Bowiem pobudzanie wytwórczości, ochrona środowiska i sprawiedliwość społeczna to cele niekoniecznie współgrające ze sobą.

I wreszcie ostatnie z rozpowszechnionych mniemań „opozycji”, z którymi będę w tych „Wyznaniach” polemizował. Generalnie głosi ono, że stopień sowietyzacji społeczeństwa polskiego jest znacznie, ale to znacznie niższy niż mówiły o tym oceny socjologów i niezależnej publicystyki w drugiej połowie lat 70-tych. Przeświadczenie to przybiera różne kształty. Euforyczne: byczto jest, „czerwonego” otacza powszechna nienawiść, kościoły pełne, front odmowy funkcjonuje jak świeżo naoliwiony, a w ogóle Sierpień pokazał, jacy jesteśmy naprawdę. Umiarkowane: niezaprzeczalną zasługą „Solidarności” jest to, że zahamowała proces sowietyzacji, podtrzymując gorliwość religijną, nadal nie dopuszczamy do sowietyzowania ludzi.

W twierdzeniach powyższych prawda pomieszana jest z fałszem i szczególną selekcją zjawisk, co w sumie prowadzi do niebezpiecznych złudzeń. System sowiecki jest, z czym zgadzają się wszyscy, systemem totalitarnym. Znaczy to, że komuniści dążą do przepojenia sowieckością możliwie wielu sfer życia jednostki i społeczeństwa. Nie wszystkie te sfery ulegają sowietyzacji w jednakowym tempie i w jednakowo widoczny sposób. Społeczeństwo nie dzieli się na „czystych” i „nieczystych”; linia podziału przebiega przez każdego z nas, nikt bowiem nie jest totalnie zabezpieczony przed jadem totalitaryzmu. W szczególności sama nienawiść do komunistów nie

chroni przed sowietyzacją, chociażby dlatego, że nienawiść jest uczuciem jałowym i niszczącym. Przykłady z okresu sławnych pięciuset dni dowodzą, że można nienawidzić „czerwonego” i być mocno zsowietyzowanym osobnikiem tzn. chamem w kolejce, lizusem w pracy i głupim demagogiem na zebraniu „Solidarności”. „Solidarność” rzeczywiście zahamowała proces sowietyzacji społeczeństwa; przynajmniej w niektórych sferach życia. Ale zarazem cierpiała na — zrozumiąły skądinąd — brak kultury politycznej, podatność na demagogię, branie pozorów za rzeczywistość, tzn. za schorzenia stanowiące pochodne procesu sowietyzacji. Czyż nie jest paradoksem, że organizacja, której celem było wyzwolenie społeczeństwa domagała się od komunistów, by ci rozszerzyli zakres reglamentacji tj. prerogatywy władzy? Że inaczej być nie mogło? Że w „Solidarności” musiał dominować ludowy egalitaryzm „w dół”? Zapewne. Faktem pozostaje jednak, że niewątpliwie dodatni bilans „Solidarności” w walce z sowietyzacją ma również pozycje ujemne.

Dwie sfery życia wydają mi się obecnie szczególnie podatne na raka sowietyzmu: godzenie się na postępującą degradację cywilizacyjną kraju oraz narastający nawyk złej pracy. Inaczej być nie może, bo nikt nie będzie się buntował co chwila z tego powodu, że w szpitalach coraz brudniej, że pociągi spóźniają się notorycznie, a poczta kursuje bez porównania gorzej niż sto lat temu. (9 III br. o godz. 8.00 w III programie radia nieczynny był sygnał czasu! Jak mówią nastolatki: w pale się nie mieści.) Nikt nie ma powodów po temu, by dobrze pracować. Komunistom zaś w to mi graj: im kraj bardziej zacofany — tym mocniej siedzą w siodle, zaś wysokiej wydajności pracy ten ustrój po prostu by nie wytrzymał. Od Sowieców przez Polskę, Chiny, Bułgarię, Kubę i Wietnam socjalizm „jak długi i szeroki” opiera swe istnienie na niskiej wydajności pracy. A także na głoszeniu, że jest ustrojem zmierzającym do coraz wyższej wydajności pracy. Ubieranie tego stanu rzeczy w szaty czynu patriotycznego, co zdarzyło się w pierwszych miesiącach stanu, uznać należy za przykrą pomyłkę. Jest to skuteczna, ba, nieodparta metoda deprawacji typu sowieckiego.

Czytelnik bez trudu zauważy, że nie poruszam w tym poślowiu kilku modnych tematów. Nie ma tu prób „bilansu” ani sławnych pięciuset dni (od lipcowego strajku w Lublinie w lipcu 1980 r. do nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r.), ani okresu stanu z zawieszeniem i bez. O tym miał traktować artykuł „Wylatywanie o zmierzchu”; może go kiedyś napiszę. Nie ma tu propozycji programowych, bo cechuje mnie właściwa libera-

łom nieufność do programów i naiwne przeświadczenie, że zrobienie czegoś konkretnego, wymiernego „stąd dotąd” ważniejsze jest od układania manifestów. Z powyższego wynika, że winienem być tzw. człowiekiem kompromisu. Zgadza się — jestem. Jak większość z nas, o komunistach „wiem swoje”. Nie przeszkodziłoby mi to doradzać zawarcia z nimi kompromisu, gdyby tylko zaczęli nadawać temu pojęciu to znaczenie, jakie posiada ono w normalnej polszczyźnie. Niestety, jak na razie, w nowomowie „kompromis” znaczy tyle co kapitulacja; oczywiście strony nie komunistycznej. I zanosi się na to, że ta sytuacja językowa potrwa jeszcze czas jakiś. Ale dość o taktyce, bo nie jest ona przedmiotem moich „Wyznań”.

Chciałbym natomiast wymienić trzy tematy, o których — o ile wiem — pisano u nas rzadko lub wcale, a które wydają mi się godne refleksji.

Wiemy wszyscy z praktyki, nie tylko polskiej, że w ustroju totalitarnym wszelkie próby wejścia do struktur oficjalnych celem przerobienia ich, ulepszenia a choćby tylko zmodernizowania z reguły kończą się zawstydzającą klapą. Wiemy zatem, że tak jest, i w płaszczyźnie działań praktycznych jest to wiedza wystarczająca: nie wступujemy do PRON-u, nie uznajemy profesorów Bobrowskiego, Szczepańskiego, Suchodolskiego za wzorce godne naśladowania. Warto jednak zastanowić się nad tym, dla czego tak jest. Choćby dlatego, że refleksja teoretyczna może być wartościowa sama przez się, a nadto dlatego, że nigdy nie wiadomo, kiedy dobra refleksja teoretyczna może się przydać w praktyce.

Po drugie, warto zastanowić się nad tym, dlaczego wszystkie dotychczasowe próby konspiracji w ustroju totalitarnym kończyły się fiaskiem. Praktycznej doniosłości tego tematu nie muszę chyba uzasadniać.

Po trzecie wreszcie, godnym refleksji wydaje mi się temat następujący: co i w jaki sposób sprawia, że system komunistyczny można zasadnie określić jako logokrację, tj. rządy słowa. Może ktoś zwrócić uwagę, że o nowomowie pisano u nas sporo. To prawda, ale najczęściej zajmowano się przede wszystkim nowomową jako fenomenem językowym. Mnie zaś chodzi o słowo jako instrument rządzenia. Czy nie warto zanalizować takiego oto zjawiska: w ustroju, w którym, wydawałoby się, nikt nie wierzy jednemu słowy napisanemu w gazecie czy wygłoszonemu przez radio, rządzący przywiązują kluczową wagę nie tylko do monopolu słowa (to jest zrozumiałe), lecz nadto,

wewnątrz tego monopolu, do dozwolonego słownictwa, do nazewnictwa, do relacji między częściami mowy (zdecydowana przewaga przymiotników). Siła nawyku? Nie sędzę. Komuniści mogą się nie znać na niczym, na gospodarce, na sztuce, na filozofii — jedną dziedzinę opanowali w sposób mistrzowski: władzę. Na władzy komuniści znają się jak nikt. I jeżeli traktują słowo jako jeden z najważniejszych instrumentów sprawowania władzy, to znaczy, że wiedzą, co robią.

Może ktoś powiedzieć, że są to tematy interesujące nader wąski krąg odbiorców. Nie wiem. Ale wiem, że „Solidarność” zarówno przed 13 grudnia jak i dobre osiem miesięcy po nim zachowywała się tak, jak gdyby zupełnie nie rozumiała, czym jest dla komunistów władza i w jaki sposób ją sprawują. A zresztą, czy wszystko musi być pisane dla szerokiego odbiorcy?

Z wyjątkiem dwóch, w skład niniejszej książeczki weszły wszystkie moje teksty napisane od grudnia 1976 r. Nie włączyłem tu polemiki z rosyjskimi autorami tomu „Spod ruin” („Iz pod głyb”) oraz posłowie do wydanych w bibliotece *Głosu* materiałów dotyczących sprawy Nowotko-Mołojec. Nie iżbym tekstów tych się wypierał, lecz dlatego, że tematycznie „odskakują” od pozostałych.

Rubrykę „Moim zdaniem...” prowadziłem najpierw latem i jesienią 1982 r. w piśmie *Kierunki*, a następnie, po przerwie, w gazetce *Kos*. I przerwa, i zmiana miejsca spowodowane były wyłącznie względami technicznymi i żadnymi innymi.

Łatwo zauważyć, że napisałem w tym czasie niewiele. Po pierwsze dlatego, że w ogóle mało piszę. Po drugie, dlatego, że nie jestem ulubieńcem niezależnych warszawskich wydawców i redaktorów. Fakt ten mieści się doskonale w moich wyobrażeniach o tym, czym jest wolność słowa; zakłada ona m.in., że redaktorowi wolno nie drukować tekstów, które mu się nie podobają. Choć może nie powinien ich gubić. W sumie jednak nie żyjemy do siebie animozji, z faktu zaś, że na bycie czyimkolwiek ulubieńcem mam znikomą ilość danych sprawę zdałem sobie dawno temu. Na szczęście nie mam takich potrzeb. W sumie wspomniane dwie okoliczności towarzyszące memu pisanu uznać można za banalne. Inaczej rzecz ma się z dwiema następnymi.

Z „Tekstów cywilnych” między sierpniem 80 a grudniem 81 napisany jest jedynie artykuł „Chaotyczne i nieprzyjemne” oraz felietonik „Dwa okresy” (ze wstępem odrzucony przez dwa pisma „Solidarności”). A przecież w tamtym czasie każdy,

kto ma rękę lub nogę pisze i publikuje. W prasie oficjalnej manifesty, iluminacje, demaskacje, wizje, erozje, korozje, anizozje, laudacje, kolaudacje, programy, diagramy, diafragmy. Z karety Bratkowskiego rozentuzjasmowany tłum wyprzęga konie. Szumowski co najmniej raz w tygodniu przysięgę na Krakowskim Rynku składa. Werblan z chłodnym obiektywizmem... Nie, Werblan to były szczyty... Albo dno... Jak kto woli; u komunistów trudno odróżnić. W prasie niezależnej lepiej; ale prawdą mówiąc tylko trochę, bo większość pisze sercem. Głową nie mogą, bo w chmurach. Więc pisze każdy, kto może, a ja nie mogę. Od wewnątrz nie mogę. Od pierwszej chwili inaczej oceniam szanse: dwa, maksimum trzy lata względnej swobody, dopóki partia nie pozbiera się do kupy. Tak sądziłem na początku, ale od sprawy wolnych sobót nie miałem nawet takich nadziei. Milczałem w przeświadczeniu, że nie mam szans być usłyszany. I to milczenie mam sobie za złe. Trzeba było zostawić zapisane świadectwo tego, że ktoś myślał inaczej. Nic więcej niż świadectwo, bo zmienić mój głos niczego by nie zmienił.

I wreszcie sprawa ostatnia. Śmieszna. Moje teksty są pechowe. A to dzielny Austriak miał zawieźć je do Wiednia i wrzucić do skrzynki pocztowej w nagłym ataku lęku pędzi do hotelowej klozetki i tą drogą pozbywa się strachu wraz z moim artykułem. A jak nie wyrzuci Austriak ze strachu, to z roztargnienia zgubi redaktor. Inny znów redaktor zmienia koncepcję pisma i przestaje mu pasować do profilu. Kiedyś wszystko już było o.k. — to urządził się drukarz i pomylił matryce; akurat te z moim tekstem. Nie zmyślam. Tylko nie wiem, czy Austriak korzystał z wc, czy po prostu z kosza na śmieci. W tym drugim przypadku artykuł trafił do resortowego archiwum. No i dobrze. Ktoś, kiedyś te archiwa otworzy. „Czerwony” uciekając nie zdążył wszystkiego spalić. W to nie wątpię. To tylko kwestia czasu. Może pięć, może piętnaście, może pięćdziesiąt. Statystyka powiada, że już piętnaście, to dla mnie za dużo. Szkoda by było, bo chciałbym zobaczyć, jak wieją. Jeśli chodzi o mnie — jedyne salwy, jakie powinny tej ucieczce towarzyszyć, to salwy homeryckiego śmiechu.

Lwówek, marzec 1983

UWAGI NA MARGINESIE

Nie wiem ile programów pojawiło się w Polsce od maja br., to jest od chwili wyjścia na świat pierwszego z nich. Winienem jednak z góry zakładać, że krąży ich po kraju więcej niż trafiło do mnie, a znane mi są następujące dokumenty: Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (maj), Program 44 (sierpień), „List” Karola Modzelewskiego (listopad), Oświadczenie PPN (grudzień) oraz „Myśl o programie działania” Jacka Kuronia (egzemplarz, który dotarł do mnie nie jest datowany, ale z tekstu wynika, że musiał być napisany po 3 listopada). Ściśle biorąc, wprowadzić dokumentów jest pięć, ale programów mamy cztery, bowiem grudniowe Oświadczenie PPN stanowi — w swojej partii programowej — uzupełnienie tekstu wydanego w maju. Mówię o części programowej Oświadczenia, jest bowiem chyba rzeczą jasną, że nie każdy tekst „innowierczy” jest programem. Protesty nie są programami, programami nie są opisy wydarzeń (tych mamy stanowczo za mało); nie są też nimi supliki do ukochanej władzy, choćby nawet władza źle traktowała autorów „kornych próśb”, jak to miało miejsce w przypadku tzw. Listu 34.

I

Programami są teksty, które a) proponują lub postulują — ale nie błagają — realizację pewnych wartości, ideałów, lub pewnego układu społeczno-politycznego, lub obie sprawy naraz;

b) zawierają jakiś opis aktualnej rzeczywistości; c) mówią, jakimi drogami należy zmierzać do zarysowanego celu.

Nie jest jednak tak, by każdy program zawierał składniki wymienione tu jako a, b oraz c. Programem nazwalibyśmy wszak dokument zawierający wyłącznie postulaty czy wymieniający cele, ku którym radzi się zmierzać. A jeśli nawet — jak to zazwyczaj ma miejsce — program zawiera również opis sytuacji i propozycje dotyczące sposobu realizacji postulatów, to proporcje między tymi składnikami mogą być różne. Wydaje się, że niezależnie od oczywistego podziału na programy bliskiego i dalekiego zasięgu (z czego autorzy zdają sobie zazwyczaj sprawę), dzielą się one również na ideologiczne i polityczne (czego autorzy nie zawsze są świadomi).

Ideologicznym w tym rozumieniu jest program, który główny nacisk kładzie na postulowane wartości, w którym proponowane rozwiązania społeczne nie są funkcją działania rzeczywistych jednostek czy grup, lecz po prostu ziemską realizacją wartości, w którym opis istniejącego stanu rzeczy jest raczej emocjonalny niż intelektualny i w którym do konkretnych propozycji realizacyjnych przywiązuje się stosunkowo małą wagę.

Politycznymi będą programy skupiające się głównie na środkach działania i często, choć nie zawsze, z jawną lub skrywaną pogardą odnoszące się do „mrzonek” o zabarwieniu utopijnym.

Jeśli „czysty” program ideologiczny uważa realizację utopii za rzecz w zasadzie łatwą i osiągalną, to „czysty” program polityczny nierzadko wykazuje zasadniczy brak zrozumienia doniosłości utopijnych motywacji i celów ludzkiego działania.

W rzeczywistości jednak ludzie nigdy nie opracowują programów „czysto ideologicznych” lub „czysto politycznych”; w rzeczywistości pojawiają się programy o przewadze ideologii lub polityki. W tym rozumieniu „ideologiczna” była większość dokumentów programowych Towarzystwa Demokratycznego na Wielkiej Emigracji. „Polityczny” — i to w najgorszym sensie — jest program Kissingera.

Mówiąc tyle tylko, że dany program jest ideologiczny lub polityczny nie mówimy, iż jest naszym zdaniem dobry lub zły — wskazujemy jedynie na przewagę tych lub innych składników. Spośród czterech dokumentów o których tu mowa, typowo politycznym jest „List” Karola Modzelewskiego, o czym zresztą autor pisze wprost. Z kolei Program i Oświadczenie PPN, a w szczególności Program 44 to teksty o wyraźnej przewadze ideo-

logii; „Myśli” Kuronia należałoby umiejscowić między tymi biegunami. Powtórzmy jednak: nie jest to ocena, a jedynie informacja dotycząca konstrukcji treściowej wspomnianych tekstów.

II

W polskich i w ogóle w socjalistycznych warunkach wszelka ocena programów „innowierczych” musi uwzględniać dwie istotne a bardzo różne okoliczności, obie związane z rdzeniem ustroju socjalistycznego, tj. z monopartyjnością.

Po pierwsze tedy — niezależnie od intencji autorów programów oraz od zakresu wysuwanych postulatów — sam fakt, że propozycje wyszły spoza rządzącej warstwy-kasty powoduje, że „partia” jako aparat, jako faktyczny ośrodek władzy oraz jedyny pracodawca oraz „partia” jako ideologiczna mistyfikacja (która jednak istnieje) nie może, przynajmniej w sposób jawny, przystać na przyjęcie żadnego postulatu. Władza jest bowiem w rozumieniu „partii” niepodzielna. „Partia” musi i chce traktować społeczeństwo jak ową kurę z przysłowia, której nie wolno dać i grzędy... Jakkolwiek ocenialibyśmy inteligencję Jaroszewicza, Jaruzelskiego czy dowolnego sekretarza komitetu gminnego — to rozumieją oni, czy też może raczej wyczuwają w sposób bezbłędny. Stąd programy zwracające się do „kierownictwa”, a w mniejszej lub większej mierze robią to wszyscy, przez sam fakt swego pojawienia się uruchamiają w „partii” mechanizmy obronne, wzmagają poczucia zagrożenia, które nie jest niczym innym jak zwyrodniałym sumieniem komunistów.

Kuroń i Modzelewski, którzy to rozumieją, niezależnie od siebie przywołują jeden argument, będący zarazem opisem stanu rzeczy jak i próbą perswazji. Obaj mianowicie powiadają: stan napięcia społecznego jest taki, że grozi to niekontrolowanym wybuchem, a więc interwencją, której skutki, szczególnie w polskich warunkach, nie dadzą się przewidzieć. Otóż siła perswazyjna tego argumentu działać może tylko w odniesieniu do jakiejś części „partii”. Należy bowiem uznać za pewnik, że są w „partii” ludzie, którzy tylko czekają na konfrontację albo dlatego, że uważają, iż społeczeństwu od dawna należy się surowa lekcja posłuszeństwa, albo dlatego, że nauczona praskim

doświadczeniem Moskwa wytypowała ich do — zapiętego tym razem na ostatni guzik — zastępczego garnituru.

Druga wspólna cecha narzucana niejako programom przez istotę ustroju wiąże się z tym, że w Polsce od 32 lat, a w każdym razie od momentu faktycznej likwidacji PSL-u, w s z y s t k i e środki masowego przekazu, a nadto szkoła i wojsko jako instytucje oficjalnej propagandy twierdzą, że droga którą wybrali (za nas) komuniści jest najlepsza i jedyna możliwa. Z zastrzeżeniami powtarzają to również „znakowcy”. Stworzyło to sytuację, na którą w omawianych dokumentach zwrócił uwagę jedynie Kuroń: ludzie mianowicie uwierzyli, że inaczej nie można, że tak jak jest, być musi. Jeśli nawet akceptują istniejący stan rzeczy opornie, to na ogół, należy przypuszczać, nie zadają sobie pytania: a jakby tak inaczej?

Otóż w tej sytuacji niemal każdy program, choćby dziś znikomo realny lub postulujący coś, z czym nie możemy się zgodzić, tę ma zaletę, że uczy ludzi, iż można myśleć inaczej niż tego chcą, o czym pouczają, czym zanudzają polscy bolszewicy.

Nie podoba ci się np. Program 44 ? Proszę, napisz lepszy. Ale przede wszystkim zacznij myśleć, uwierz, że można myśleć inaczej, zrozum, że myślenie jest działaniem — niewystarczającym, ale nieodzownym. Przestań usprawiedliwiać siebie i bolszewików tym, że „inaczej nie można”. Każdy lub prawie każdy program przez sam fakt swego pojawienia się dowodzi, że można myśleć inaczej niż Berman i Moczar, Zambrowski i Kępa, Radkiewicz i Werblan, Machejek, Kozdra, Kliszko, Kąkol, Łukaszewicz, Putrament i kto by ich tam wszystkich spaścietał.

Cokolwiek powiedziane tu zostanie o wymienionych czterech programach, o tej sprawie nie wolno zapominać.

III

Napisano tu już, że do „partii” zwracają się w mniejszym lub większym stopniu autorzy wszystkich programów. Nie tylko Modzelewski, który do niej zwraca się przede wszystkim, choć oczywiście nie wyłącznie, ale również autorzy Programu 44, postulujący, „aby już dziś dokonać reformy ustrojowej PRL”. Co ich zdaniem jest nie tylko konieczne, ale i możliwe.

Problem adresata nie jest sprawą formalną, lecz wiąże się z podstawowym dla tych programów zagadnieniem: kto i w jakich warunkach ma przeprowadzać zmiany. W gruncie rzeczy wszyscy autorzy mówią o postulowanych zmianach jako o procesie mającym się dokonać w ramach nienaruszonych podstaw ustrojowych i niezmienionej sytuacji międzynarodowej, przy czym to ostatnie założenie przyjmowane jest milcząco, jako że w ogóle „polityka zagraniczna”, czyli sytuacja świata i Polski w świecie nie jest najmocniejszą stroną omawianych dokumentów.

Gdy nikt nie wzywa do natychmiastowego obalenia istniejącego porządku siłą, adresowanie przynajmniej niektórych postulatów do „partii” jest w pewnym sensie koniecznością, z której, jak wolno przypuszczać, nie wszyscy autorzy zdają sobie sprawę.

I tak na przykład wszystkie dziewięć postulatów pierwszego rozdziału Programu 44 ma być realizowane przez istniejącą obecnie władzę. Wprawdzie wyraźnie mówi się o tym jedynie w punkcie pierwszym („Istotnym ułatwieniem... stać się winny wstępne kroki ze strony władz...”), ale nie ulega wątpliwości, że w rozumieniu autorów programu taż władza ma nie tylko ułatwić przeprowadzenie dyskusji z sobą, ale również ogłosić powszechną amnestię dla więźniów politycznych, zaprzestać propagandy w dotychczasowych formach, unieważnić i nie stosować (nie wolno stosować czegoś co zostało unieważnione) aktów prawnych i innych przepisów sprzecznych z konstytucją, wprowadzić faktyczne równouprawnienie wszystkich obywateli, a w szczególności wierzących (tj. zlikwidować niejawną, lecz nietykalną dla bolszewików instytucję nomenklatury). Powtarzam, wszystko to ma zrobić istniejąca władza tj. biuro polityczne, komitet centralny, rada ministrów, no i nasz dzielny sejm z towarzyszem Babiuchem na czele. W zamian autorzy programu obiecują tym ludziom stworzenie nowego systemu organizacji władzy.

Otóż można postulować zmianę „systemu organizacji władzy”, można postulować przeprowadzenie „reformy ustrojowej PRL” — ale nie można domagać się, by robili to komuniści. Rozsądne i potrzebne dla narodu — wysuwane pod adresem bolszewików, jest to żądanie wręcz niemiłosierne.

Program PPN jest w omawianej materii zdecydowanie mglisty. Autorzy postulują „pełną przebudowę polskiej państwowości i życia społeczno-gospodarczego”, ale powiadają, że program ich jest zarazem ewolucyjny, albowiem „niektóre elementy można

wcielać w życie już dziś". Szkoda, że nie mówią, które z 26 punktów ich programu można już dziś wcielać w życie, no i kto miałby to — dziś — robić.

Wydaje się, że z omawianego tu a doniesłego punktu widzenia utopijność obu programów — PPN i 44 — zmierza w złym kierunku. Utopijność w ogóle jest niezbędnym składnikiem ludzkiej egzystencji, ale rzecz w tym, że autorzy tych dwóch programów są utopistami nie tylko wtedy, gdy mówią o wartościach naczelnych czy celach ostatecznych a odległych, lecz również wówczas, gdy powiadają co „partia” ma zrobić dziś czy też co mielibyśmy dziś zrobić z „partią” do spółki.

Programy Modzelewskiego i Kuronia zdają się być w tym punkcie o wiele bardziej przemyślane. O Modzelewskim za chwilę; schemat Kuronia jest następujący: władza ma wciąż szansę wyjścia z kryzysu — może mianowicie zacząć ze społeczeństwem poważne pertraktacje, których celem będzie umiarkowana reforma; jeśli władza tak postąpi, wówczas „obowiązkiem opozycji politycznej” będzie poprzeć „w tym względzie” poczynania władzy. O ile jednak władza nie zacznie pertraktować ze społeczeństwem, wówczas ratunkiem będzie „samoorganizacja społeczna”, narzucenie władzom pertraktacji.

Kuroń proponuje zatem dwa warianty:

1) władza sama przystępuje do pertraktacji ze społeczeństwem, a „w każdym razie z autentycznym przedstawicielstwem robotniczym” — w tej sytuacji celem jest umiarkowana reforma;

2) ruchy społeczne narzucają władzy pertraktacje — wówczas chodzi o „zmniejszenie do minimum katastrofy”.

Wariant drugi jest niejasny, co być może tłumaczy się pośpiechem i warunkami, w których powstał tekst, o czym autor wspomina na początku „Myśli o programie działania”. Wariant pierwszy — *in abstracto* — brzmi prawdopodobnie. Ale sam Kuroń poprzednie dwa akapity poświęca udowodnieniu interesującej tezy: komuniści ustępują wtedy, gdy nie ma z kim rozmawiać (Łódź 1971, Polska czerwiec 1976). Gdy jest z kim pertraktować — komuniści oszukują. Tę pozorną schizoidalność zachowania komunistów tłumaczy przyrodzona niezdolność ustroju bolszewickiego do partnerstwa; posiadanie opozycji nie jest wpisane w kod genetyczny komunizmu. Co, jeśli kontynuować porównanie, w teorii nie wyklucza powstania komunistycznego mutanta. Ale, jak wiadomo, kontrolowane i pożądane mutacje są jak na razie czymś niezwykle rzadkim. Kuroń może na to

odpowiedzieć, że jako społeczeństwo — w odróżnieniu od Włochów czy Francuzów — *m u s i m y* podjąć ryzyko „gry”, ryzyko „stawki na mutanta”. Jeśli uznać, że ma rację — a na to wygląda — to najlepszy wariant taktyczny tej gry proponuje Modzelewski.

IV

Z dokumentów, o których mowa program Modzelewskiego wydaje się najbardziej dojrzały, przemyślany i konsekwentny, a w gruncie rzeczy najbardziej demaskatorski — o czym za chwilę. Założenia tego programu są niezwykle proste: w dzisiejszej sytuacji — a Modzelewski ocenia ją jako niezwykle poważną — nieodzowne zmiany mogą zostać zrealizowane jedynie przez obecne „kierownictwo”. Wobec czego należy te zmiany „kierownictwu” zaproponować, zwracając się doń w języku, który rozumie i proponując takie posunięcia, które, acz nieodzowne dla społeczeństwa, nie powinny przerazić „partii”. Z wyjątkiem trzech lub czterech zdań, które autor musiał zamieścić po to, by zaznaczyć swój zasadniczy dystans wobec niektórych spraw czy też własną postawę, oraz z wyjątkiem jednej propozycji dla komunistów nie do przyjęcia, Modzelewski z podziwu godną konsekwencją utrzymał swój tekst w ramach tego generalnego założenia: nieodzowny program-minimum, który w pełni może być zrealizowany przez obecną władzę. Jedyne punkty dla bolszewików nie do przyjęcia to postulat odwołania się do Sądu Najwyższego w sprawie „nadużycia Kodeksu Pracy”. Jest to zaś dla nich nie do przyjęcia, ponieważ oznaczałoby zarówno uznanie podziału władzy jak i przyzwolenie na ocenę posunięć „partii” przez czynnik w domniemaniu niezależny. Nie trzeba tłumaczyć, dlaczego bolszewicy, póki są tymi komunistami, których znamy z doświadczenia, a nie owymi na razie nie istniejącymi komunistami-mutantami, nie mogą przyjąć żadnej z tych ewentualności. Pozostałe postulaty są, teoretycznie rzecz biorąc, wykonalne w ramach istniejącego układu politycznego. Co więcej, Modzelewski wykazuje, że proponowane przezeń zmiany były już w przeszłości przez „partię” akceptowane i że jednym ze źródeł kryzysu jest zarzucenie tych uprzednio przyjętych zmian. Nadto wreszcie autor „Listu” zaproponował takie wyjście z kry-

zysu, które pozwoliłoby obecnej ekipie rządzącej na „zachowanie twarzy”.

Otóż uwagi niniejsze pisane są mniej więcej w miesiąc po tym, jak „List” musiał dotrzeć do oficjalnego adresata i nic nie wskazuje na to, by komuniści mieli skorzystać z tej spokojnej, umiarkowanej i rozsądnej propozycji. I dlatego „List do Gierka” jest dokumentem, którego zasadnicza funkcja będzie demaskatorska. Rzecz w tym, że nikt nie spodziewa się po komunistach przeprowadzenia wyborów (wolne wybory to masło maślane) ani ustanowienia niezależności sądów czy przystąpienia do Wspólnego Rynku. Natomiast to, że nie realizują nieodzownych a skromnych postulatów Modzelewskiego demaskuje ich wielkochamską butę, nieudolność i całkowitą obojętność względem żywotnych interesów społeczeństwa polskiego.

Tekst Modzelewskiego jest programem opracowanym przez dojrzałego, świadomego warunków, w jakich działa i odpowiedzialnego polityka, który w obliczu trudnej sytuacji potrafił pohamować swoje pasje ideologiczne. Tym lepiej świadczy to o autorze „Listu”.

W „Liście” brak, jak się wydaje, jednego postulatu, ale luka ta pojawia się nie tylko w programie Modzelewskiego.

V

Grudniowe oświadczenie PPN-u powiada, że „istota obecnego kryzysu jest polityczna, nie gospodarcza”. Łatwo zrozumieć, o co autorom chodzi i w jakim zakresie mają niewątpliwie rację. Ale pozostaje faktem, że gospodarka polska znajduje się w stanie kryzysu wyjątkowo głębokiego, choć w zasadzie typowego dla ustroju socjalistycznego; bez trudu można dowieść, że pod koniec każdej pięcioletki następuje tajemnicze (dla władzy) załamanie, pociągające za sobą chwilową redukcję inwestycji. Z obecnego kryzysu trzeba wyjść możliwie obronną ręką.

Otóż niestety wszystkie cztery programy cechuje brak jakichkolwiek doraźnych sugestii gospodarczych, a nawet wymogu takiej choćby dyskusji o ekonomice, jaka toczyła się od lata 1956 do jesieni 1957, a która nie wykraczała przecież poza ramy ustroju. Wygląda na to, że autorzy programów, podobnie jak biuro polityczne, po prostu nie wiedzą co robić. Biuro cała

swoją nadzieję zdaje się pokładać w kolejnym „cyklu świńskim”, co trudno nazwać nawet mikro-programem.

Nie można polegać tu na zawodowych ekonomistach — pary z ust nie puszczą, póki „partia” nie podejmie kolejnej historycznej uchwały, a bredzą niczym Piekarski na mękach, nawet gdy nie muszą.

W szczególności „opozycja” winna głośno powiedzieć, że podwyżka cen jest konieczna — powinna była o tym mówić od początków 1975 roku. Obecnie autorzy programów powinni, jak się wydaje, tłumaczyć, że jeśli „partia” odłożyła podwyżkę do jakiejś tam konferencji, to: po pierwsze, „partia” postępuje tak nie dlatego, że troszczy się o społeczeństwo, ale ze względu na wewnętrzne kłótnie, rozgrywki i kalkulacje; po drugie, konferencja partyjna jest może ważną datą w życiu Jagielskiego, Łukaszewicza czy Pajestki, ale nie jest żadną datą ani dla społeczeństwa, ani dla przebiegu procesów gospodarczych, ani — należy przypuszczać — dla naszych zagranicznych wierzycieli; po trzecie, trzeba przedstawić zasadnicze wytyczne — socjalne i gospodarcze — tej nieuchronnej operacji, mówiąc przy tym wyraźnie, że kto inny jest tu winien, a kto inny musi, niestety, płacić. „Czerwiec” wykazał, że i w tym zakresie nie można mieć najmniejszego zaufania do elementarnych umiejętności biura politycznego i jego naukowo utytułowanych doradców. Żadna chyba ekipa komunistyczna w Polsce nie wymyśliła równie bezczelnego i głupiego posunięcia gospodarczo-społecznego jak czerwcową podwyżkę. Warto wreszcie pamiętać, że ten punkt programu może trafić do przekonania ludziom, których nie interesuje ani wolność słowa, ani niezależność sądów, ani nawet to, czy milicja bije innych.

VI

Uważa się zazwyczaj za ułatwioną taką krytykę, która skupia się na tym, czego w danym tekście brak. Jeśli jednak braki owe dotyczą spraw istotnych, wskazanie luk nie jest sprawą wygody, lecz porządku myślenia.

Otóż w programach o których mowa brak jest:

a) hipotez mówiących o warunkach, w których miałyby się

dokonać przyszłe zasadnicze zmiany społeczne i polityczne;

b) jakiegokolwiek poglądów na temat charakteru takiego skromnego procesu społecznego, jakim jest „wyjście z totalitaryzmu”;

c) jakiegokolwiek wzmianki o wojsku;

d) zarysu poważnego programu polityki zagranicznej.

Brak tych tematów w tekście Modzelewskiego *ex definitione* wynika z faktu, iż jest to program-minimum. Ale już przy lekturze „Myśli” Kuronia rodzi się pytanie: czy postulat „finlandyzacji” miałyby być realizowany jedynie w skali polskiej i przy niezmiennym układzie sił tak wewnątrz „obozu” jak i w świecie? Czy ma to być rezultat renegocjacji podziału jałtańskiego? A jeśli tak, kto miałyby te negocjacje prowadzić?

Każdy z wymienionych punktów zdaje się być ważniejszy od tego na przykład, czy wybory do przyszłych rad pracowników będą się odbywały według trzy- lub też czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego. Byłoby chyba nader pożądane, by każdy z tych punktów stał się przedmiotem refleksji autorów programów. Chciałbym tu przykładowo jedynie pokazać, na czym polega doniosłość tej problematyki:

ad a) Domniemane warunki, w których miałyby się dokonać przyszłe, istotne przemiany muszą mieć decydujący wpływ na kierunek, tempo i sam zakres tych zmian. Wystarczy sobie uświadomić, że obecne imperium sowieckie w jego ściśle państwowych granicach, tj. ZSSR, wchodzi w okres ostrych walk narodowo-wyzwoleńczych. Otóż bez trudu daje się pomyśleć taką sytuacją, w której główną troską społeczeństwa polskiego będzie niedopuszczenie do wciągnięcia Polski w orbitę tego zamętu. Nawet za cenę dobrowolnego, czasowego utrzymania w kraju ustroju autorytarnego i przy oczywistym założeniu odmowy udzielania jakiegokolwiek pomocy centralnej władzy sowieckiej.

ad b) Autorzy programów zdają się być nieświadomi tego, że „wyjście z totalitaryzmu” jest niezwykle skomplikowanym i trudnym procesem społecznym. Z programów bije ukryte przekonanie, że gdy tylko Rosjanie wyniosą się z kraju, Polska automatycznie stanie się rajem na ziemi. W warunkach półkolonii jaką jest nasza ojczyzna, tzn. w warunkach powodujących, że wszystkie problemy społeczne mają kształt kwestii narodowej, optyka ta jest zrozumiała — niemniej fałszywa. Nie wolno zapominać o tym, że żadne społeczeństwo nie żyje bezkarnie przez jedną trzecią wieku w ustroju równie poczwarnym i demoralizującym.

zującym jak socjalistyczny, sowiecki totalitaryzm. Oczywiście autorzy wiedzą, że nie wszystko co składa się na obecny stan społeczeństwa polskiego budzi zachwyt. W dokumentach PPN mowa jest o bierności inteligencji i kolaboracji z bezpieką. Kuroń trafnie dostrzega, że co najmniej jedna forma oporu społecznego — tzw. kumoterstwo — jest społecznie destrukcyjna. Przez przeoczenie zapewne nie mówi nic o dwóch najpowszechniejszych formach oporu, jakimi są absenteizm oraz niska wydajność pracy. Oba te zjawiska wpisane są w „genetyczną matrycę” socjalizmu: jest to bowiem ustrój oparty na niskiej wydajności pracy i chronicznym przeroście zatrudnienia. Nietrudno zaś zauważyć, że i notoryczny absenteizm i niska wydajność pracy są na dłuższą metę zjawiskami szkodliwymi społecznie nawet w oczach kogoś, kto byłby zwolennikiem koncepcji „zero wzrostu”.

Programy zawierają tedy elementy krytycznej wizji obecnego stanu społeczeństwa, ale wizje przyszłości w nich zawarte pozostają bez żadnego związku z tym tak ważnym składnikiem tejsze przyszłości, jakim jest teraźniejszość.

ad c) Jest rzeczą zdumiewającą, że wszyscy autorzy zachowują się tak, jak gdyby w kraju nie istniała instytucja zwana Ludowe Wojsko Polskie, które to Ludowe Wojsko w ciągu ostatnich ośmiu lat posłusznie wzięło udział w inwazji Czechosłowacji, a niedługo potem z równą karnością dokonało masakry robotników gdyńskich. Gdzie zaś jeszcze poza Jemenem — do czego przyznał się w 1964 r. Gomułka — walczyli polscy „ochotnicy”, tego żaden zwykły śmiertelnik wiedzieć nie może, choć wie, w czym interesie ich tam wysłano. Warto też pamiętać, że podobno 92% zawodowej kadry oficerskiej to członkowie „partii”.

Jeśli na przykład chcielibyśmy wysunąć w programie postulat apolityczności armii — a wydaje się, że jest to stan społecznie korzystny — to nie zapominajmy, że jak na razie kadra oficerska LWP jest jak najbardziej polityczna, że stale żyje pod namiotem indoktrynacyjnym, że biorąc pod uwagę ilość obowiązkowych godzin na szkolenie polityczne, żadna inna grupa zawodowa w Polsce nie jest poddana równie zmasowanej i ogłupiającej ‘obróbce’.

ad d) Autorzy programów zdają sobie sprawę z kluczowego charakteru stosunków Polski ze wschodnimi sąsiadami. (Nie uchroniło to PPN-u przed tak skrajną i niebezpieczną naiwnością jak ogłoszenie ‘nieważności’ Paktu Warszawskiego.) Jak-

kolwiek doniosła jest sprawa przyszłych — miejmy nadzieję rozsądnych i bilateralnych — stosunków polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich, polsko-litewskich i polsko-rosyjskich, nie zmienia to faktu, że sytuacja Polski jest i będzie wypadkową układu sił w całej Europie środkowo-wschodniej. Wątpliwe, by udało się uzyskać suwerenność, a choćby nawet i finlandyzację Polski bez zmiany statusu Węgier, Czechosłowacji i Rumunii. Toteż Polska musi mieć koncepcję polityki nie tylko wschodniej i zachodniej, ale w równej mierze południowej. Nie należy zapominać o tym, że Zachód sprzedał Sowietom środkowo-wschodnią Europę m.in. dlatego, że chciał się 'raz na zawsze' pozbyć takich niepojętych dla siebie problemów jak 'Dobrudża', 'Galicja Wschodnia', 'Transylwania' etc. Słuszna zasada, że nie należy liczyć na pomoc Zachodu nie powinna prowadzić do zrażania tegoż Zachodu. Z praktycznego tedy względu a także z powodów natury ideowej musimy zaproponować naszym współuczestnikom sąsiadom taki *modus vivendi*, który do minimum ograniczy niebezpieczeństwa konkurencji, animozji, no i pokusy uciekania się do arbitrażu Moskwy. W ramach rozważań utopijnych — a więc bardzo ważnych — wydaje się, że wzajemna przychylna neutralność na wschodzie oraz wspólnota interesów a w przyszłości faktyczna przyjaźń na południu byłyby rozwiązaniem najlepszym.

Wreszcie sprawa NRD, która dla autorów programu w ogóle nie istnieje. Jeżeli tylko nie jesteśmy Kissingerami, tj. zwolennikami polityki nie liczącej się z nieczyimi aspiracjami narodowymi, to musimy sobie powiedzieć, że naród niemiecki nigdy nie pogodzi się z istnieniem dwóch państw niemieckich. Wobec czego każdy autor polskiego programu politycznego winien mieć w sprawie niemieckiej dwie koncepcje: a) polityka polska w warunkach podziału Niemiec; b) polski punkt widzenia na drogi zjednoczenia Niemiec.

VII

Na pytanie, kto przede wszystkim ma zrealizować dany program, każdy z autorów odpowiada inaczej.

O koncepcji Modzelewskiego była już mowa. Z programu 44 wynika, że mają go realizować w równej mierze wszyscy, obecnej

ekipy rządzącej nie wyłączając. Jest to myśl niewątpliwie szlachetna, ale wolno obawiać się, że trochę nierealna. Sytuacje, w których coś robią wszyscy są zazwyczaj sytuacjami, w których nikt nie robi nic. Istotne — w omawianym punkcie — różnice zachodzą między propozycjami PPN a koncepcją Kuronia.

Grudniowe oświadczenie PPN: „Wierzimy, że wspólnota celów może zrodzić spontaniczną wspólnotę działania”. Nasuwają się tu jednak dwa pytania: z czego ma się zrodzić wspólnota celów? Co robić, jeśli z tej wspólnoty nie zrodzi się wspólnota działania?

Wydaje się raczej, że zwolennicy spontaniczności powinni rozumować inaczej: a) narastanie żywiołowego i nieorganizowanego oporu jest — zważywszy prowokacyjną antynarodową głupotę komunistów — wysoce prawdopodobne; b) możliwe jest, że z tych odosobnionych, żywiołowych akcji zrodzi się wspólnota konkretnych, odcinkowych działań, a przede wszystkim solidarność przekraczająca granice jednego miasta — to będzie punkt zwrotny polskiego ruchu oporu; z tej częściowej wspólnoty może się zrodzić jedność celów dalszych niż cena wieprzowiny.

Całkowicie odmienne jest, jak się wydaje, stanowisko Kuronia. Powiada on, że „w pierwszym rzędzie niezbędny jest ruch wyrażający w sposób zorganizowany dążenia pracowników, a przede wszystkim robotników wieloprzemysłowych”. Mówi również, że za opozycję polityczną uważa „tych wszystkich, którzy całą swoją aktywność w sposób świadomy podporządkowują zwalczaniu totalitaryzmu, tworzeniu suwerenności Narodu i Państwa Polskiego”. Wreszcie, zdaniem Kuronia, ta właśnie opozycja „musi wziąć na siebie faktyczną odpowiedzialność za losy kraju”.

W płaszczyźnie poprawności myślenia wypada zwrócić uwagę, że zakres drugiego z proponowanych przez Kuronia określeń opozycji jest węższy. Tak rozumiana, byłaby opozycja zbiorem przedmiotów takich jak zawodowi opozycjoniści. Z kolei określenie pierwsze jest nieoperatywne w sferze praktyki.

W gruncie rzeczy wydaje się, że poprawniej jest operować trzema pojęciami: ruchy oporu, ruchy oporu politycznego, opozycja. Przez opozycję w tym zestawie należałoby rozumieć stabilne, zorganizowane — a więc posiadające pewną, choćby luźną hierarchię — ruchy polityczne, których ośrodki dyspozycyjne znajdują się poza „partią” i które stawiają sobie cele inne niż zmiany personalne w aparacie lub zmiany kursu z „miękkiego”

na „twardy” czy *vice versa*. Opozycji w tym rozumieniu w Polsce nie ma i wątpliwe, by pojawiła się z dnia na dzień. A ponieważ nie ma również opozycji w węższym z proponowanych przez Kuronia określeń, przeto postulat „przejęcia odpowiedzialności” jest, niestety, niespełnialny z przyczyn natury ontologicznej. Jak się wydaje, wysuwając ten postulat, Kuroń popuścił wodze fantazji, co nie zmienia faktu, że w całości jego „Myśli o programie działania” są tekstem niezwykle pożytecznym, inteligentnym i wywołującym — przynajmniej wśród moich znajomych — ożywione i potrzebne dyskusje.

Zarówno „Myśli” Kuronia jak i grudniowe oświadczenie PPN ze zrozumiałych względów przywiązują dużą wagę do utworzenia i działalności Komitetu Obrony Robotników. Tu trzeba jednak wysunąć jedną stanowczą propozycję — jedyną w tych „Uwagach”, które przecież służyć mają refleksji a nie konkretnym działaniom. Otóż nie wolno dopuścić do „upolitycznienia” KOR-u, do czego zmierza bolszewicka propaganda i taktyka. Nie wolno „upolityczniać” KOR-u ze względów zarówno praktycznych jak i zasadniczych. Względ zasadniczy jest następujący: jedną z ważnych cech totalitaryzmu jest upolitycznienie wszystkiego co, choćby z daleka, przypomina działanie zbiorowe; skutkiem tej tendencji jest całkowite odpolitycznienie społeczeństwa. Bolszewizm nie uznaje podziału na prace społeczne i polityczne, co jest ideologiczną przyczyną faktu, że stanowiska prezesów klubów sportowych objęte są „nomenklaturą” (istnieją oczywiście finansowe przyczyny tej absurdałnej sytuacji). Otóż pomijając oczywiste względy praktyczne, uznanie KOR-u za ruch polityczny byłoby poddaniem się naciskowi myślenia totalitarnego.

O ile tedy nie ma w Polsce opozycji, o tyle istnieją ruchy oporu politycznego. Spontaniczne, rozproszone, nieuhierarchizowane. W tym roku ruchy te przekroczyły niezwykle ważną granicę — przekroczyły ją opracowując i oddając swe programy pod sąd tych szczątków opinii publicznej, które społeczeństwo zdołało zachować mimo trzydzieści lat z górą rządów komunistycznych.

Wszystkie cztery programy, o których mowa wychodzą z założenia, że sytuacja społeczna, gospodarcza i polityczna kraju zmusi „partię” do zmiany stosunków między władzą a społeczeństwem. Jest to bieg wypadków prawdopodobny, lecz wcale nie konieczny. Władza może próbować — a wiele wskazuje na to, że właśnie to czyni — wziąć społeczeństwo „na zmęczenie”, zaś ruchy oporu politycznego albo złamać siłą, albo — co jest

dla władzy korzystniejsze — stłamsić ciągiem drobnych szykan i zepchnąć w sferę prywatnych pogaduszek. Władza może tu liczyć na zniechęcenie (nie docenia się na ogół siły komunistycznego zanudzenia), strach (szczególnie ten o wielkich oczach), oportunizm (tu żelazną gwardię bolszewików stanowią panowie i panie profesor, doktor, docent, inżynier, mecenas), poczucie beznadziejności (pieczołowicie hodowane jako *ultima ratio* broń-Boże-nic-nie-robienia). Słowem władza może liczyć na to, nad czym pracuje wytrwale od lipca 1944 roku — na sowietyzację społeczeństwa.

Jednak właśnie fakt opracowania i puszczenia w obieg społeczny programów politycznych — i to programów prezentujących szeroki wachlarz poglądów — z dwóch względów zmienia sytuację w sposób zasadniczy. Po pierwsze iluś tam ludzi przekonało się, że można o losach ojczyzny myśleć inaczej niż każą; po drugie programy istnieją inaczej niż ruchy społeczne. Można na czas jakiś stłamsić ruch oporu — nie można zniszczyć raz wypowiedzianych na głos programów, bo ludzie i tak będą do nich wracali przy każdej nadarzającej się okazji. A nadarzą się one na pewno, ponieważ jednym z głównych źródeł ruchu oporu jest polityka komunistów. Oni nie mogą nie złościć narodu. To też cokolwiek planują otyli, zapyziali i „pifkiem” zajeżdżający „towarzysze z KC” — rok 76 jest rokiem nieodwracalnych przemian; polski ruch oporu przeciw bolszewizmowi rozpoczął nową fazę istnienia. Jeśli nawet tym razem zostanie stłamszony, to i tak następna fala oporu zacznie się już na nowym, wyższym poziomie.

Lwówek, grudzień 1976

P.S. Przeczytałem bodaj w przedwczorajszym *Życiu Warszawy*, że nieznana bliżej garstka podejrzanych usiłuje ze strzępów syjonizmu, neotrockizmu i zdaje się anarchosyndykalizmu sklecić jakąś niewydarzoną platformę. Oczywiście wrogą Polsce.

Gdyby to nawet była prawda — a nie jest — to i tak byłby to program bogatszy i bardziej polski od wszystkiego, co w nas nachalnie wmuszają towarzysze sekretarze, instruktorzy, oficerowie pol.-wych. no i nasze znakomite pióra — starym zwyczajem gęsie.

Zaiste beznadziejni są ci „nasi” bolszewicy.

ALTERNATYWA

Lat temu kilkanaście pewien profesor matematyki na jednym ze znanych wschodnich uniwersytetów amerykańskich wydał płytę z własnymi piosenkami. Były to piosenki, z grubsza rzecz biorąc, w stylu naszych teatrów studenckich: literackie, polityczne no i satyryczne. Jedna z nich nosiła tytuł „*National Brotherhood Week*”, tj. Ogólnoamerykański Tydzień Pobratymstwa. Treść piosenki była mniej więcej taka: w Stanach wszyscy nie- nawidzą wszystkich; biedni bogatych, bogaci biednych, muzul- manie chrześcijan, ktoś tam jeszcze kogoś tam etc. W tej sy- tuacji autor proponował ustanowienie ogólnonarodowego tygodnia bratania się.

Tyle piosenka. A teraz przejdźmy od zmyślenia wokalnego do zmyślenia politycznego, do tego co nazywane bywa niekiedy grą futurologiczną. Nie lubię tego, co w oficjalnej Polsce upra- wiane bywa jako futurologia i nie bez smutnej satysfakcji obej- rzałem sobie walące się w gruzy futurologiczne zamki niektó- rych panów profesorów, międzynarodowych ekspertów od mod- nych tematów i wykwintnych dziennikarzy. W maju 1967 roku spędzili oni tydzień na Mazurach, opracowując wizje pięknie urządzonej, socjalistycznej Polski. Przewidzieli ci panowie wszy- stko z wyjątkiem paru drobiazgów: wojny na Bliskim Wscho- dzie, przemówienia Gomułki na kongresie związków zawodo- wych, podwyżki cen w grudniu 1970 roku... Poza tym oczywiście nie przewidzieli tego, iż żaden kraj nie może być i socjalistyczny, i pięknie zarządzony. To tak, jak nie można być jednocześnie inteligentnym, uczciwym i komunistą. No ale nie wymagamy zbyt wiele od panów profesorów i wykwintnych dziennikarzy.

Tak więc nie lubię tego, co w Polsce nazywa się futurologią. Niemniej sądzę, że społeczeństwo nie posiadające żadnej wizji

przyszłości musi być chore i że jedną z chorób społeczeństw urządzonych na wzór sowiecki jest właśnie brak jakichkolwiek perspektyw. Co zaś do ludzi, którzy w tychże społeczeństwach starają się myśleć niezależnie, to jakaś wizja przyszłości stanowi tego myślenia składnik niezbędny.

To co mam zamiar napisać stanowi próbę odpowiedzi na pytanie, bez którego — moim zdaniem — żadna wizja przyszłości obejść się nie może, pytanie najczęściej pomijane milczeniem niemal magicznym; myślę rzecz jasna o publikacjach ruchu oporu.

Podstawowe dwie przesłanki mego rozumowania są następujące: a) wszystkie narody wzięte w dyby demokracji ludowej, a także część narodów wchodzących w skład ZSSR, marzą o rozpadzie sowieckiego imperium; b) w pewnym momencie ruchy niepodległościowe w ramach ZSSR i jego europejskich półkolonii okrzepną na tyle, że zaczną prowadzić między sobą pertraktacje, powiedzmy, przed-rządowe.

Pytanie: jak powinna być rozwiązana kwestia granic przyszłych suwerennych „kdl-ów”, krajów bałtyckich, Finlandii, Białorusi, Ukrainy?

Otóż jak się wydaje, wszystkie dające się obecnie pomyśleć odpowiedzi, a także — co ważniejsza — wszystkie nie dające się przewidzieć warianty możliwych odpowiedzi dają się sprowadzić do alternatywy, do dwóch ewentualności.

Pierwsza: ruchy niepodległościowe zaczynają wzajemne kontakty od propozycji przyszłych zmian terytorialnych.

Druga: ruchy niepodległościowe od pierwszej chwili wzajemnie zobowiązują się do:

- 1) uznania w zakresie granic *status quo* powstałego po drugiej wojnie światowej;

- 2) pełnego i faktycznego poszanowania praw mniejszości narodowych wraz z prawem do dobrowolnej i tylko dobrowolnej zmiany kraju stałego zamieszkania;

- 3) nieporuszania przez lat 30 od momentu uzyskania suwerenności sprawy zmian granicznych;

- 4) po tym okresie rozwiązywania ewentualnych korektur granicznych wyłącznie w drodze pokojowych pertraktacji;

- 5) zasady powyższe stosują się do wszystkich europejskich republik związkowych ZSSR oraz do jego europejskich półkolonii, łącznie, rzecz jasna, z obecną granicą polsko-niemiecką;

- 6) zasada piąta nie obejmuje tzw. obwodu kaliningradzkiego, którego przyszłość ustalona zostanie w ramach odrębnych

pertraktacji litewsko-polskich, nie obejmuje ona również sprawy zjednoczenia Niemiec w ramach, i tylko w ramach obecnych granic obu państw niemieckich.

Jak się wydaje, niezależnie od ewentualnych mankamentów sformułowań poszczególnych punktów, idea przewodnia została tu wyrażona w sposób jasny. Otóż przeciw idei tej można wysunąć szereg zarzutów:

- jest doktrynerska do śmieszności;
- nie liczy się z emocjami narodowymi, które stanowią arcyważny składnik sytuacji politycznych;
- jest niesprawiedliwa;
- jest obraźliwa, traktuje bowiem kraje Europy wschodniej i środkowo-wschodniej niczym były kolonie afrykańskie;
- pomija elementarne założenie każdej polityki, które głosi, że żaden polityk nie rezygnuje z góry z tego, co może być zdobyte chytrą lub przemocą, a w każdym razie może być przedmiotem przetargu.

Mam nadzieję, że uczciwie przedstawiłem wszystkie, a przynajmniej główne zarzuty, jakie można wysunąć pod adresem opisanej przed chwilą koncepcji (nazwijmy ją umownie koncepcją stabilności). Postaram się teraz odpowiedzieć na tę krytykę.

Tak — koncepcja stabilności jest doktrynerska w tym sensie, w jakim doktrynerskie są wszystkie świadome i wyrażane wprost założenia długofalowej polityki.

Nie — nie jest tak, by koncepcja ta nie liczyła się z emocjami narodowymi. Nie głosi ona więc, że pozostawienie Transylwanii w ramach państwa rumuńskiego lub monoetniczności Polski stanowią szczyt marzeń każdego Węgry lub Polaka. Wychodzi ona jedynie z założenia, że Węgrzy i Polacy są w stanie dokonać rachunku zysków i strat związanych z omawianą tu alternatywą i przyjąć pewne rozwiązania jako mniejsze zło. Takie sformułowanie zakłada, że wskutek działania wielu przyczyn natury historycznej przede wszystkim (lecz po części i geograficznej) nie istnieje żadne idealne rozwiązanie spraw narodowych w tej części Europy; możliwe są jedynie rozwiązania mniej lub bardziej szkodliwe i wybierać należy właśnie według zasady możliwie mniejszego zła.

Tak — proponowana koncepcja stabilności jest pod wieloma względami niesprawiedliwa. Nie jest bowiem sprawiedliwe ani uznanie granicy litewsko-białoruskiej wedle pomysłów Józefa

Wissarionowicza, ani uznanie, iż Mołdawia jest odrębnym państwem, ani zgoda na włączenie Karelii do Rosji. Niemniej między uznaniem tych, a także innych niesprawiedliwości a ustanowieniem tych niesprawiedliwości przez Związek Sowiecki w latach 1939-1945 zachodzi jedna zasadnicza różnica. Związek Sowiecki dokonywał grabieży i podziałów wbrew woli grabionych i dzielonych narodów. Proponowana tu koncepcja stabilności ma sens jedynie wówczas, gdy jej urzeczywistnienie będzie wynikiem wzajemnego porozumienia najpierw ruchów niepodległościowych, a następnie zainteresowanych rządów oraz jawnego i bezstronnego przedstawienia całokształtu spraw wszystkim zainteresowanym narodom, tak by mogły tą czy inną, demokratyczną drogą omawiane założenia potwierdzić lub odrzucić.

Porównanie sytuacji po-kolonialnej Afryki z Europą wschodnią i środkowo-wschodnią samo przez się obraźliwe może być jedynie dla rasisty, tak się zaś złożyło, że uwagi te nie są adresowane do rasistów. Można natomiast zapytać, jaka jest poznawcza i praktyczno-polityczna wartość tego porównania? Rzuca się więc w oczy, iż ma ono sens jedynie w ograniczonym zakresie. Tu powiem o jednym tylko, ale bardzo ważnym punkcie, w którym sytuacja jest nieporównywalna: w Europie środkowo-wschodniej i wschodniej — w odróżnieniu od większości krajów afrykańskich — mamy do czynienia z narodami w pełni uformowanymi, a więc z tak czy inaczej zrealizowanymi kształtami świadomości narodowej (jest to oczywiście pewna idealizacja, jako że w całej Europie istnieją enklawy niejasnej, pogranicznej świadomości narodowej czy też etnicznej, ale wydaje się, że fakt ten wolno tu pominąć).

Różnicy tej i wszystkich jej skutków nie sposób przecenić. Nie jest jednak tak, by przemawiała ona na niekorzyść koncepcji stabilności. Wskazuje na to następujący przykład: zamieszkujący Transylwanię Węgrzy nie są plemieniem, które należy włączyć do właśnie kształtującego się narodu rumuńskiego. Rumuni i Węgrzy stanowią ukształtowane narody. Węgrzy z okolic Cluj są mniejszością narodową, której należy zagwarantować prawa pełnego rozwoju (do czego zresztą ustrój socjalistyczny *ex re* swej natury nie jest zdolny). Zarówno Węgrom jak i Rumunom można wytłumaczyć, jakie są pozytywne i negatywne pozostawienia Transylwanii w obrębie państwa rumuńskiego, jakie stąd wynikają dla jednych i drugich prawa i obowiązki, jakie instytucje zabezpieczają realizację rzeczonych praw etc. Nie ma potrzeby tłumaczyć, na czym polega odmienność obecnej sytuacji w Afryce.

Na tle powyższej różnicy zauważyć można pewne podobieństwo. Tak więc obecne granice państwowe krajów Europy sowieckiej są wynikiem decyzji typu kolonialnego. Otóż z przykładu Afryki wiemy, na czym polega niebezpieczeństwo takich granic: rewindykacje graniczne w jednym punkcie muszą spowodować reakcję typu lawinowego. Do tej sprawy wypadnie jeszcze powrócić.

Niezależnie jednak od Afryki czy przyszłości naszej części Europy wypada wskazać na bezpłodność poszukiwania granic doskonale sprawiedliwych. W całej Europie granice kształtowały się pod znakiem dwóch wzajem na siebie oddziałujących zasad: historycznej i narodowej, z których druga jest „młodsza”, lecz w ciągu ostatnich lat dwustu o wiele bardziej „aktywna”. Nie znaczy to, że proces kształtowania się granic był czymś na kształt sielanki, lecz to jedynie, iż uzasadniany bywał przez odwoływanie się do jednej z tych racji, albo do obu naraz. Otóż bez trudu daje się zauważyć, że w większości wypadków z zasad tych wynika kontrydiktoryjne rozwiązanie graniczne, zaś konsekwentne stosowanie jednej z nich prowadzić musi do absurdów. Tyle odnośnie punktu czwartego.

Odrzuca się tu jako niemoralne w sferze polityki założenie, iż dobra polityka polega na tym, by zawsze „urwać” co się da lub na szantażu. Do tego bowiem sprowadza się to, co niektórzy nazywają elementarnymi założeniami każdej polityki, a co stanowiło treść zarzutu ostatniego.

Przyjrzyjmy się teraz możliwości pierwszej: ruchy niepodległościowe Europy środkowo-wschodniej i wschodniej zaczynają wzajemne kontakty od propozycji zmiany granic.

Koncepcja ta — nazwijmy ją, znów umownie, koncepcją rewindykacji — łatwiejsza jest do zrealizowania. Przykreść polega na tym, iż w sposób nieuchronny pociąga ona za sobą trzy skutki.

Po pierwsze, wspomniane kontakty od rewindykacji się zaczynają i... na tym się kończą.

Po drugie, rewindykacje zwiększają w sposób arcyniebezpieczny prawdopodobieństwo lokalnych wojen, a nie wolno zapominać, że narody poddane panowaniu Moskwy zainteresowane są w tym, by zamęt związany z rozpadem sowieckiego imperium ograniczyć do możliwego minimum.

Trzecim nieuchronnym skutkiem przyjęcia koncepcji rewindykacji będzie to, iż część Europy o której mowa przestanie być podmiotem własnych dziejów, a stanie się przedmiotem intryg,

ingerencji, walki o wpływy. Przede wszystkim ze strony Moskwy. Ale nie tylko. Nasze — tzn. polskie, fińskie, węgierskie czy litewskie — doświadczenia nie ograniczają się bowiem do tego, że w latach 40-tych Zachód sprzedał nas Związkowi Sowieckiemu. Znamy i drugi wariant polityki Zachodu: wszystkie te traktaty biorące swe nazwy od sławnych francuskich pałaców, traktaty, w których ignorancja aliantów walczyła o pierwszeństwo z chęcią rozszerzenia strefy wpływów. Nie, lepiej już spróbujmy nasze arcytrudne sprawy rozwiązywać sami, bez pomocy Londynu, Paryża czy Waszyngtonu. No i przede wszystkim bez pomocy Moskwy.

Jak się wydaje, wszystkie dające się obecnie pomyśleć warianty przyszłej suwerenności polityki na obszarze od Zatoki Botnickiej po Bałkany i od Ługańska po Zgorzelec w zakresie granic dają się sprowadzić do alternatywy: stabilność lub rewindykacje. Otóż mimo wszystkie wady ewentualność określona tu mianem stabilności wydaje się wyraźnie lepsza, bez porównania pewniej gwarantująca złamanie jarzma Moskwy, bardziej zabezpieczająca przed zakusami ewentualnych pretendentów do hegemonii.

Oczywiście koncepcja ta może być sensowna jedynie przy spełnieniu pewnych warunków. Niektóre, takie jak dobrowolność, przestrzeganie praw mniejszości, jawność zasad sterujących przyjętymi rozwiązaniami, demokratyczne ich potwierdzenie, już to przez ciała ustawodawcze, już to drogą referendum zostały tu już nazwane. Do tego dodać należy jeszcze dwa nieodzowne warunki: globalność układu oraz coś, co można by nazwać gwarancją prawdy historycznej.

Przez globalność rozumie się tu, że koncepcja stabilności ma sens i w ogóle daje się urzeczywistnić jedynie wówczas, gdy realizują ją wszyscy partnerzy. Jeżeli bowiem Finlandia domagać się będzie zwrotu Karelii, po czemu miałaby skądinąd nie-mało danych, to nie ma powodu, by inne państwa nie wystąpiły z własnymi, choć może nie zawsze równie zasadnymi żądaniami. Mówiąc inaczej, jedno odstępstwo od zasady grozi likwidacją zasady.

Przez gwarancję prawdy historycznej rozumie się takie przedstawienie przeszłości, przede wszystkim w szkole oraz w środkach masowego przekazu, które np. nie będzie skrywało, że ziemie wchodzące w skład jednego państwa poddane były kiedyś wpływom kultury innego państwa, że dzieje były tu zawsze lub prawie zawsze krwawe etc. Nie ma więc powodu ukrywać ani tego, gdzie przebiegała w XVI-tym wieku zachodnia granica pra-

wosławia, ani tego, że Wilno przez kilkadziesiąt lat było ośrodkiem kultury polskiej itd., itd. Byłaby to więc praktyka dokładnie odwrotna stosowanej obecnie przez komunistów, którzy skrywają lub wręcz niszczą ślady kultury polskiej na Wileńszczyźnie czy kultury niemieckiej na Ziemiach Zachodnich.

Ewentualni oponenci mogą wysunąć trzy zarzuty:

1) koncepcja stabilności jest całkowicie nierealna, tj. żadną miarą nie da się urzeczywistnić;

2) urzeczywistnienie tej koncepcji związane będzie z ogromnymi trudnościami.

3) Zważywszy obecny stan Europy i świata, wszystkie te rozważania nie mają żadnego sensu — a jak się co zmieni, to zobaczymy.

Na pierwszy zarzut odpowiem, że jeśli koncepcja stabilności jest naprawdę całkowicie nierealna, wówczas skazani jesteśmy na wieczną powtórkę naszych dziejów od czasów saskich poczynając: hańbiąca zawistość, poronne próby naprawy, zrywy niepodległościowe, niewola, krótkie chwile wolności zagrożonej i permanentne skłócenie ze wszystkimi sąsiadami.

Na zarzut drugi przystaję bez oporu. Tyle jedynie, że z wielkich trudności, jeśli chce się je przezwyciężyć, wynika potrzeba wielkiego wysiłku.

Na zarzut trzeci odpowiadać mi się nie chce. Ujęty w całości jest bez sensu, bo „jak się co zmieni”, to najpewniej „zobaczymy” właśnie alternatywę, której omówieniu poświęcony jest cały ten artykuł. I to tylko zyskamy, że intelektualnie i emocjonalnie nieprzygotowani, patrzeć na nią będziemy oczyma głupiego. Bez owego „jak się co zmieni” zarzut trzeci równoznaczny jest z wyznaniem wiary we wieczność sowieckiego panowania. Dziękuję, ale ja do tej wiary nie przystąpię. I nie sądzę, bym był w tej odmowie całkowicie osamotniony.

Lwówek, wrzesień 1978

PO CO PARTII POTRZEBNA JEST PARTIA?

Postaramy się w toku tych rozważań wykazać, iż pytanie postawione w tytule nie jest czczym żartem, że jest co więcej sensowne i że pozwala na uzyskanie pożytecznej odpowiedzi wyjaśniającej niektóre aspekty naszej egzystencji tak w wymiarze dziesięcioleci jak i w sferze życia codziennego.

I

Zacznijmy od kilku danych statystycznych. Nie iżby statystyka sama przez się coś wyjaśniała, lecz dlatego, że śledząc tok naszego rozumowania dobrze jest zdawać sobie sprawę z czysto ilościowego zasięgu zjawiska, o którym mowa.

W 1976 r. ludność Polski wynosiła 34.527.000. W tym samym roku partia bolszewicka nazywająca się PZPR-em liczyła 2.568.000. Zdawałoby się, że to nie tak dużo. Nie należy jednak zapominać, iż ze wspomnianych trzydziestu czterech i pół miliona obywateli PRL w przedziale wieku od 20 do 64 lat, tj. z grubsza w tzw. wieku produkcyjnym znajdowało się 20.135.000 osób. Z czego wynika, że w przybliżeniu 12,7% tejże ludności w wieku produkcyjnym należało do partii, lub mówiąc inaczej, że co ósmy dorosły Polak w wieku przedemerytalnym nosił czerwoną książeczkę, której strzec miał niczym żrenicy oka, płacił składki, chodził na zebrania, wznosił okrzyki, głosował za i przeciw, śpiewał Międzynarodówkę i w ogóle wykonywał masę czynności, których — zdawałoby się — żaden zdrowy na umyśle

człowiek nie powinien „z dobrej woli” wykonywać. I jeśli nawet założyć, iż jakiś tam ułamek owych z górą dwóch i pół miliona partyjnych to tzw. martwe dusze, jeśli dodać, iż w omawianym 1976 r. w „partii” było 180.000 emerytów i rencistów, to i tak 2.500.000 polskich bolszewików to wcale nie tak mało.

II

Co jednak robią ci ludzie poza wznoszeniem okrzyków, płaceniem składek i niechlujnym gracowaniem ścieżek raz do roku (wedle hasła: cała partia grabi Polskę)? A przede wszystkim jakie są ich funkcje w życiu społeczeństwa?

Przyjmujemy tu, że „partia” dzieli się na aparat wraz z instancjami, tj. partię właściwą lub, jak ją nazywa Orwell, „partię wewnętrzną” oraz „szeregowych komunistów”, „masy partyjne”, „doły” czyli „partię zewnętrzną”. Podział ten, jakkolwiek uproszczony, o czym za chwilę, nie jest jedynie sprawą stanu faktycznego. Istnienie tego podziału zakłada leninowska koncepcja tzw. partii nowego typu. Jeżeli przełożyć z nowomowy na język naturalny (w naszym przypadku polski) liczne wypowiedzi Lenina, Bieruta a także odnośne uchwały plenarnych posiedzeń gierkowskiego KC, to okaże się, że wszystko, co się tam mówi na temat roli organizacji daje się zrealizować tylko przy podziale „partii” na organizujących i organizowanych, tj. partię wewnętrzną i partię zewnętrzną. Jest to fundamentalne założenie tzw. nauki o budownictwie partyjnym, która cała, rzecz jasna, sformułowana jest w nowomowie.

Wspominałem, że ten dychotomiczny podział jest upraszczający, zakłada bowiem istnienie ostrej granicy oraz nie-relatywność pozycji poszczególnych ludzi względem siebie. W rzeczywistości istnieje tu dość szeroka strefa pograniczna: członkowie egzekutyw podstawowych organizacji partyjnych, aparat „młodzieżowy”, „kobięcy”, „związkowy”, ludzie nie należący ani do „obieralnych” instancji, ani do aparatu, lecz z racji zajmowanych stanowisk, do których dopełzli lub też dorwali się przez sito nomenklatury partycypujący w pracach aparatu i, co szczególnie ważne, w jego życiu towarzysko-klikowym. Względność podziału na partię zewnętrzną i wewnętrzną polega m.in. na tym, że poważna część lukratywnych stanowisk w przemyśle

i w usługach obsadzana jest przez byłych aparaczyków zachowujących dawne kontakty, charakterystyczny rodzaj emocjonalnego wyczulenia na „nasze” i „nie nasze”, obyczajowość, styl działania i wreszcie sposób myślenia. To ostatnie nie jest jednak tak ważne (czy też jest ważne z bardzo szczególnego względu, a to z uwagi na daleko posuniętą destrukcję języka ludzi partii wewnętrznej. Członkowie partii wewnętrznej, posługując się na co dzień i stale albo nowomową, albo klikowym żargonem, tracą zdolność nazywania zjawisk wedle nowomowy czy klikowego żargonu nie istniejących, a zatem posiadają ograniczone zdolności poznawcze i myślowe. Nie jest to oczywiście proces nieodwracalny, ale zazwyczaj kuracja nie jest ani szybka, ani łatwa, a znane są przypadki nieuleczalne, czego przykładem może być tzw. list 14-tu).

Jeżeli nawet ocena ta wyda się komuś przesadna — a zdaniem piszącego przesadną nie jest — to i tak faktem pozostaje, że znaczna część instruktorów komitetów wszystkich szczebli nie awansuje w ramach aparatu, lecz przechodzi na stanowiska dyrektorów, personalnych, urzędujących wiceprezesów (w tych organizacjach, w których ta właśnie funkcja jest płatna), prezesów różnych spółdzielni itp. Formalnie ludzie ci przechodzą z partii wewnętrznej do partii zewnętrznej, *de facto* jednak stanowią wspomnianą uprzednio szeroką warstwę pograniczną.

Mówiąc tedy o partii wewnętrznej i zewnętrznej, dokonujemy schematyzacji, budujemy sytuację modelową. Podobnie, pisząc w dalszym ciągu o partii wewnętrznej, tak jak gdyby była ona ciałem jednolitym, dokonujemy również uproszczenia, wiadomo bowiem skądinąd, że partia ta zżerana jest przez nieustające klikowe monachomachie, co z kolei odbija się na partii zewnętrznej.

W dalszym ciągu będziemy w miarę potrzeb uwzględniali owe pogranicza i względność, niemniej w zasadniczej części wywodu przyjmujemy założenie ostrego i nie-względnego podziału na partię wewnętrzną i zewnętrzną, na aparat wraz z instancjami i masy członkowskie. Toteż nasze tytułowe pytanie można sformułować, jak następuje: do czego partii wewnętrznej potrzebna jest partia zewnętrzna?

Można również pytanie to rozwinąć, wyjawiając coś, co nazwiemy jego mniemaną przesłanką. Wówczas brzmieć ono będzie: skoro władza komunistyczna oparta jest na fizycznej przemocy, to czy aparat nie mógłby rządzić wyłącznie w oparciu o różne odmiany policji, wojsko i w ogóle machinę terroru, tj. rządzić bez partii zewnętrznej?

Odpowiedź nasza jest negatywna i dotyczy to zarówno pytania jak i tego, co nazwaliśmy rzekomą przesłanką. Ta ostatnia jest fałszywa. To prawda, że rządy komunistów pociągnęły za sobą ogrom ofiar. W skali globu od 1917 r. prawdopodobnie ponad 100 milionów zamordowanych, z czego przytłaczającą większość nie w toku walki o władzę, lecz już po zdobyciu tejże przez komunistów. Niemniej ograniczenie analizy do terroru fizycznego równoznaczne jest z zapoznaniem tego kluczowego faktu, iż zarówno ruch komunistyczny jak i budowane przezeń społeczeństwa socjalistyczne są nie do pomyślenia bez ideologii. Ideologiczne są i partie bolszewickie i społeczeństwa socjalistyczne jako twory tych partii. Rządy komunistów są oparte na przemocy, ale w ramach tej przemocy terror ideologiczny jest równie ważny, a naszym zdaniem nawet ważniejszy niż terror CzeKa, bezpieki, siguranzy czy jak się tam owo potomstwo „żelaznego Feliksa” nazywa w językach amharskim, bułgarskim, hiszpańskim czy koreańskim.

Zapoznając ideologiczny charakter partii i tworzonego przez nią społeczeństwa socjalistycznego, popełniamy co najmniej trzy ważne błędy:

- zacieramy różnicę między rządami bolszewików a despotcją czy dyktaturą klik wojskowych, co jest, nawiasem mówiąc, błędem tzw. lewicy zachodnioeuropejskiej, która nie chce uznać związku ustrojów socjalistycznych z marksizmem;

- odcinamy się od możliwości zrozumienia tego faktu, iż czysto „nieczerwone” ugrupowania, składające się właśnie z partii wewnętrznej, najczęściej nie są w ogóle w stanie zdobyć władzy, w rzadkich zaś przypadkach, gdy im się to udaje, po to by się przy władzy utrzymać muszą wokół siebie rozbudować partię zewnętrzną;

- odcinamy się od możliwości zrozumienia funkcji i znaczenia partii zewnętrznej w ustroju socjalistycznym.

III

Partia zewnętrzna potrzebna jest partii wewnętrznej z co najmniej czterech względów, z uwagi na cztery podstawowe zespoły funkcji, które pełni w ustroju socjalistycznym. Są to funkcje:

- a) ideologiczne
- b) terrorystyczne
- c) rekrutacyjne
- d) mediacyjne

Zanim jednak przystąpię do scharakteryzowania każdej z tych funkcji, a raczej zespołu funkcji muszę wyjaśnić, w jakim sensie używa się tu pojęcia „ideologia” i jego pochodnych ¹.

Przez ideologię komunistyczną rozumie się tu (w skrócie) zespół wypowiedzi wyrażonych w nowomowie i tylko w niej dających się wyartykułować, odwołujących się do autorytetu „klasików” i „historii”, podkreślających swój naukowy charakter i swą proletariacką proveniencję. Z tym, że „historia” (będąca tu i naukowym prorokiem, i sędzią), „naukowość” i „proletariacki” charakter ideologii same są konstruktami ideologicznymi, twórcami nowomowy, tj. nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, empiryczną klasą robotniczą ani z nauką. Co się zaś tyczy Historii, to wystarczy poświęcić się i wejść na pół godziny do dowolnego muzeum historii rewolucji czy muzeum Lenina, czy innej tego typu komunistycznej świątyni, by się przekonać, do jakiego stopnia bolszewicy boją się własnych dziejów. Zresztą nie bez racji.

Ideologia komunistyczna równoznaczna jest z nowomową. Wyrażona w dowolnym normalnym, naturalnym języku, jawi natychmiast swoje paralogizmy (by ograniczyć się jedynie do poprawności rozumowania) ². Z kolei nowomowa służyć może

1. Zainteresowanych czytelników odsyłam do dzieł Hanny Arendt, a w szczególności do „The Origins of Totalitarianism” oraz „Eichmann in Jerusalem” oraz do pracy Alain Besançon’a „Les origines intellectuelles du léninisme”, Paryż 1978. Prezentowane przeze mnie rozumienie ideologii wiele zawdzięcza tym właśnie autorom, mimo iż w niektórych punktach różni się od ich propozycji, które z kolei różnią się między sobą. Z polskich autorów do bliskiego proponowanemu tu rozumienia roli nowomowy dochodzi Jan Gross w swoim artykule „Opozycja polityczna w Polsce”, *Aneks* nr 15/1977. Ściśle rzecz biorąc Gross podkreśla znaczenie słowa w działaniu opozycji. Otóż znaczenie to wynika m.in. z funkcji, jaką pełni nowomowa w ustroju socjalistycznym.

2. Oto pierwszy z brzegu przykład rozumowania podległego nie regułom poprawności, lecz nowomowy: „Sprawy funkcjonowania gospodarki i państwa znajdują się w centrum uwagi partii i rządu. Dobitnym tego potwierdzeniem jest wysoka ranga nadana im w uchwałach VI i VII Zjazdu oraz w materiałach II Krajowej Konferencji PZPR” (przemówienie premiera P. Jaroszewicza, *Trybuna Ludu* z 9. II. 1979). Znajdujemy się tu w obiegu zamkniętym, doskonale odizolowanym od rzeczywistości: dowodem na to, że rząd wywiązuje się ze swych, normalnych przecieży, obowiązków nie są

jedynie do wyrażania ideologii i jej pochodnych (przemówienia, sprawozdania, uchwały rządu, plany gospodarcze, oceny uczniów w szkole, motywacje wyroków sądowych w procesach politycznych, najpewniej donosy itd., itp.) lub do parodiowania samej siebie.

Podstawowymi funkcjami ideologii są:

- znieczulenie na dane doświadczenia oraz wymogi logiki;
- wywrócenie na nice nakazów moralnych starych „eksploatatorskich” kultur, a w szczególności na nakazy i zakazy związane z religią (mam tu na myśli chrześcijaństwo oraz mozaizm, ale prawdopodobnie dotyczy to również islamu czy buddyzmu) ³;

- stworzenie pseudoreczywistości;
- terror intelektualny i moralny zarówno w stosunku do członków partii zewnętrznej i wewnętrznej jak i wobec tych bezpartyjnych, których można sterroryzować.

Z wymienionych tu czterech podstawowych funkcji ideologii komunistycznej (a z niewielkimi zmianami są to, moim zdaniem, funkcje wszelkich ideologii totalitarnych oraz elementów ideologicznych w światopoglądach nie totalitarnych) zastrzeżenia może budzić pierwsza i trzecia. Czytelnik, który po raz pierwszy zetknie się z taką propozycją rozumienia ideologii może zapytać: „po co znieczulenie na dane doświadczenia?” oraz „jak można

rezultaty prac rządu, lecz uchwały Zjazdów i Konferencji, których nikt, nie wyłączając redaktorów *Trybuny*, nie pamięta. Z kolei dowodem słuszności tych uchwał byłyby — możemy się domyślać — fakt, iż rząd głosi, że je realizuje. *Nota bene* w cytowanym tu sejmowym przemówieniu premiera, wygłoszonym w warunkach wyjątkowej dezorganizacji życia w kraju spowodowanej nie tyle zimą, co całkowitą nieodpornością gospodarki socjalistycznej i niewiarygodną nieudolnością rządu, nie poświęca się tym sprawom ani słowa. Jest to w praktyce politycznej komunistów zachowanie normalne: polega ono na zagłuszeniu rzeczywistości. Doskonałym symbolem nowomowy, tego co bolszewicy mają do powiedzenia społeczeństwu, jest znany każdemu słuchaczowi RWE kosztowny ryk zagłuszarek. Można go nazwać rykiem komunistycznej wolności.

3. Analizując funkcje hitlerowskiej nowomowy (*Sprachregeln, language rule*) na przykładzie „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej Hannah Arendt zauważyła: „Ostatecznym celem tego systemu językowego nie było utrzymanie owych ludzi [*tj. posługujących się nowomową — przyp. L.*] w nieświadomości tego, co czynią, lecz powstrzymanie ich od porównywania owych uczynków z ich starą, „normalną” wiedzą na temat morderstwa i kłamstwa”. „Niezwyczajna podatność Eichmanna na utartą frazeologię i konwencjonalne słownictwo połączona z jego niezdolnością do posługiwania się normalnym językiem czyniła zeń idealny obiekt 'reguł języka'” (H. Arendt, „Eichmann in Jerusalem. A Report on the Banality of Evil”, Penguin Books 1976, str. 86).

stworzyć pseudorzeczywistość?”. Odpowiem łącznie na oba pytania.

Cechą charakterystyczną ideologii jest niefalsyfikowalność. Ideologii nie można obalić (nie można więc jej dowieść), ideologia jest zawsze słuszna. Otóż niewywrotność, „zawsze-słuszność” ideologii daje się ustanowić jedynie w warunkach znieczulenia na dane doświadczenia oraz pogardy wobec wymogów poprawnego myślenia. Ale skutecznie znieczulić na dane doświadczenia można jedynie wówczas, gdy na miejsce empirii dostarczy się czegoś innego — właśnie pseudorzeczywistości, w której m.in. nie obowiązują reguły logiki. Kreując pseudorzeczywistość, nowomowa orzeka zarazem, o czym i w jaki sposób wolno mówić, o czym zaś mówić w ogóle nie wolno.

Weźmy takie dwa zdania :

„Rozwój gospodarczo-społeczny kraju w okresie 1976-1978 wykazał słuszność przyjętej polityki.”⁴

„Podkreślając, iż ideowość stanowi podstawę frontu wychowawczego, minister Obrony Narodowej mocno zaakcentował konieczność spożytkowania dorobku sił zbrojnych w dziedzinie ideowego hartowania kadr dla umacniania gotowości bojowej.”⁵

Otóż zdanie pierwsze jest opisem tego, co się działo w pseudorzeczywistości. W rzeczywistej bowiem Polsce przebieg procesów społeczno-gospodarczych dowodnie wykazał zgubność przyjętej przez „partię” polityki.

Zdanie drugie po prostu nie ma sensu, i to nie dlatego, że dziennikarz źle streścił słowa ministra, lecz dlatego, że wypowiedź ministra jako wygłoszona w nowomowie nie musi podlegać regułom sensu.

Przykłady podaliśmy tu świadomie pierwsze z brzegu, z prasy codziennej, m.in. po to, by wykazać, że zwolennicy tezy o „śmierci ideologii” we współczesnej fazie ustroju socjalistycznego tkwią w błędzie. Ten ustrój nie może być inny niż ideologiczny. Można by z równym powodzeniem dowieść tezy o znieczulającej na empirię i krępującej pseudorzeczywistość funkcji ideologii na pismach „klasyków”, a także na przykładzie odbioru tych pism przez komunistów i ich sympatyków nawet tak odległych jak ci, któ-

4. Edward Gierek, referat wygłoszony na XIII plenum KC PZPR, *Trybuna Ludu* z 14. XII. 1978.

5. „Marksistowska edukacja — ideową podstawą pełnej realizacji zadań”, *Żołnierz Wolności* z 27. XI. 1978.

rzy sądzą, że idea jest piękna, a jedyną jej wadą jest pewna uto-
pijność.

Co się tyczy pseudorzeczywistości, to wszyscy — *nolens volens* — spędzamy w niej znaczną część naszego życia. Stojąc w kolejce po (wszystko jedno, po co), wchodzimy w pseudorzeczywistość, w której słowem „handel” określa się coś, co na pewno handlem nie jest, a powinno być raczej nazwane przypadkową dystrybucją źle wykonanych, brakujących przedmiotów (często pierwszej potrzeby).

Pseudorzeczywistością jest ustrój socjalistyczny jako całość, a także takie poszczególne przejawy jego istnienia jak np. gomułkowska kampania przeciwko koniom, chruszczowowska kampania za kukurydzą, gierkowskie „szukamy 20 miliardów”. Pseudorzeczywistością są wiece, na których przodujący przodownicy odczytują potępiające potępienia biskupów, syjonistów, warchołów z Radomia i Ursusa, głodomorów (z kościoła św. Marcina), Chińczyków i czyj tam jeszcze los wyciągnie bolszewicka papuga na nieustającym festynie komunistycznej ideologii.

Każdemu z nas zdarza się mimowiednie przyjąć ideologiczną pseudorzeczywistość za rzeczywistość. Prowadzi to do nieporozumień. Podam jeden tylko przykład, o tyle znamienity, że pochodzący od autora nader realistycznego obrazu naszej gospodarczej rzeczywistości. W znakomitym, wydanym przez PPN opracowaniu Jerzego Barteckiego pt. „Gospodarka na manowcach” w rozdziale „Erozja systemu planowania” czytamy:

„Jednym ze szczególnie błędnych przekonań jest wiara, że mamy u nas lepiej lub gorzej funkcjonujący system gospodarki planowej. Takiego systemu nie ma. Istnieje wprawdzie ogromny aparat instytucjonalny tego systemu, liczący setki tysięcy zatrudnionych, aparat produkujący plany, koordynujący je *ex ante* i *ex post*, są instytucje rządowe i ciała polityczne uchwalające takie plany. Cały sens powoływania i działania tego (...) aparatu sprowadza się do tego, aby zapewnić on sprawne funkcjonowanie gospodarki, a więc rozwój harmonijny i szybki. Zamiast tych efektów planowania aparat rządzenia potrafi tylko s t w a r z a ć p o z o r y (podkr. L)”. Dalej autor pisze: „Wielka szansa gospodarki planowej, jaką jest i powinno być takie sterowanie procesami gospodarczymi, by zapewnić harmonijny rozwój, zostaje tym samym zaprzepaszczone”⁶.

6. Jerzy Bartecki, „Gospodarka na manowcach”, PPN 24, październik 1978.

Uważna lektura przytoczonych tu fragmentów ujawnia pewną ich niespójność. Z jednej strony autor wie i doskonale opisuje faktyczny stan rzeczy określany mianem „gospodarki planowej”, tj. wie, iż „aparat planowania i rządzenia potrafi tylko stwarzać pozory”. Z drugiej jednak strony mówi o „erozji systemu planowania”, „wielkiej szansie gospodarki planowej”, która została zaprzepaszczone. Otóż jest to, moim zdaniem, nieporozumienie. System planowania w krajach socjalistycznych nie uległ żadnej erozji, zakładałoby to bowiem, że kiedyś był zdrowy i dobrze funkcjonował, wiemy zaś, że nigdy tak nie było. „Gospodarka planowa” nigdy nie miała najmniejszej szansy funkcjonowania sprawnie i z pożytkiem dla społeczeństwa.

Źródłem tego nieporozumienia jest fakt, iż Bartecki traktuje takie pojęcia jak „plan”, „gospodarka planowa”, „Komisja Planowania” etc. jako należące do normalnego, naturalnego języka. A tymczasem są to pojęcia ze sfery ideologii, a więc nowomowy. „Aparat planowania” ma stwarzać pozory, ponieważ jest konstruktem ideologii, ponieważ taka jest jego faktyczna funkcja wyrażona w normalnym języku. Dowiedzenie ideologicznego charakteru „gospodarki planowej” nie przedstawia trudności. Można pokazać, w jaki sposób koncepcja ta wynika z marksistowskiego rozumienia alienacji człowieka w „ustrojach klasowych” oraz z koncepcji przewyciężenia tej alienacji w społeczeństwie rządzonym przez „proletariat”. Nie jest to zresztą źródło jedyne; pozostałe, jak „dyktatura proletariatu”, „centralizm demokratyczny”, „prymat polityki nad ekonomią” noszą równie ideologiczny charakter, są zatem tworem nowomowy, tj. służą kreowaniu pseudorzeczywistości.

IV

Ideologiczna funkcja, ideologiczny aspekt istnienia partii zewnętrznej są zdumiewająco proste. Partia zewnętrzna istnieje po to, by wykazać, że marksistowsko-leninowska nauka o społeczeństwie jest słuszna. Kryje się za tym cała drabina pseudowniosekowań: proletariat jako szczególna klasa społeczna; jego dziejowa misja; fakt, iż ów proletariat „wysyła” najlepszych swoich ludzi do partii komunistycznej, ta zaś wyłania z siebie

własny kolektywny rozum w postaci komitetu centralnego. Wszystko to dzieje się w sferze tego, co niektórzy nazywają ideologiczną legitymizacją ustroju, tzn. w pseudorzeczywistości.

Ideologiczny aspekt istnienia partii zewnętrznej wyznacza jej przynależność do pseudorzeczywistości, co pociąga za sobą liczne skutki, z których koniecznie wymienić należy dwa. Po pierwsze partia zewnętrzna nie może być spontanicznie aktywna, musi bowiem podlegać temu, kto będąc kapłanem i stróżem ideologii tworzy pseudorzeczywistość, tj. partii wewnętrznej. Po drugie istnienie partii zewnętrznej jest kalekie; należąc do pseudorzeczywistości, istnieje ona inaczej niż prawdziwe organizacje społeczne, których zresztą w ustroju socjalistycznym nie ma. Można powiedzieć, że partia zewnętrzna istnieje częściowo, do pewnego momentu. Do tego mianowicie, w którym rzeczywistość w sposób gwałtowny wydobywa się spod kontroli pseudorzeczywistości. Tak tedy partia zewnętrzna nie istniała ani w Poznaniu w 1956 roku, ani na Wybrzeżu w 1970 roku, ani w Łodzi w 1971 roku. Nie było jej w całej Polsce w ciągu owych 24 godzin między ogłoszeniem a odwołaniem podwyżki cen w czerwcu 1976 roku. W najlepszym wypadku pozostawali poszczególni „*ich war nur ein kleiner Parteigenosse*” — ale i to rzadko. Rozkwita natomiast partia wewnętrzna na wszelkiego rodzaju wyreżyserowanych wiecach. Spektakle tego typu pełnią funkcje zarówno ideologiczne jak i terrorystyczne. Ideologiczne polegają na tym, że partia wewnętrzna, starannie przygotowując różne „masówki”, czerpie z nich poczucie, iż jest przez „masy” popierana, więcej — kochana, a więc pseudorzeczywistość istnieje naprawdę, ideologia jest słuszna, świat toczy się kolejnami wytyczonymi przez „naukowy socjalizm”. Ponieważ „masy” nie mają żadnej możliwości powiedzenia, co o tym sądzą, same zaś zasady reżyserii są przez nie raczej przezuwane niż poznane, przeto wszystko na zewnątrz wygląda tak, jak gdyby pseudorzeczywistość była rzeczywistością, tj. jak gdyby ktoś kogoś na tych wiecach naprawdę popierał.

Powyższe nie oznacza, iż piszący te słowa należy do grona tych naiwnych antypatyków socjalizmu, którzy sądzą, iż jest to ustrój opierający się wyłącznie na sowieckich bagnetach. Są one wprawdzie fundamentem tego ustroju, ale w ciągu jednej trzeciej tego stulecia wytworzyło się w Polsce wiele grup zawodowo zainteresowanych w kontynuacji istniejącego stanu rzeczy. W każdym kraju socjalistycznym spora część ludności jest do tego ustroju przywiązana chociażby dlatego, że zapewnia on mini-

mum utrzymania nie wymagając więcej niż minimum wysiłku. Ale to nie ma nic wspólnego z przynależnością do „partii” czy z ideologicznym aspektem istnienia partii zewnętrznej.

V

Terrorystyczne, tj. zastraszające funkcje partii zewnętrznej obejmują szeroki zakres działań tak zbiorowych jak indywidualnych, które w nowomowie określane są mianem „aktywnej postawy”, „realizowania linii ostatniego plenum, zjazdu, przemówienia” (niepotrzebne skreślić), „podejmowania inicjatywy”, „dawania odporu”, „pełnej aprobaty”, „entuzjastycznego poparcia” itp. Lub, by posłużyć się współczesnym cytatem:

„Należy wyjaśniać istotę sytuacji społeczno-gospodarczej, uzasadniać politykę partii, odpierać demagogię, zwalczać plotkę. Powinniśmy także w środowiskach, w których działamy kształtować odporność na trudności, wytrwałość w dążeniu do wspólnie ustalonych celów, zdolność do obiektywnej, sprawiedliwej oceny złożonych sytuacji, zdyscyplinowanego działania w ich obliczu”⁷.

Brak tu miejsca na szczegółową analizę tego cytatu. Z uwagi jednak na czytelników nie zaprawionych w odszyfrowywaniu nowomowy dokonać wypada rozbioru choćby jednego zdania.

„Należy wyjaśniać *istotę* (podkreślenie L.) sytuacji społeczno-gospodarczej...” Dlaczego *istotę*, a nie po prostu sytuację? Bo sytuacja dana jest każdemu z nas w codziennym doświadczeniu, natomiast w nowomowie „*istota* sytuacji” jest zaprzeczeniem sytuacji i polega na tym, że wbrew doświadczeniu, wbrew faktom wszystko jest w porządku, kraj nie przeżywa ciężkiego i wielostronnego kryzysu, polityka partii jest słuszna itd. Ktoś, kogo interesuje ideologiczne zaplecze owej „*istoty* sytuacji” może sobie sięgnąć do dzieł Lenina (iks pogardliwych wypowiedzi o „fakcikach”), do Lukacsa (konceptja „*całości*”) lub dla ułatwienia do wykładu poglądów tychże w II i III tomie „Głównych nurtów marksizmu” Kołakowskiego.

Wróćmy do analizowanego zdania: należy „uzasadniać poli-

7. Plenarne obrady Komitetu Warszawskiego... Skróć referatu egzekutywy KW PZPR, *Trybuna Ludu* z 9 i 10. XII. 1978.

tykę partii, odpierać demagogię, zwalczać plotkę”. W nowomowie demagogia oznacza żądania niekiedy wręcz elementarne; plotką w nowomowie jest każda wiadomość, której źródłem nie są socjalistyczne środki masowego przekazu, szkolenie polityczne lub poufne dokumenty partyjne przeznaczone przede wszystkim dla partii wewnętrznej. Otóż polityki „partii” nie można uzasadniać, bo brak po temu argumentów, poza ewentualną aluzją do tego, że tak każą sowietci (co zresztą nie zawsze jest prawdą). Politykę tę można jedynie niby uzasadniać „odpierając demagogię” i „zwalczając plotkę”, tj. zastraszając tych, którzy niekiedy choćby z naiwności ducha, wykazują nonsensowność już nie całej polityki „partii”, lecz jakiegoś jej fragmentu. Oczywiście równie, a nawet bardziej terroryzującym działaniem będzie czynienie aluzji do sowieckiego dyktatu czyli tzw. strzelanie z grubej rury, do czego zresztą uciekał się raczej Gomułka niż Gierek.

Skala tych działań zastraszających jest niezwykle szeroka i zaczyna się od dobrotliwego „bo się doigracie”, prowadzi przez mniej przyjemne rozmowy w stylu „my u siebie wrogów tolerować nie będziemy” do akcji bojówkarskich wznowionych ostatnio przez „aktyw młodzieżowy” w ramach ideologicznego zwalczania TKN, a kończy się na wrzasku motłochu partyjnego spędzanego na stadion 10-lecia w lipcu 1976 czy do Sali Kongresowej w marcu 1968. *Nota bene* to na tym przesławnym wiecu Edward Gierek został okrzyczany duumwirem, o czym godzi się od czasu do czasu przypominać. Wbrew pobożnym życzeniom większości zachodnich dziennikarzy Gierek nie jest żadnym „technokratą” czy „pragmatykiem”, lecz wybrańcem tłuszczy z *parteitagu* 17 marca 1968 roku.

Członkowie partii zewnętrznej oburzają się na określenie ich działalności jako terrorystycznej. Ich pierwszą reakcją będzie odmowa przyjęcia do wiadomości tego, że w normalnym polskim (hiszpańskim, japońskim, rosyjskim etc.) języku działalność ta nazywa się zastraszaniem. Cytowana już uprzednio w przypisie uwaga Hanny Arendt w pełni odnosi się do omawianej sytuacji. Funkcja takich zwrotów nowomowy jak „dawanie odporu”, „aktywna postawa członka partii” itp. do tego się sprowadza, by przed samymi działającymi ukryć faktyczny moralny sens ich zachowań, kryptonimowanych przez nowomowę.

Może się jednak zdarzyć, że członkowie partii zewnętrznej postawieni niejako twarzą w twarz z normalną nazwą ich działalności będą próbowali odpowiedzieć w sposób racjonalny. Najpewniej będą przy tym wysuwali jeden z dwóch argumentów.

Po pierwsze, że jakie to zastraszanie — oni jedynie wyjaśniają, dlaczego słuszny jest kolejny „manewr gospodarczy” albo dlaczego polska racja stanu wymaga popierania tego a nie innego dyktatora w Kambodży, albo dlaczego i w jaki sposób należy szukać 20 miliardów... Po drugie, znaczna część z nich powie, że niczego takiego nie robią, bo w ogóle i Kambodżę, i Etiopię, i Somalię, i szukanie miliardów mają... Znajdą się wreszcie i tacy, którzy użyją obu argumentów.

Z tymi ostatnimi trudno dyskutować, skoro zachowują się niczym owa kumoszka z anegdoty, która twierdziła, że po pierwsze nie pożyczła od sąsiadki żadnego garnka, a po drugie garnek już uprzednio był dziurawy. Z kolei tych, którzy twierdzą, że nikogo za niczym nie agitują, nikomu nie grożą, bo w ogóle ich to nic nie obchodzi możemy zapytać, czy również nie chodzą na zebrania partyjne, nie głosują na tych zebraniach „za” i „przeciw” zgodnie z „propozycjami” egzekutywy — i w ogóle czy poza płaceniem składek postępowanie ich w niczym się nie różni od postępowania ich bezpartyjnych kolegów.

Skądinąd jest faktem, że wielu członków partii zewnętrznej i wewnętrznej nie ma żadnych osobistych przekonań, a nawet poufnie się tym szczyci, uważając posiadanie przekonań za dowód naiwności, „nieżyciowej postawy” czy wręcz głupoty. Wielu ludzi uważa to za potwierdzenie tezy o martwocie współczesnej ideologii komunistycznej. Rzecz jednak w tym, iż ideologia świetnie prosperuje w warunkach braku przekonań, oczywiście przy założeniu, iż owi pozbawieni przekonań członkowie partii wewnętrznej i zewnętrznej uznają zasadę, że aktualnie partia ma zawsze rację, że miała ją również w przeszłości, błędy zaś popełniały jednostki z niewiadomych przyczyn zajmujące czołową pozycję w hierarchii partyjnej: Jeżow, Beria, Żydzi, banda czworga itp. Relacje między brakiem przekonań a ideologią analizuje Hannah Arendt we wspomnianej tu już książce o Eichmannie.

Pozostaje argument pierwszy. Cóż to za zastraszanie? Przecież ja jedynie na zebraniu zmiany odczytałem z kartki propozycje zrobienia czegoś w ramach akcji „szukamy 20 miliardów”.

Otóż właśnie.

Założmy, że choć jeden z uczestników owego zebrania miał ochotę powiedzieć, że:

a) dla takich to a takich powodów akcja „szukamy 20 miliardów” jest całkowicie bezsensowna i zostanie w ciągu kilku miesięcy dokumentnie zapomniana;

b) że jedynym faktycznym skutkiem całej akcji będzie okre-

sowe zwiększenie czegoś, co nazywa się nieładnie „wyzysk”, który co gorsza nikomu nie przynosi żadnego pożytku;

Otóż fakt, iż „nasz” partyjny, po zagajeniu wygłoszonym przez sekretarza, dyrektora czy kierownika zmiany wstał i z kartki przygotowanej w Komitecie partyjnym odczytał to co odczytał z góry odstręcza tych, którzy mieliby ochotę powiedzieć, co o tym wszystkim naprawdę sądzą, odcina całość zebrania od świata rzeczywistego i wypycha w świat komunistycznej, ideologicznej pseudorzeczywistości.

Oczywiście w porównaniu z gułagiem czy choćby zwykłym pałowaniem na komisariacie takie dukanie z kartki nie wygląda groźnie. Ale też zastraszające funkcje partii zewnętrznej nie są i nie mają być bezpośrednio fizyczne czy policyjne⁸. Warto pamiętać o tym, że w krajach, w których istnieją masowe partie komunistyczne, ale komuniści nie sprawują władzy, członkowie partii zewnętrznej pełnią podobne, choć nie tożsame funkcje zastraszające. Na ogół nie zdajemy sobie z tego sprawy, bowiem nasze polskie doświadczenie wyczula nas nie tyle na samodzielną, zastraszającą rolę partii zewnętrznej, co na związki „partii” z terrorem policyjnym. Nie negując doniosłości tych związków w krajach rządzonych przez komunistów, należy tu podkreślić, że zapoznavanie samodzielnej funkcji zastraszającej partii zewnętrznej jest, naszym zdaniem, poważnym błędem poznawczym (partia zewnętrzna jest, rzecz jasna, poddawana zabiegom ideologiczno-zastraszającym ze strony partii wewnętrznej, a jej członkowie są bardziej na te zabiegi wyczuleni. Tak zwane pranie mózgów — a nie mamy tu na myśli zabiegów farmakologicznych czy hipnotycznych, do których komuniści, poza wyjątkowymi wypadkami, nie uciekają się — jest łatwiejsze w stosunku do członków partii zewnętrznej niż w stosunku do bezpartyjnych. Człowiek wstępujący do partii, świadomie lub nie, daje znać, że chce, aby mu wyprano mózg).

Wspomniałem uprzednio, że zastraszające funkcje partii zewnętrznej obejmują nader szeroki wachlarz działań zarówno zbiorowych jak i indywidualnych. Jak się wydaje, te działania typu terrorystycznego podzielić można na dwie grupy: przymuszające i odstrasające. W nowomowie pierwsze nazywają się „podejmowaniem inicjatywy”, „dawaniem przykładu” itp. Po-

8. Kiedy sekretarz komitetu zakładowego wzywa na rozmowę jakiegos „rozrabiacza” i mówi doń: uspokójcie się wreszcie, my tu was bronimy przed tymi, co wiecie, ale długo to już nie damy rady — to niezależnie od prawdziwości czy fałszywości takiego oświadczenia pełni ono funkcje policyjno-zastraszające.

legają one na przymuszaniu ludzi do wykonywania czynności, na które nie mają chęci i które w większości wypadków są albo nonsensowne, albo sprzeczne z obowiązującymi przepisami prawnymi, w szczególności z prawem pracy. Często zaś są i nonsensowne, i bezprawne. Otóż gdyby nie naganiacze z partii zewnętrznej, to albo nikt by tych czynności nie wykonywał, albo — w przypadkach takich jak katastrofa w kopalni, powódź itp. — byłyby wykonane bez popychania ze strony partii. Klasycznym przykładem tego, że „inicjatywa partii” jest czymś, co należy do pseudorzeczywistości są wezwania „partii” do rolników, by orali, siali, kosili siano, żęli zboże.

Wszystkie odstrasżające działania partii zewnętrznej sprowadzają się do tego, że każdy członek partii może w dowolnym momencie oskarżyć „rozrabiacza” i że skutkiem tego donosu może być: pozbawienie premii, przeniesienie do gorszej pracy, usunięcie z pracy, nieprzyjęcie dziecka do żłobka lub przedszkola, uniemożliwienie wyjazdu za granicę, pobicie przez „nieznanych sprawców” czy wreszcie pozbawienie wolności. To ostatnie w Polsce stosowane jest od 1955 roku stosunkowo rzadko. W nowomowie nazywa się to „dawaniem odporu”, „zwalczaniem plotki”, „przekonywaniem” i posiada pozory działań perswazyjnych. Jednakże większość tych perswazji byłaby bezskuteczna, gdyby nie milczące przeświadczenie obu stron, że za tą perswazją kryją się wszystkie administracyjno-policyjne możliwości ustroju socjalistycznego, których dowiódł on — w Polsce — za pierwszych rządów Gomułki i za Bieruta. Toteż pamiętać należy, że względna łagodność reżymu jest swoistym odcinaniem kuponów po Stalinie: łagodność łagodnością, a każdy wie, do czego ustrój jest zdolny.

Uwagi te dotyczą większości działań perswazyjnych, jednak nie wszystkich. Istnieją bowiem sfery, w których propaganda partyjna skuteczna jest sama przez się. Na przykład wtedy, gdy odwołuje się do ksenofobii, ale nie tylko. Jednak problem, jaki typ propagandy partyjnej jest samoistnie skuteczny nie mieści się w ramach niniejszego opracowania.

Obraz powyższy może się wydać zbyt czarny. Spotykamy wszak w życiu członków partii zewnętrznej, co do których z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przypuszczać, iż nigdy na nikogo nie donosili, nie występowali z żadnymi „inicjatywami”, nie dawali „odporu” i którzy w prywatnym gronie zaufanych psioczą na bałagan, nieudolność „kierownictwa”, sowiecką ingerencję itd. Mogłoby się wydawać, że ich obecność w „partii” jest czymś w rodzaju *acte gratuit* lub że wstąpili do

„partii”, by dostać pracę, awansować, zapewnić dzieciom przyjęcie na studia. Słowem po to, by od „partii” brać. Otóż „partia” nie daje niczego za darmo. Wstąpiłeś po to, aby zostać kierownikiem zmiany — w czasie najbliższego kryzysu będziesz się zachowywał tak, jak ci „partia” każe. Całe społeczeństwo może uważać, że tzw. kierownictwo w czerwcu 1976 r. dowiodło swej absolutnej nieudolności, ale ty — w kilka dni po fali strajków — będziesz głosował za wiernopoddaną rezolucją wielbiącą kolektywną mądrość Gierka, Babiucha, Szydlaka i w ogóle komitetu centralnego. Po czym przeczytasz o sobie w prasie: „Komuniści Poznania, Warszawy, Katowic, Niska (niepotrzebne skreślić) aprobuja decyzje ostatniego...” Powiesz, że to bajdoły. Może. Ale ta bajka baje o tobie.

VI

Rekrutacyjne funkcje partii zewnętrznej podzielić można na dwie grupy, z których pierwszą nazwiemy umownie mianem naboru, a drugą mianem nomenklatury.

Zasadnicza funkcja naboru jest oczywista i nie warto się nad nią rozwodzić. Nabór jest niezbędnym warunkiem istnienia partii zewnętrznej, a ponieważ partia wewnętrzna rekrutuje się z partii zewnętrznej, przeto bez naboru niemożliwe jest istnienie partii „jako takiej”.

Istnieje tu wiele zagadnień psychologicznych i socjologicznych, które należałoby wyjaśnić posługując się różnymi technikami badawczymi. Tak się jednak składa, iż żadna partia komunistyczna, niezależnie od tego, czy sprawuje władzę, czy nie, nie godzi się na prowadzenie takich badań, a nawet na publikowanie wyników własnych analiz. Z drugiej strony, jakkolwiek cenne mogłyby być wyniki analiz tego typu — przykładem służyć mogą niektóre prace A. Kriegel o Francuskiej Partii Komunistycznej — wątpliwe jest, aby obaliły one tę podstawową i banalną tezę, że zasadniczą funkcją naboru jest fizyczne istnienie partii zewnętrznej i wewnętrznej.

Nomenklaturę można nazwać wyższą formą rekrutacji. Mimo że legalnie nic takiego jak nomenklatura nie istnieje, a teoretycznie istnienie jej jest sprzeczne z konstytucją, nomenklatura stanowi jeden z najzazdrośniej strzeżonych przywilejów bolszewickiego sposobu sprawowania rządów.

W skrócie nomenklaturą nazywa się bezprawna zasada, zgodnie z którą obsadzanie określonych stanowisk we wszystkich, powtarzam, we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, społecznego i politycznego wymaga zatwierdzenia przez odnośne instancje partyjne: komitet gminny, egzekutywę komitetu wojewódzkiego, sekretariat KC, biuro polityczne. Nie wszystkie stanowiska objęte nomenklaturą muszą być obsadzone przez partyjnych, są i takie, które „wypada” powierzać bezpartyjnym (po dokładnym zbadaniu stopnia dyspozycyjności kandydata). Wolno jednak zakładać, że co najmniej 80% posad należących do nomenklatury przeznaczonych jest dla bolszewików. Ponieważ nomenklatura obejmuje stanowiska prezesów klubów sportowych, dyrektorów ośrodków wczasowych, personalnych we wszystkich instytucjach w kraju, nie mówiąc o posadach w handlu zagranicznym czy o kierowniczych etatach w przemyśle, w instytucjach naukowych, w wydawnictwach i środkach masowego przekazu, przeto członkowie partii zewnętrznej mają do spełnienia gigantyczne zadanie obsadzenia większości tych posad. Jest to druga funkcja rekrutacyjna partii wewnętrznej.

Trzeba powiedzieć, że członkowie partii zewnętrznej wywiązują się z tego zadania na ogół bez oporów, a nawet ze znaczną dozą komunistycznego entuzjazmu.

Ważną okolicznością związaną z realizacją drugiej funkcji rekrutacyjnej partii zewnętrznej jest to, że system socjalistyczny nie zna czegoś takiego jak normalna rotacja kadr. Toteż „partii” potrzebne są od czasu do czasu „trzęsienia ziemi”, dzięki którym zwalnia się pewna część lukratywnych stanowisk objętych nomenklaturą. W ten sposób społeczeństwo ma bezpłatny spektakl (presada, te spektakle bywają nader kosztowne), zaś niektórzy członkowie partii wewnętrznej i zewnętrznej lepsze posady.

VII

Mediacyjne funkcje partii zewnętrznej w ustroju socjalistycznym są najliczniejsze, najbardziej skomplikowane i, o ile mi wiadomo, najmniej zbadane. Spróbujmy je wysledzić i nazwać.

Jak się wydaje, pierwsza i podstawowa funkcja mediacyjna partii zewnętrznej polega na tym, iż stanowi ona ciało pośredniczące między partią wewnętrzną a resztą społeczeństwa. W

ustroju, który *ex definitione* nie zna pośredniczeń społecznych — tego ohydneho wymysłu liberałów — członkowie partii zewnętrznej pełnią funkcje szczególnego amortyzatora. W krajach rządzonych przez komunistów partie bolszewickie, łagodnie mówiąc, nie cieszą się nadmiarem sympatii. „Partia” jest tworem obcym i raczej niesympatycznym. Pomijając już bowiem jej sowiecką proveniencję, której nie jest w stanie zakryć żadna patriotyczna frazeologia czy wręcz nacjonalistyczna demagogia, „partia” jest w życiu codziennym czymś w rodzaju karbowego w złe rządzonym majątku. Otóż między bezpartyjnym Janem Kowalskim a partią-karbowym jawi się jako amortyzator stryjeczny Józef Kowalski, z którym i wypić można, i o „męskich” sprawach pogadać i nawet na „Mochów” ponarzekać, a który jest właśnie członkiem partii zewnętrznej. Partyjny stryjeczny Józef Kowalski ucłowiecza „partię” w oczach bezpartyjnego Jana Kowalskiego.

Ze stryjecznym chodziło się razem do szkoły i na pierwsze zabawy w miasteczku. On, ten partyjny, jeszcze będąc w ZMS-ie, prawda o dwa lata starszy, pierwszy przeniósł się do wojewódzkiego miasta (i to jeszcze wtedy, kiedy województwo to było województwo). On pomógł człowiekowi w znalezieniu pracy, bo choć partyjny, ale dla rodziny serce ma i głowę na karku też. A zresztą jaki on tam partyjny, skoro dzieciaki ochrzcił, a na Boże Narodzenie i Wielkanoc to i wyżerka u niego prawdziwie polska. I kiedy parę tygodni temu „Pod flisakiem” jakiś ćwok, zobaczywszy nadchodzącego Józka, powiedział „o idzie ten partyjny ciul”, to mu się od serca i bez wahania przylało w ten chamski dziób. Głupia ta Hela co mówi: ty przy nim języka nie rozpuszczaj.

Stryjeczny Józef Kowalski nie tylko ucłowiecza obraz „partii”, w oczach bezpartyjnego Jana Kowalskiego. Jeżeli Janowie Kowalscy wierzą, iż wystarczy, by w partii doszli do władzy „swoi” ludzie, a wszystko będzie w porządku (zaś Kowalscy wierzą w to częściej niż tzw. opozycja skłonna jest sama przed sobą przyznać), to materialną podstawę tej wiary tworzą właśnie owe dwa i pół miliona szwagrów, ciotek i wnuków należących do partii zewnętrznej.

„Rodzinny” typ mediacji to w gruncie rzeczy coś więcej niż „amortyzator”. Powiązania te powodują, iż „partia” jest w społeczeństwie w jakiś sposób zakorzeniona. Ideologia komunistyczna głosi, iż „partia jest partią narodu”, wyraża jego aspiracje, realizuje jego dążenia. Traktowana dosłownie, tj. nie w ramach nowomowy, teza ta jest fałszywa; w nowomowie znaczy zaś prze-

de wszystkim to, że partia wyraża te aspiracje narodowe, z których naród sam sobie nie zdaje sprawy. Z drugiej strony ludzie należący do tzw. opozycji skłonni są wierzyć, iż „partia” jest ciałem całkowicie obcym i z narodu wyobcowanym. Również i to twierdzenie nie wydaje się odpowiadać prawdzie. Dla różnych przyczyn, których opis wykracza poza ramy niniejszego opracowania. Nie ulega jednak wątpliwości, że wspomniane dwa i pół miliona krewnych należących do partii zewnętrznej, niezależnie od ideologii, a często wbrew niej, sprawia, iż w mniej lub bardziej kaleki sposób „partia” jest w społeczeństwie zakorzeniona.

Krótko mówiąc, ta funkcja mediacyjna partii zewnętrznej — nazwijmy ją amortyzacyjną — polega na tym, że członkowie partii zewnętrznej występują wobec bezpartyjnych przede wszystkim w roli krewnych lub bliskich kolegów i przez tę rolę oddziałują na kształtowanie się obrazu partii, a nawet więcej, powodują jej względne zakorzenienie w społeczeństwie.

Drugą z kolei pośredniczącą funkcją partii zewnętrznej — nazwijmy ją komunikacją w górę — polega na tym, iż członkowie tej partii na zebraniach partyjnych, mimo całą rytualizację tych ostatnich, przekazują jakąś część faktycznych nastrojów społecznych. Partia zewnętrzna jest jednym z kanałów informacyjnych partii wewnętrznej. Paradoks polega na tym, iż jest to kanał bardzo niepewny, a nawet — używając współczesnego żargonu — wysoce zmyłkowy. Dzieje się tak dlatego, że funkcja, o której mowa jest sprzeczna z ideologiczną funkcją partii wewnętrznej. Partia zewnętrzna ma zarazem przekazywać w górę informacje o rzeczywistości i informacje o ideologicznej pseudorzeczywistości, co jest zadaniem schizoidalnym. Z tej patologicznej sytuacji partia zewnętrzna wykręca się, redukując informacje dotyczące rzeczywistości i formułując je w nowomowie, tj. dodatkowo zniekształcając. Drugą przyczyną, dla której partia zewnętrzna nie może być dla partii wewnętrznej wiarygodnym źródłem informacji jest fakt, iż niezależnie od tego, co członkowie tej pierwszej mówią na zebraniach, faktycznym przekazicielem treści zebrań jest aparat partyjny, tj. członkowie partii wewnętrznej. Ci zaś premiowani są za informację ideologiczną, tj. informację o pseudorzeczywistości i karani za informację faktyczną, tj. informację o rzeczywistości.

Toteż dla partii wewnętrznej, a w szczególności dla tzw. kierownictwa, o tyle o ile chce ono i może sobie pozwolić na posiadanie prawdziwego obrazu sytuacji w kraju, ważniejszym źródłem informacji są np. listy, skargi, prośby i zażalenia pisane

do środków masowego przekazu i instancji partyjnych. Stąd doniosłość roli tzw. sekretarzy sekretarzy — z ich świętym patronem Poskrebyszewem na czele — oni bowiem decydują o tym, co ostatecznie dociera do „kierownictwa”.

Inna sprawa, że zasadniczą barierą między partią wewnętrzną a rzeczywistością nie jest — jak to przypuszczają niektórzy — głupota „kierownictwa” czy inne cechy osobiste jego członków, lecz ideologia. Ona to sprawia, że zarówno nadawca, tj. partia zewnętrzna, jak i odbiorca, tj. partia wewnętrzna, mogąc istnieć jedynie w pseudorzeczywistości, nie są w stanie przekazać ani wchłonąć żadnej poważnej sumy informacji dotyczących rzeczywistości.

Trzecia funkcja mediacyjna partii zewnętrznej — określimy ją mianem komunikacji w dół — polega na przekazywaniu informacji od partii wewnętrznej ku społeczeństwu. I tu również mamy do czynienia ze szczególnym wynaturzeniem czy też paradyksem.

Oficjalnie do obowiązków członków partii zewnętrznej należy „wyjaśnianie bezpartyjnym znaczenia uchwał partii” itp. Otóż rzeczywista funkcja pośrednicząca partii zewnętrznej w zakresie informacji w dół wcale nie na tym polega, a owo „wyjaśnianie znaczenia” nie należy do mediacyjnych funkcji partii zewnętrznej, lecz do jej funkcji ideologicznych i zastraszających. Faktyczne pośrednictwo partii zewnętrznej w przekazywaniu informacji w dół polega na tzw. przeciekach.

W warunkach ideologicznego monopolu informacji, który pociąga za sobą niemal totalny brak zaufania społeczeństwa do tejże, partia wewnętrzna zawsze posługiwała się plotką jako jednym ze sposobów manipulowania społeczeństwem. Techniki przecieków rozwinęły się szczególnie po 1954 r., tj. od czasu, gdy partia wewnętrzna weszła w chroniczny stan walk klikowych. Otóż mediacyjna funkcja partii zewnętrznej polega na tym, iż jej członkowie urabiają mniemania społeczeństwa przy pomocy szczątków plotek, które im podrzuca (rzadziej) partia wewnętrzna jako całość, (częściej) jedna ze zwalczających się klik.

Na marginesie wypada zauważyć, iż socjotechniczna przewaga przecieków nie polega na ich prawdziwości, lecz na tym, że są nieoficjalne. Wątpliwe, by w sumie przecieki zawierały większą ilość prawdziwych informacji niż wiadomości oficjalne. Co więcej, wprawdzie procentowy udział sądów prawdziwych i fałszywych w oficjalnej komunistycznej informacji jest nader niski (większość tej informacji jest po prostu szumem, a ten jako

pozbawiony sensu nie jest ani prawdziwy, ani fałszywy), to jednocześnie wykrycie tych sądów jest stosunkowo łatwe, z uwagi na wysoki stopień rytualizacji właściwy tym działaniom. Deszyfracja przecieku celem ustalenia prawdy i fałszu jest trudniejsza ze względu na niższy stopień rytualizacji wypowiedzi.

Do mediacyjnych funkcji partii zewnętrznej zaliczyć można, z zastrzeżeniami, jeszcze dwa rodzaje działań. Nazwijmy je umownie ochronnymi i dostarczycielskimi. Przez działania ochronne rozumie się takie sytuacje, w których osoba zagrożona jakąś sankcją ze strony „władzy” (pozbawienie premii, groźba kontroli nie w porę, przesunięcie na gorsze stanowisko itd.) zwraca się do „dobrze notowanego” członka partii zewnętrznej z prośbą o pomoc. Mediacja dostarczycielska polega na tym, że dana osoba zwraca się z prośbą nie o „ochronę”, lecz o umożliwienie zdobycia czegoś trudno osiągalnego (przesunięcie na liście przydziału mieszkań, przyjęcie do przedszkola, udział w taniej wycieczce do Jugosławii, nabycie szafy, części zapasowych do samochodu itp.).

Trzeba tu jednak dokonać szeregu zastrzeżeń.

Po pierwsze większość czynności nazwanych dostarczycielskimi załatwiana jest w społeczeństwie socjalistycznym przy pomocy przekupstwa (tj. w sytuacji, w której strona dostarczająca musi złamać jakiś przepis), wymuszenia (tj. sytuacji, w której dostarczający bierze pieniądze lub ich ekwiwalent za wykonanie swego normalnego obowiązku) oraz sieci wzajemnych usług bezgotówkowych. Dotyczy to zresztą nie tylko dostarczenia, ale również niektórych działań ochronnych. Otóż mówiąc o ograniczonej roli partii zewnętrznej na tym polu, nie mamy na myśli każdej sytuacji, w której członkowie tej partii biorą łapówki, wymuszają czy też dokonują wzajemnych usług, lecz tylko takie działania dostarczycielskie oraz ochronne, które wykonywane są jako bezinteresowne przysługi.

Po drugie funkcje te pełnią nie tyle członkowie partii wewnętrznej, co wspomniani na początku ludzie z pogranicza aparatu i partii zewnętrznej.

Po trzecie, ten rodzaj działań nader często z dużym powodzeniem wykonywany jest przez dobrze uplasowanych bezpartyjnych pupilów władzy.

Po czwarte wreszcie, działania dostarczycielskie czy ochronne są, rzecz jasna, wykonywane również przez członków partii wewnętrznej. Tyle tylko, że dostęp do nich — w szczególności na szczeblu wojewódzkim i centralnym — jest znacznie trudniejszy. Obyczajowo i towarzysko partia wewnętrzna posiada liczne

cechy, które zazwyczaj przypisujemy kastom a nie warstwom. Nadto zaś kontakty z członkami partii wewnętrznej są ograniczone przez zwykły brak czasu charakteryzujący sposób życia tych ludzi. Jak wiele warstw rządzących w przeszłości, partia wewnętrzna spędza niewiarygodną ilość czasu na wykonywaniu działań całkowicie jałowych, których jedynym celem jest potwierdzenie przynależności do grona wybranych. Że w socjalizmie działania te polegają głównie na uczestniczeniu w nudnych zebraniach i pisaniu bezsensownych tekstów — to inna sprawa. Wynika to z istoty ustroju, który jest nie tylko demoralizujący, ale nadto nudny i brzydoty niesłychanej.

Zastrzeżenia powyższe poważnie ograniczają ten rodzaj medacyjnych funkcji partii zewnętrznej, o których przed chwilą była mowa. Niemniej niektórzy członkowie tej partii pełnią w stosunku do bezpartyjnych pośredniczące funkcje ochronne lub dostarczycielskie. I współczesna kolokwialna polszczyzna wyróżnia te sytuacje. Nikt nie mówi: Józef Kowalski, choć partyjny, to porządny chłop, bo za przyjęcie dziecka do przedszkola wziął łapówkę. Można natomiast usłyszeć, że Kowalski to porządny chłop, mimo iż partyjny, bo pomógł załatwić przyjęcie dziecka do przedszkola. Tylko w tym drugim przypadku partyjny Józef Kowalski pełni funkcję medacyjną.

Podsumowując: w relacjach między społeczeństwem a partią wewnętrzną partia zewnętrzna pełni różnorodne funkcje pośredniczące. Są to przede wszystkim mediacje w sferze kształtowania obrazu partii czyli amortyzacja, pośrednictwo w procesach komunikacji „w górę” oraz „w dół” i wreszcie — w nader ograniczonym zakresie — mediacje ochronne oraz dostarczycielskie.

Schematyczny siłą rzeczy i porządkujący obraz tych funkcji nie powinien w oczach czytelnika pomniejszać ich doniosłości. W pewnym sensie można powiedzieć, że pośredniczące funkcje partii zewnętrznej są społecznie bardziej szkodliwe od jej funkcji ideologicznych czy zastraszających. Chociażby dlatego, że noszą pozory działań pozytywnych.

VIII

Przedstawiłem tu próbę odpowiedzi na pytanie: do czego partii wewnętrznej potrzebna jest partia zewnętrzna? Po części

też na pytanie: dlaczego komuniści nie mogą rządzić wyłącznie w oparciu o aparat partyjny, policję i wojsko? Starałem się pokazać, że partii wewnętrznej potrzebna jest partia zewnętrzna z uwagi na cztery typy funkcji pełnionych przez tę ostatnią: ideologiczne, terrorystyczne czyli zastraszające, rekrutacyjne i mediacyjne czyli pośredniczące.

Odpowiedź ta nie wyczerpuje i nie ma wyczerpywać całości problematyki związanej z istnieniem partii komunistycznych. Bez trudu można wymienić kilka ważnych zagadnień, o których tu w ogóle nie wspomniano. Na przykład: motywy kierujące ludźmi wstępującymi do „partii”. Albo: uwarstwienie społeczeństwa a stratyfikacja w partiach zewnętrznej i wewnętrznej. Itd., itd.

Świadomie nie poruszałem tu problematyki moralnej. Wiadomo, że stworzony przez bolszewików ustrój socjalistyczny jest głęboko demoralizujący, chociażby dlatego, że demoralizująca jest obecność w sferze komunikacji społecznej dwóch języków: języka normalnego i nowomowy. Demoralizujący jest strach, który może być raz jawny, raz ukryty, ale bez którego bolszewicy nie mogą rządzić. Ustrój socjalistyczny nie tylko sprzyja przekupstwu i wymuszaniu, ale dosłownie nie mógłby bez nich istnieć. Jeżeli jednak pominąłem te sprawy, to dla takiego oto powodu: wyobraźmy sobie na chwilę rzecz całkowicie nierealną: socjalizm bez przekupstwa, wymuszania i wzajemnych usług bezgotówkowych. Otóż w takim nie istniejącym nigdy socjalizmie partia zewnętrzna nadal pełniłaby te wszystkie ideologiczne, zastraszające, rekrutacyjne i pośredniczące funkcje, o których traktuje niniejsze opracowanie.

Nie jest oczywiście tak, by w rzeczywistości wyodrębnione przez nas funkcje partii zewnętrznej występowały w postaci laboratoryjnie czystej i niezależnie od siebie. Istnieją między nimi różnorakie powiązania. Niektóre funkcje wspierają się wzajem — np. ideologiczne i zastraszające. Inne wzajem sobie przeszkadzają — np. funkcje terrorystyczne i niektóre funkcje mediacyjne. W rzeczywistości mamy do czynienia z pogmatwanym splotem tych funkcji. Same one są starannie ukrywane przez nowomowę, która przecież na tym się zasadza, by wojnę nazywać pokojem, niewolę — wolnością, zaś ignorancję — wiedzą⁹.

9. Pozwalam sobie zmienić tu orwellowskie „ignorancja jest siłą”. W dziele Orwella ten przykład wydaje mi się być pomyłką. Ignorancja oczywiście bywa siłą i jest siłą wykorzystywaną przez ustroje totalitarne. Natomiast nowomowa nie przyznaje się do tego i raczej ogłasza ignorancję za wiedzę.

Członkowie partii zewnętrznej mają być nieświadomi funkcji pełnionych przez siebie i co więcej, z różnych względów nie są zainteresowani w poznaniu i nazwaniu swych faktycznych ról. Gdyby bowiem te role poznali i nazwali w normalnym polskim języku, to wielu z nich w ogóle nie wstąpiłoby do partii. Nie znaczy, iż samopoznanie jest niemożliwe. Znaczy to jedynie tyle, że nie można być jednocześnie komunistą, inteligentnym i uczciwym.

Lwówek, maj 1979

UWAGI — POLEMIKI — UWAGI

Gdzieś wśród moich notatek pisanych na ogół do nikąd znajduje się i taka sprzed sześciu czy ośmiu lat: z chwilą gdy człowiek przezwycięży strach, główną przeszkodą w pisaniu do *Kultury* jest codzienność czyli brak czasu. Zartem będę mógł kiedyś powiedzieć, że jeśli pisywałem tak rzadko, to dlatego, że wystawałem w kolejkach po papier i taśmę do maszyny. Jednym ze skutków tego braku czasu jest, że raz zasiadłszy do pisania chce się nadrobić straty, poruszyć zbyt wiele tematów. Stąd rozstrzelony charakter tych uwag i polemik.

I

Zacznę od zgody-polemiki z Socjuszem (patrz *Kultura*, czerwiec 1980). Socjusz jest autorem, z którym można się nie zgadzać z przyjemnością i bez obawy. Z przyjemnością, bo pisze klarownie i wiadomo, o co mu chodzi. Bez obawy — bo można ufać, że nie przeinaczy słów oraz myśli oponenta, że nie napisze, iż Socjusz wie jakie to ohydne intencje powodowały jego przeciwnikiem, słowem, że będzie się zajmował polemiką, a nie „podkładaniem świni”. Szanuję więc teksty Socjusza i wtedy, gdy wypowiada tezy, w moim przeświadczeniu, błędne.

Socjusz uważa, że w obecnej sytuacji w Polsce termin „opozycja” jest mylący, a nawet szkodliwy. Pogląd ten jest nam wspólny. Różne będą natomiast, po części, przesłanki. Przez opozycję rozumiem ugrupowania:

- a) zorganizowane (a więc uhierarchizowane);
- b) posiadające własny program działania o pewnym zdroworozsądkowym minimum zborności;
- c) dążące do przejęcia władzy;
- d) zdolne do ponoszenia szerszych konsekwencji własnych działań.

Z tych punktów niejasny może się wydać czwarty i o nim słów kilka, a właściwie jeden, abstrakcyjny przykład, który rzecz powinien wyjaśnić. Założmy, że opozycja rzuca hasło strajku generalnego. Otóż wzywając do takiej akcji opozycja musi dysponować możliwościami odwołania tegoż strajku w momencie, w którym uzna to za nieodzowne. To zakłada, że opozycja cieszy się zaufaniem i autorytetem moralnym wśród tych, których wzywa do działania oraz, że ma organizacyjne, a więc m.in. komunikacyjne możliwości odwołania tychże działań. Można zatem nazwać wymóg sformułowany przeze mnie w punkcie 'd' wymogiem moralnej i organizacyjnej odpowiedzialności za własne uczynki w skali społecznie istotnej, to jest masowej.

Jeżeli przyjąć te cztery wymogi, to łatwo zauważyć, że różne ugrupowania czynnego oporu w Polsce spełniają tylko warunek drugi, tj. mają program. Nie są natomiast organizacjami (a już szczególnie wówczas, gdy głoszą, że są), nie dążą do zdobycia władzy i nie dysponują komunikacyjnymi możliwościami sprawnego wywoływania, a przede wszystkim odwoływania masowych działań społecznych.

Nie wiem, czy Socjusz zgodzi się z moją argumentacją, ale tak czy inaczej obaj sądzimy, że mówienie o opozycji w Polsce jest mylące. Natomiast w odróżnieniu od Socjusza uważam, że „językowo” sprawę przegraliśmy: ci, którzy w Polsce w ogóle interesują się takimi sprawami, używają terminu opozycja, rzadziej posługując się innymi określeniami, w tym przyjaźnie żartobliwymi jak „dysydencja” (w Warszawie i we Wrocławiu) lub „dyzydenteria” (w Poznaniu). Gorzej — przyjęła się kalka językowa „opozycja demokratyczna”, choć z tekstów publikowanych poza cenzurą jawnie wynika, że nie cała „opozycja” w Polsce jest demokratyczna. Zresztą nie musi, a nawet nie może być — ale to już inna sprawa.

Przypadkiem być może zdarzyło się tak, że ci działacze „opozycji” z którymi się stykałem zdawali sobie sprawę, że nie są opozycją w jakimś bardziej precyzyjnym rozumieniu tego pojęcia. Czy jest to regułą — nie umiem powiedzieć. Jeżeli jednak — podkreślam tryb warunkowy — prawdą jest, że jeden z „przy-

wódców” ogłosił, iż to jego ugrupowanie wywołało i kierowało lipcowymi strajkami w Polsce, to byłby to przykład świadomego ześlizgnięcia się poniżej wszelkiej dopuszczalnej normy demagogii. Przewidywanie, że kiedyś w przyszłości oświadczenie to może być wzięte za dobrą monetę, można — niezależnie od kontekstu — uznać za dowód cynizmu lub pesymizmu.

To wszystko służyć miało wyjaśnieniu, dlaczego słowo opozycja pisane tu będzie w cudzysłowie.

II

Wojsko, a ściśłe Ludowe Wojsko Polskie, boć to wyróżnik ważny, jest w tekstach „opozycji” poza arcywniecznymi wyjątkami tematem tabu. Jak się wydaje, istnieją po temu dwa powody. Ze zrozumiałych przyczyn historycznych społeczeństwo polskie z szacunkiem odnosi się do symboliki związanej z wojskiem. Jest to przywiązanie tak silne, że na ogół ludzie wolą nie myśleć i nie chcą, by im przypominano, iż Ludowe Wojsko Polskie jest machiną do sowietyzacji społeczeństwa. Freudysta powiedziałby, że temat LWP jako nieprzyjemny został przez tych, którzy nie chcą kłamać „stłumiony”, „zepchnięty”, „represjonowany”. Skądinąd można przypuszczać, że jako machina do sowietyzacji społeczeństwa LWP jest dość skuteczne, ale o tym za chwilę. Drugą przyczyną, dla której „opozycja” nie mówi i nie pisze o LWP może być świadomość, że „tajemnica wojskowa” w rękach bolszewików może być bronią o dużej sile rażenia.

Pojawia się czasem argument: my o wojsku nic nie wiemy. Może to i prawda, tyle że żadne usprawiedliwienie. LWP ma liczne i w pełni jawne publikacje. Od *Żołnierza Wolności* poczynając, poprzez broszurki propagandowe GZP (Główny Zarząd Polityczny - *Głównoje Politiczeskoje Uprawlenije*), a na grubyh „dziełach naukowych” wydawanych przez MON kończąc. I niemniej nawet u Kisiela, który czyta „wszystko”, nie znajdziemy śladu „wojskowych” lektur.

A lektura chociażby tylko *Żołnierza Wolności* może być nader pouczająca. A to okazuje się, że oddziały LWP i Armii Radzieckiej odbywają jakieś zajęcia „w ramach wspólnego szkolenia na poligonie Śląskiego Okręgu Wojskowego (*Żołnierz Wolności*,

25.VII.1980). To znowu dowiadujemy się, że pełna tytułatura Generalnego Prokuratora PRL, Lucjana Czubińskiego, zawiera takie przedrostki: gen. bryg. doc. dr (*Żołnierz Wolności*, 23.VII.1980). Jest więc urzędowy komunistyczny stróż praworządności (co prawda tylko „ludowej”, a nie praworządności po prostu) generałem brygady w służbie czynnej. Obie te wiadomości prasowe zamieszczone na pierwszej stronie gazety pełne są tego szczególnie namaszczonego protokołu dyplomatycznego, w którym bolszewicy arywiści pławią się z lubością, być może uspokajając niejasne przeczucia, że tak naprawdę to nie są ani ministrami, ani generałami, ani prawnikami, ani zupełnie już stróżami prawa. Lektura obu wiadomości rodzi rozliczne pytania, z których zadam tylko jedno. Jako członek „partii” bolszewickiej, prokurator generalny podlega *ex definitione* dyscyplinie partyjnej; jako generał brygady w służbie czynnej zobowiązany jest do dyscypliny wojskowej. Czy to nie za dużo jak na człowieka, którego urzędowi Konstytucja PRL poświęca trzy artykuły i siedem niejasno sformułowanych, a po części wzajemnie sprzecznych punktów?

Ale mniejsza o drobiazgi (jeśli uznać, że Prokurator Generalny PRL czy wspólne sowiecko-polskie szkolenie wojskowe to drobiazgi). Wspomniałem, że LWP to machina do sowietyzacji społeczeństwa i że machina ta, wolno przypuszczać, działa skutecznie, tzn. że produkuje ludzi o takich skazeniach moralnych oraz intelektualnych, które uznajemy za typowe dla *homo sovieticus*. Temu procesowi poddawana jest przez czas dłuższy i systemem taśmowym znaczna część młodych mężczyzn. W takim zakresie, w jakim działanie takiej maszyny daje się prześledzić na podstawie oficjalnych publikacji, proces o którym mowa można zatem opisać bez naruszenia jakiegokolwiek „tajemnicy wojskowej”. Nie wydaje się więc, by powinien to być nadal temat tabu.

III

Wracam jeszcze do artykułu Socjusza, ściśle do tego fragmentu, w którym autor krytycznie odnosi się do polemiki wewnętrznej „opozycji”. Polemiki te zdaniem Socjusza są — przynajmniej w obecnej postaci — zbędne i nieprzyjemne. Uważa on, iż spory te mają dwa źródła:

— ogólno-psychologiczne (każdy, kto naraża się na jakieś szykany, chce mieć w zamian rację);

— historyczne (do których Socjusz zalicza ambicje przywódców, walki o strefy wpływów, „niefortunną teorię artykulacji różnic”, wzajemną nieufność jednostek i środowisk.

A tymczasem, powiada Socjusz, znaczna część tych sporów jest zbędna, ponieważ w gruncie rzeczy prawie wszyscy stoją na gruncie demokracji parlamentarnej, nie chcą reprivatyzacji wielkiego przemysłu i nie głoszą ekspansjonizmu terytorialnego. Nadto, gdyby polemici uświadomili sobie, że w ramach szeroko zrozumianego ruchu wolnościowego potrzebny jest podział pracy, to zarazem musieliby zdać sobie sprawę ze zbędności znacznej części sporów.

Zgadzam się z Socjuszem, że sporo wypowiedzi polemicznych w prasie pozacenzuralnej budzi niesmak, ale chciałbym mu zaproponować inne spojrzenie na tę sprawę. Jeżeli mianowicie głosi się uznanie dla pluralizmu postaw i poglądów, jeżeli opowiada się za wolnością słowa, to należy z góry założyć, że za realizację tych dwóch wartości trzeba płacić pewną cenę. Chwyty polemiczne Moczulskiego czy reportaż z procesu Rozwensa pióra Walca — by podać przykłady skrajnie nieprzyjemne i budzące odruchowy sprzeciw — nie są w stosunku do hasła wolności słowa przypadkowe, lecz są ryzykiem wpisanym w matrycę demokracji. I tego ryzyka nie można usunąć nie niszcząc samej matrycy. Naiwnością, choćby i szlachetną, jest przekonanie, że w ramach pluralizmu poglądów i wolności słowa wszyscy będą się zachowywali jak panienki z pensji na imieninach przełożonej i że każdy „głos wolny” ma zawsze coś do powiedzenia.

Jeżeli akceptujemy pluralizm poglądów i wolność słowa, to niestety wraz z tekstami Moczulskiego i reportażem Walca.

Myślę zresztą, że pluralizm postaw, tzn. ich faktyczna rozbieżność w ramach „opozycji” jest większa, niż to się Socjuszowi wydaje. Podam tu dwie opinie na temat różnic między KSS KOR-em i Ruchem Obrony, a więc dwóch ugrupowań należących bez wątpienia do „opozycji demokratycznej”.

Wedle pierwszej, różnica między Ruchem Obrony a KOR-em jest kulturowa i podobna do różnicy między Polską konfederatów barskich a Polską oświeceniowo-romantyczną.

Opinia druga różnicę między KOR-em a Ruchem Obrony przedstawia tak : ludzie związani z RO widzą Polaków jedynie jako tych, którzy witali Jana Pawła II i nie widzą ich jako tych, którzy, nie tak bardzo przymuszani, manifestują przywiązanie do „towarzyszy z kierownictwa”, głosząc w „wybo-

rach” i podnoszą ręce w czasie masówek tam gdzie trzeba i wtedy kiedy trzeba. Ludzie KOR-u skłonni są do optyki odwrotnej. Obie strony nie dostrzegają tego, że społeczeństwo w większości składa się z tych, którzy robią i jedno i drugie, tj. entuzjastycznie witają papieża i bez problemów moralnych biorą udział w „wyborach”.

Nie jestem pewien celności drugiej z przytoczonych tu opinii — pierwsza trafia mi do przekonania, o tyle oczywiście, o ile w ogóle trafne mogą być takie analogie. I jeżeli Socjusz zgodziłby się ze mną, to wówczas przyznałby chyba również, że pluralizm postaw jest faktyczny, że różnice są nie tylko rezultatem ambicji „przywódców”, choć czynnik ten niewątpliwie odgrywa pewną rolę, w niektórych przypadkach może nawet znaczną. Na marginesie: nie znam artykułu, w którym wyrażona została „niefortunna teoria artykulacji różnic”, ale też nie muszą go znać inni czytelnicy *Kultury*. Być może autor artykułu napisał pod wspomnianą tezę jakieś głupstwa. Osobiście nie mówiłbym zaraz o „teorii”, bo to przesada, lecz postulat możliwie jasnego sformułowania własnego stanowiska i kulturalnej polemiki nie wydaje mi się zdrożny.

IV

Wypowiadany jest często pogląd, że „tak dłużej być nie może”, że „rząd musi coś zrobić, inaczej grozi krajowi katastrofa”, że „z wyjątkiem garstki funkcjonariuszy partyjnych i spekulantów wszyscy chcą zmian”. Ten zestaw przeświadczeń wypowiadany jest przez zupełnie prywatnych ludzi, którzy nigdy nie uznaliby się za uczestników jakiegoś „ruchu wolnościowego”, przez różne ugrupowania „opozycji”, przez DiP, którzy zastrzega się, że „opozycją” nie jest i być nie chce, a nawet przez niektórych prominentów reżymu. (W korespondencjach dziennikarzy zachodnich obok przysłówionego „kierowcy taksówki” pojawił się ostatnio anonimowy partyjny „liberał”, piorunujący na „dogmatyków” i domagający się reform.)

Otóż sędzę, że te i im podobne przeświadczenia są, ogólnie rzecz biorąc, naiwne. To, że kraj jest beznadziejnie zadłużony, że następuje spadek i tak niewysokiej stopy życiowej, że gospo-

darka funkcjonuje skandalicznie źle, że wzrasta konsumpcja alkoholu, że dla tysięcy dzieci reforma systemu oświaty oznacza przede wszystkim czekanie na autobus, to wszystko dla każdego komunistycznego rządu nie stanowiło nigdy bodźca do zmian. Komuniści są przyzwyczajeni do źle funkcjonującej gospodarki, do ubogiego społeczeństwa, do ogłupiającego i demoralizującego systemu oświaty — jest to naturalne środowisko ich rządów, w innym jako partia rządząca nie potrafiliby się utrzymać. Założenie formułowane w memoriałach DiP-u, że Polska jako kraj szczególnie przywiązany do kultury zachodniej wyjątkowo źle nadaje się do takiego systemu rządów zdaje się pomijać fakt, że Czesi, Węgrzy i Niemcy w niemniejszym od nas stopniu związani byli z kulturą Zachodu, a ściśle rzecz biorąc, że to z nimi właśnie tworzyliśmy specyficzną kulturę środkowej Europy. Niektórzy rosyjscy patrioci twierdzą, że komunizm zniszczył autentyczną kulturę rosyjską. Teza to w Polsce niezbyt popularna, ale nie wolno jej odrzucać *a priori*, chociażby przez szacunek należny człowiekowi takiemu jak Sołżenicyn. Sam słyszałem kiedyś Wietnamkę mówiącą, że komunizm obcy jest kulturze wietnamskiej i jestem pewien, że mógłbym coś analogicznego usłyszeć od wielu Khmerów, Koreańczyków i Kubańczyków. Otóż prawdziwe czy nie — argumenty takie do komunistów w ogóle nie trafiają. Jedynym argumentem, który do nich przemawia jest presja.

Przeświadczenie, że zmian chcą w Polsce „wszyscy” jest w najlepszym przypadku półprawdą. Druga zaś połowa tej prawdy głosi, że różne grupy społeczno-zawodowe chcą różnych i często wzajem wykluczających się zmian. Za tymi różnicami nie stoją żadne programy polityczne, lecz bezpośrednio przez tych ludzi dostrzegalne interesy. Często materialne, ale również takie, które dotyczą prestiżu społecznego i innych trudno wymiernych spraw. Innych reform pragnie centralna i średnia biurokracja przemysłowa, a innych robotniko-chłopi; innych ogromny aparat zarządzający upaństwowionym rolnictwem a innych chłopi indywidualni. Podziały te i inne nie mają nic wspólnego z marksowską teorią klas, a nawet stanowią jej zaprzeczenie, a co ważniejsze są rzeczywiste. To że „wszyscy” mówią o potrzebie reform nie świadczy o jedności celów. Nadto nie należy zapominać, że część „ludowej” krytyki obecnej ekipy rządzącej nie jest wymierzana w autorytarne cechy ustroju, lecz wręcz przeciwnie, krytykuje rząd za „słabość” i że za tą krytyką kryją się tęsknoty do „silnej ręki”, która „zrobi porządek”.

Jeśli chodzi o postulaty zmian formułowane przez „opozycję” jako program minimum, to z reguły pomijają one milczeniem dwa ważne punkty:

a) czy podstawowym regulatorem gospodarki ma być rynek, czy „dobra” gospodarka planowa;

b) skąd wziąć pieniądze na przeprowadzenie reform, czyli kto ma za nie płacić?

Sądzę, że bez jasnej odpowiedzi na te pytania wszystkie projekty reform to czcze pogaduszki.

Spotkać się można z poglądem, że opozycja „rynek-plan” jest wadliwie zbudowana, ponieważ we wszystkich uprzemysłowionych krajach Zachodu (z Japonią i Singapurem włącznie) mamy do czynienia z symbiozą rynku i planu. Jest to po prostu sąd fałszywy. W krajach o których mowa mamy do czynienia z gospodarką regulowaną przez rynek i bardzo różnymi formami interwencjonizmu państwowego. Niekiedy jest to interwencjonizm skuteczny, niekiedy — jak w przypadku labourzystowskiej Anglii — ma skutki fatalne. Symbioza rynku i gospodarki planowej, jak na razie, zrealizowana została jedynie w krajach socjalistycznych, w których *czarny rynek* stanowi immanentną, tj. niezbywalną cechę ekonomiki. Tośmy już przerabiali, dziękuję.

Co do przyziemnego pytania, kto ma płacić za reformy, to sprawa ma się tak. Mogłaby zapłacić „partia” przez radykalne obcięcie budżetu SB, wojska a także wydatków na własny aparat, propagandę, na aparat różnych swoich „transmisji” od ZSL-u poczynając, a na organizacjach młodzieżowych i kobiecych kończąc. Ale przecież „partia” nie upadła na głowę: dlaczego miałyby płacić za reformy, których nie potrzebuje, bo i tak rządzi? Dlaczego miałyby nie tylko ograniczyć swoją władzę, ale jeszcze płacić za to żywą gotówką?

Więc reform nie będzie. A za pseudoreformy — impreza z reguły bardzo kosztowna — płacić będziemy my.

V

W tak zwanym drugim memoriale DiP-u czytamy, że większość respondentów wyraźnie odróżnia „ustrój” od „systemu”. Ustrój to mamy pyszny, świetny, natomiast jego realizacja nie

budzi zachwyty. Należy zatem zmienić system nie zmieniając ustroju.

Jest to klasyczna teza rewizjonistów, tyle że tym razem wypowiedziana w specyficznym języku socjologii. Okazuje się zatem, że w 1979 r. w Polsce, wśród intelektualistów i menadżerów przeważali ludzie wierzący w to, iż „istota” socjalizmu jest dobra, a tylko tak się jakoś dziwnie składa, że jej realizacja — tzn. to co dostępne empirycznemu poznaniu — jest niewydarzona.

Czy rzeczywiście jest to opinia w tych grupach społecznych przeważająca? Nie wiem. Ludzie z DiP-u też nie wiedzą. W każdym razie pojęcie „większości” występujące we wspomnianym tekście należy rozumieć, biorąc pod uwagę, że DiP rozesłał trzysta ankiet, a otrzymał 141 odpowiedzi. Może owych 159 nie-respondentów udzieliło odpowiedzi milczącej, nie chcąc urazić uczuć członków Doświadczenia i Przyszłości.

Nie jest to oczywiście hipoteza naukowa, lecz ohydna złośliwość. Ale jak się kto o złośliwości doprasza, to nie może oczekiwać samych pochwał.

VI

Skoro już wpadłem w polemiczny ferwor, to dwie uwagi pod adresem felietonu Adama Kruczka w tymże czerwonym numerze *Kultury*. Jak zwykle znakomity, autor posłużył się jednak w tym „Przeglądzie prasy sowieckiej” jednym nieczystym chwytem i chyba popełnił błąd rzeczowy.

Błąd to, jak mi się wydaje, uznanie „przyszkolonych gospodarstw” jednostek wojskowych za prywatne działki sowieckich *bojcow* (s. 98).

Nielojalnym chwytem posłużył się Kruczek w odniesieniu do Richarda Pipesa — profesora w Yale, a nie w Harvardzie — i jego książki „Russia under the Old Regime”.

Historia zaś wygląda jak następuje. Aleksander Sołżenicyn, którego — i słusznie — przeraża ślepotą amerykańskich liberałów nie chcących zrozumieć istoty komunizmu i państwa sowieckiego, i który nie lubi ludzi mających inną niż on wizję historii Rosji, w swoim artykule w *Foreign Affairs* (Spring,

1980) zaatakował m.in. Pipesa jako reprezentanta owych nie rozumiejących liberałów, którzy nadto nie znają historii Rosji.

Z pracami historycznymi Pipesa — jak to w ogóle z pracami historycznymi — można się zgadzać lub nie. Natomiast pomyśl, że Pipes żywi jakiekolwiek złudzenia na temat charakteru sowieckiego ekspansjonizmu, że należy do tych, którzy sądzą, iż Kreml można ugłaskać jest zgoła fantastyczny. Wedle klasyfikacji francuskiej lewicy, świetnie kiedyś wyśmianej przez Frossarda, Pipes to antykomunista „*primaire et viscéral*”.

Adamowi Kruczkowi może się „Rosja w czasach Ancien Régime’u” nie podobać. Może tę książkę skrytykować, nie zostawiając na Pipesie-historyku suchej nitki, ale na litość boską, nie tak. Nie przy pomocy jednego wyrwanego z kontekstu zdania o Słowniku Dala. Przecież pisze Kruczek — i świetnie to robi — dla ludzi w kraju, którzy, wyłączwszy specjalistów, paru gimnazjalnych kolegów Pipesa z Warszawy i nauczyciela historii w tymże gimnazjum czyli prof. Małowista mają prawo w ogóle nie wiedzieć, kto to jest Pipes.

Że Sołżenicyn się pomylił...

Quod licet Iovi...

Przepraszam za odwrócenie łacińskiego przysłowia.

Lwówek, lipiec 1980.

CHAOTYCZNE I NIEPRZYJEMNE

Tytuł odnosi się do tych uwag. Są chaotyczne — z trudem bowiem usiłują znaleźć własny porządek. Są nieprzyjemne — z wielu względów, ale m.in. dlatego, że pisane w przeświadczeniu, iż ktokolwiek dziś „prowadzi rządki liter na papierze”, ktokolwiek we wtorek usiłuje powiedzieć coś o poniedziałku lub środzie, ryzykuje, że w piątek okaże się głupcem. Można oczywiście nie pisać, ale największym głupstwem byłoby pisać bez świadomości tego ryzyka, że palnie się kapitalne głupstwo.

I

Ruch rewindykacji obywatelskich. Jego trzonem są niezależne, samodzielne związki zawodowe, ale błędem byłoby uznanie trzonu za całość. Ruch rewindykacji obywatelskich jest wielopostaciowy, a niezależnie od miejsca, w którym się pojawia i aktualnych w danej chwili postulatów, jego celem — nie zawsze w pełni uświadamianym — jest tworzenie załączków, fragmentów, połaci społeczeństwa cywilnego. Niezależny, samodzielny związek zawodowy jest fragmentem społeczeństwa obywatelskiego. Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Średnich — gdyby powstało — mogłoby być fragmentem społeczeństwa obywatelskiego. Spór Waldemara Kuczyńskiego z prof. Kurowskim na łamach *Tygodnika Powszechnego* jest fragmentem społeczeństwa obywatelskiego. To co nazywane jest u nas „opozycją” jest fragmentem społeczeństwa obywatelskiego, również wów-

czas gdy program któregoś z ugrupowań nie budzi w nas entuzjazmu.

Władza i jej prasa nie przyjęły do wiadomości istnienia ruchu rewindykacji obywatelskich. Uznały ruch strajkowy i związkowy, bo musiały. A teraz stale, do znudzenia, przy każdej okazji przypominają nam, że musimy być odpowiedzialni, że powinniśmy się „odeciąć” (od „postaw” oczywiście), że na nas też ciąży odpowiedzialność za losy kraju.

Należałoby powiedzieć nie też, lecz przede wszystkim. Ruch rewindykacji obywatelskich, cokolwiek da się o nim powiedzieć, jakiegokolwiek by dotychczas popełnił błędy — był, jest i musi być odpowiedzialny w dwójnasób. Bo w naszym kraju nieodpowiedzialna jest przede wszystkim władza.

Nieodpowiedzialna jest władza, która na koszt społeczeństwa pożycza ponad 20 miliardów dolarów i wyrzuca je w błoto.

Nieodpowiedzialna jest władza, która 30 lipca 1980 r. szykowała się do wprowadzenia w kraju stanu wyjątkowego.

Nieodpowiedzialna jest władza nie mogąca zdobyć się na pełną legalizację ruchu, od którego wymaga, by był współodpowiedzialny.

Nieodpowiedzialna jest władza, która w warunkach ciężkiego kryzysu energetycznego marnuje ogromne ilości prądu na zagłuszanie Radia Wolna Europa.

Jak dotychczas głównym dowodem odpowiedzialności władzy jest to, że rzuciwszy kraj w odmet chaosu gospodarczego, w ostatniej chwili cofnęła się przed pchnięciem go w otchłań katastrofy politycznej. To prawda, że podpisanie porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu było decyzją niezwykle doniosłą i zasługującą na uznanie. Ale czy mamy za to władzę podziwiać, szanować, uwielbiać?

II

Ruchowi rewindykacji obywatelskich grożą liczne niebezpieczeństwa. Z tego zdaje sobie sprawę przytłaczająca większość ludzi z tym ruchem związanych. Na ogół jednak ludzie mówią i myślą — nie bez poważnych podstaw — o zagrożeniu zewnętrznym w stosunku do ruchu, zagrożeniu w skali kraju lub

w skali międzynarodowej. Myślę jednak, że ruchowi rewindykacji obywatelskich grożą również pewne niebezpieczeństwa tkwiące w nim samym, o których jeśli się nawet myśli, to na ogół się nie mówi, a jeśli się mówi, to się nie pisze. To ostatnie samo w sobie jest zagrożeniem, o którym za chwilę.

Oto kilka przykładów takich niebezpieczeństw wewnętrznych.

Ruch rewindykacji obywatelskich nie ma żadnego programu gospodarczego poza kilkoma ogólnymi postulatami, które nie wyróżniają się koherencją. (Ich podstawowa niezbornosć dotyczy różnicy między postulatami domagającymi się decentralizacji ekonomiki a postulatami domagającymi się wyjścia z kryzysu przy pomocy decyzji wymagających „żelaznej ręki”; ich podstawowy mankament, to staranne przemilczanie opozycji rynek-plan.)

Krytyka powyższa dotyczy ruchu jako całości, lecz nie nowych związków zawodowych. Te ostatnie dopiero wypracowują koncepcję własnego funkcjonowania. Może więc ktoś uważać, że powinny ograniczać swoją działalność do biernej obrony interesów zawodowych ludzi pracy. Oznaczałoby to, że z projektami dotyczącymi wyjścia z kryzysu a także reform gospodarczych występuje jedynie partia i „rząd”, zaś związki zawodowe dbają wyłącznie o to, by te projekty nie wystawiały na szwank interesów ludzi pracy. Miałbym do tego pomysłu różne zastrzeżenia, ale faktem jest, że przy takim założeniu niezależne związki zawodowe nie muszą mieć własnych koncepcji urządzania gospodarki. Natomiast jako całość ruch rewindykacyjny takiego założenia przyjąć nie może.

Brak programu gospodarczego ma swe źródło w pewnym błędzie popełnianym przez praktycznie całą „opozycję” w ciągu jej niespełna pięcioletniego istnienia. „Opozycja” — a w ostatnim okresie również DiP, który „opozycją” być nie chciał — stały na stanowisku, że kryzys nurtujący Polskę jest przede wszystkim i u swych podstaw kryzysem politycznym i że dopiero rozwiązanie kryzysu politycznego umożliwi naprawę gospodarki. Z łona „opozycji” wychodziły j e d y n e i niekiedy naprawdę znakomite (np. Bartecki, Kuczyński) opisy sytuacji gospodarczej. Ale na tym też poprzestawano. Wyjątek stanowiły wydane w 1978 r. i poprzedzone wstępem prof. Lipińskiego „Uwagi o sytuacji gospodarczej”, zawierające również propozycje na przyszłość. Nie był to wyjątek szczególnie udany.

Teza, iż postawą kryzysu nurtującego Polskę jest polityka

(i stanowiąca jej zaplecze ideologia) była słuszna — wnioski, jakie stąd wyciągała „opozycja” — błędne. „Opozycja” — jeśli nie cała, to znaczna jej część — uważała, że najpierw władza musi zdobyć zaufanie społeczeństwa, lub minimum zaufania, a potem przyjdzie czas na reformę gospodarki. Samo w sobie było to rozumowanie dyskusyjne, ale nadto „opozycja” zachowywała się tak, jak gdyby owo „potem” miało nastąpić Bóg wie kiedy i wskutek tego po dziś dzień w sprawach gospodarczych niewiele ma do powiedzenia.

Niemało jest racji po temu, by przypuszczać, że kryzys gospodarczy albo sam przez się działa na niekorzyść ruchu rewindykacji obywatelskich, albo może być przez władzę „wygrany” przeciw temu ruchowi. Otóż jeżeli sam fakt dennego stanu ekonomiki można uznać za niebezpieczeństwo w stosunku do ruchu zewnętrznego, to brak programu gospodarczego na dziś i na jutro jest wewnętrznym niebezpieczeństwem ruchu rewindykacji obywatelskich.

Jeżeli mam rację, to za zagrożenie, o którym mowa była przed chwilą „opozycja” może winić tylko siebie. I jeżeli potrafi się do tego błędu przyznać — to tym lepiej dla niej.

Chciałbym teraz wymienić niebezpieczeństwo, za które nikogo nie można „winić”. Jest ono skutkiem improwizacji — w zakresie pomysłów, a zatem również spraw organizacyjnych i postulatów merytorycznych — na jaką nieuchronnie skazany był na przełomie lata i jesieni tego roku cały ruch rewindykacji obywatelskich, a nowe związki zawodowe przede wszystkim. Są one bowiem pierwszym tego typu doświadczeniem realizowanym w ramach socjalizmu realnego. Stąd ograniczona przydatność przykładów z historii europejskiego ruchu związkowego, których mimo wszystko nie lekceważyłbym na zbyt pochopnie. Stąd konieczność „majsterkowania”, to znaczy tworzenia pod presją chwili, z tego co jest pod ręką.

Nowo tworzący się ruch związkowy naprawdę pewien był trzech rzeczy:

- że chce być niezależny;
- że chce bronić interesów robotników;
- że pewnych granic nie wolno mu przekroczyć.

Reszta była sprawą krótkiej dyskusji, momentalnej decyzji, zbiegu okoliczności, bardziej intuicji niż wiedzy.

Była to zatem klasyczna sytuacja, w której ludzie muszą działać metodą „prób i błędów”. W perspektywie historii „długiej” jest to metoda bardzo dobra; w ramach historii „krótkiej”, na przykład w skali miesięcy, metoda prób i błędów

ujawniać musi swoje mankamenty. Z punktu widzenia historii „długiej” każdy nie totalitarny ruch społeczny może sobie bez większego trudu powiedzieć: robiliśmy to i to; te próby sprawdziły się, tamte zaś okazały się błędami. W ramach historii „krótkiej”, w szczególności w warunkach przyspieszenia wszystkiego co się dzieje, ludzie skłonni są uznawać każde rozstrzygnięcie za „jedyne możliwe”, a zatem „dobre”. To sprzyja utrwalaniu rozstrzygnięć, ale za to nie sprzyja ich krytyce.

Interesującym przykładem instytucjonalnego utrwalania decyzji podejmowanej, siłą rzeczy, w pośpiechu jest punkt 5 paragrafu 18 statutu „Solidarności”. Orzeka on mianowicie, że Walny Zjazd Delegatów nie jest władny zmienić tegoż statutu, lecz że jego ewentualne w tym zakresie uchwały muszą być zatwierdzone przez „co najmniej połowę zarządów regionalnych, grupujących nie mniej niż połowę członków Związku”.

Krótką, bo niewiele ponad cztery tygodnie licząc historia Niezależnego Samodzielnego Związku Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty (zwanego w skrócie NTiO) składa się w znacznej mierze z podejmowanych w pośpiechu decyzji, z których — moim, rzecz jasna, zdaniem — dwie były wręcz fatalne:

— wybór na stanowisko przewodniczącego ZG człowieka dobrej woli, który jednak do 1954 r. był zastępcą dowódcy KBW (niechby sobie był — wedle woli kolegów z pracy — przewodniczącym koła NTiO w macierzystym instytucie naukowym; jeżeli ma niejedno do „odrobienia”, to nie musi przecież tego „odrabiać” od razu jako przewodniczący ZG);

— decyzja ZG, iż problem ewentualnego rozwiązania NTiO oraz wstąpienia jego członków do regionalnych oddziałów „Solidarności” musi być podjęty w pierwszej połowie października.

Osobiście uważam, że ludzie zrzeszeni w NTiO jako samodzielnej organizacji związkowej mogli znacznie skuteczniej wspierać działania „Solidarności” niż ci sami ludzie rozproszeni w iluś tam kołach związkowych wielomilionowej organizacji. Zdaję sobie sprawę, że większość bezpośrednio zainteresowanych ma w tej sprawie pogląd odmienny. Rolę argumentu decydującego w wystąpieniach zwolenników rozwiązania NTiO odgrywała teza, że działacze „Solidarności” nieufnie odnoszą się do samodzielności „Nauki, Techniki i Oświaty”. Argument to moim zdaniem dość dla działaczy „Solidarności” niepochlebny, zakładający bowiem milcząco, że są to ludzie, do których ani racje, ani doświadczenie nie przemawiają. Myślę tedy, że NTiO nie trzeba było rozwiązywać i raczej zakładałbym, że

działacze „Solidarności” nie są ludźmi głuchymi na argumenty i ślepyi na dowody praktyczne. Ale powiedzmy, że nie mam racji; sprawa NTiO na pewno była dyskusyjna. Natomiast pośpiech, z jakim podjęto decyzję, zwołano nadwyzwyczajny zjazd i rozwiązano związek wydaje mi się na pewno pomyłką. Historia niezależnego ruchu związkowego — niezależnie od naszego w tej sprawie pesymizmu czy optymizmu, a ja jestem raczej pesymistą — nie kończy się jutro. W ogóle dopiero się zaczyna. NTiO mógł się spokojnie rozwiązać — jeśli już koniecznie chciał — w listopadzie lub grudniu.

O ile mi wiadomo jestem pierwszym, który sprawę wewnętrznych niebezpieczeństw ruchu rewindykacji obywatelskich porusza publicznie. A wiem skądinąd, tj. z wielu prywatnych rozmów, że nie jestem jedynym, który te zagrożenia dostrzega. I tu docieramy do niebezpieczeństwa najgroźniejszego, będącego niejako źródłem pozostałych.

Ruch rewindykacji obywatelskich jako całość działa stale w poczuciu zagrożenia ze strony władzy, przy czym, rzecz jasna, różne tego ruchu skupiska są w różny sposób zagrożone. Samo poczucie zagrożenia nie jest irracjonalne, nie jest to zmowa ludzi chorobliwie nieufnych. Nasza postawa wynika zarówno z doświadczenia historycznego, tj. znajomości dziejów władzy komunistycznej w Polsce (i nie tylko w Polsce) jak i z najpotoczniejszej praktyki dnia codziennego, dziś, wczoraj, przedwczoraj. Dlaczego patrząc na próby złamania „Solidarności” jeszcze przed jej, by tak rzec, legalnymi narodzinami, dlaczego patrząc na to, mielibyśmy stać się ufnymi i potulnymi?

Otóż naturalną postawą ludzi zagrożonych bywa tzw. psychologia oblężonej twierdzy. Przejawia się ona m.in. jako otwarcie lub milcząco przyjmowane założenie: nie mówimy o naszych słabościach, nie krytykujemy się wzajem, bo z tego może skorzystać strona przeciwna.

Nie jest to argument całkowicie pozbawiony sensu. Wypowiadając się krytycznie o jednym punkcie statutu „Solidarności”, myślałem sobie: a czy z tego nie skorzysta natychmiast *Trybuna Ludu*? Klasyczny to przykład cenzury wewnętrznej.

Zasadne jednak czy nie, argumenty, których zapleczem jest „psychologia oblężonej twierdzy” są potwornie niebezpieczne.

Uniemożliwiają otwartą dyskusję — a więc godzą w demokratyczne podstawy ruchu.

Utrudniają krytykę błędów — a więc pomnażają powagę tych błędów.

Uruchamiają, a w każdym razie mogą uruchomić wewnątrz ruchu mechanizmy, z których korzystała i korzysta każda władza totalitarna.

Nieuświadamiana „psychologia obłąconej twierdzy” może wewnątrz ruchu rewindykacji obywatelskich stworzyć obyczaje, normy, zasady postępowania z gruntu obce jego celom. Nie o to chodzi, by w sytuacji faktycznego zagrożenia zachowywać się tak, jak gdyby zagrożenie nie istniało. Za każdym natomiast razem, gdy pojawia się pokusa zatajenia różnic, stłumienia krytyki, wymuszenia jedności poza dyskusją, trzeba się poważnie zastanowić, co jest groźniejsze: jeszcze jeden plugawy artykuł w prasie oficjalnej czy zatrucie własnych szeregów.

III

Wszyscy mówią o Gdańsku, Elbągu, o Ursusie, Jastrzębiu, Wrocławiu. Nie słyszałem, by kto mówił o Radomiu. A czyż nie jest jasne, że by dobrze zrozumieć, co się dzieje tam gdzie się coś dzieje, trzeba również wiedzieć co się dzieje tam, gdzie się nic nie dzieje.

IV

Wszyscy mówią o robotnikach — mało kto o dyrektorach, naczelnym inżynierach, głównym technologach. Czy każdy główny technolog jest *ex definitione* partyjnym naganiaczem? Miejmy nadzieję, że nie. O ile bowiem jawny strajk robotników może sparaliżować jakąś gałąź gospodarki lub nawet całą gospodarkę, o tyle cichy i trudno uchwytany „sabotaż” ze strony kadry inżynierskiej, ekonomicznej i administracyjnej może wypaczyć lub zniszczyć każdą inicjatywę naprawy gospodarczej.

W pewnym sensie Polskę trzeba odbudować. Tym razem nie ze zniszczeń wojennych, lecz z ruiny gospodarczej spowodowanej przez rządy komunistów. Wszyscy wiedzą, że nie da się tego zrobić bez robotników. (No i oczywiście bez rolników! Ale to inna sprawa, którą się tu w ogóle nie zajmuję.) Nato-

miast ilu z nas ma na uwadze fakt, że nie da się tego również zrobić bez dyrektorów. Może to i nieprzyjemne, ale prawdziwe. Wtedy chyba lepiej, by ruch rewindykacji obywatelskich interesował się nie tylko robotnikami, lecz również dyrektorami.

V

Wiemy, czego chcemy dla ludzi, którzy nas leczą. Punkt szesnasty protokołu porozumienia gdańskiego, dotyczący leczenia i służby zdrowia, zawiera załącznik wymieniający trzydzieści postulatów.

Może byśmy się zastanowili nad tym, czego chcemy dla ludzi, którzy uczą nasze dzieci. Ta batalia może okazać się trudniejsza, bowiem roszczenia władzy do panowania nad lekarzami, pielęgniarkami i salowymi były stosunkowo niewielkie i nie dotyczyły tego, co ci ludzie myślą i mówią. Z nauczycielami jest dokładnie na odwrót.

Moja prognoza (oby się w kamień obróciła).

Katastrofalne skutki rozwiązania NTiO ujawnią się (ze wszystkimi konsekwencjami) przede wszystkim w takim punkcie: nauczycieli oddano w pacht przemalowanemu ZNP.

VI

W pierwszym numerze *Informatora* mazowieckiego regionu NSZZ „Solidarność” komitet założycielski koła związkowego „Solidarności” przy FSO polemizuje z działaczami przemalowanych CRZZ-owskich związków zawodowych. Do przemalowanych związków nie żywię żadnej sympatii, choć sądzę, że prędzej czy później i przemalowane i niezależne związki będą musiały wypracować reguły współistnienia. W polemice koła NSZZ przy FSO niezręczny wydał mi się jeden chwyt. Cytuję:

„Mamy pełne prawo zapytać tych panów:

— gdzie byli wczoraj?

— gdzie byli w 1970 i 1976 roku?

— co robili przez tyle lat?”

Posługując się takimi chwytami, uruchomiamy niebezpieczny mechanizm niezwykle surowej selekcji. No bo powiedzmy sobie prawdę: w 1970 roku, kiedy na Wybrzeżu ginęli od kul strajkujący i przypadkowi przechodnie, ogromna większość społeczeństwa polskiego, tj. my wszyscy siedzieliśmy cicho jak myszy pod miotłą. I powiedzmy sobie szczerze, że strajkujący z narażeniem życia stoczniowcy Gdyni, Gdańska i Szczecina dali się w kilka dni po krwawych zajściach wystrychnąć na dudków. Przez „towarzysza Edwarda” i „towarzysza Piotra”.

Zostawmy tedy coś dla przyszłych historyków, a sami przyjmijmy dwa skromne wymogi względem siebie i innych:

— do nowych związków zawodowych i w ogóle do ruchu rewindykacji obywatelskich przystąpić może każdy, niezależnie od swojej przeszłości, pod warunkiem, że nie będzie jej ukrywał i potrafi ją właściwie ocenić;

— ludzie, których przeszłość zawiera karty niekoniecznie chlubne nie muszą od razu startować jako przywódcy.

Reszta winna być sprawą wiary w to, że ludzie potrafią się zmieniać również na lepsze.

VII

„Polska jest i będzie członem socjalistycznej wspólnoty, szczerym sojusznikiem Związku Radzieckiego... Ten kierunek myślenia i działania określa nie geopolityczne położenie naszego kraju, jak to mówią nasi przeciwnicy, lecz wynika on z historycznych doświadczeń naszego narodu.”

To Stanisław Kania. No i o.k., bo niby co innego miał powiedzieć I sekretarz KC. Może nawet w to wierzy. Logiczny rozbiór tej tezy oraz pytanie, czy jest ona prawdziwa nie miałby sensu. Należy ona bowiem do sfery ideologii i jako taka nie odnosi się do rzeczywistości, lecz do tworzonej przez nowomowę pseudoreczywistości.

W odróżnieniu od Kani większość ludzi powiada: musimy należeć do „obozu”, bo takie jest nasze położenie geopolityczne. Sądzę, że w rozsądnie przewidywalnej przyszłości musimy należeć do „obozu”, ale nie dlatego, że takie są nasze geograficzne

parametry, a dlatego, że tak zdecydowało kilku panów w Teheranie i w Jałcie. Bez mała czterdzieści lat temu.

Lepiej to i gorzej.

Lepiej — bowiem w odróżnieniu od południków oraz równoleżników układy jałtańskie nie są wieczne. Położenia geograficznego w sposób istotny zmienić nie można — nie znamy natomiast ani jednego układu międzynarodowego, który nie uległby przedawnieniu.

Gorzej — ponieważ i dziś, i jutro gwarantami sowieckiej dominacji w Polsce, wiernymi sygnatariuszami naszej niesuwerenności są nie tylko sowieckie czołgi, ale wszystkie rządy państw zachodnich. To jeszcze można zrozumieć. Haniebne natomiast jest, że — poza nielicznymi wyjątkami — opinia publiczna na Zachodzie albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo skwapliwie tę naszą wymuszoną niesuwerenność przyklepuje.

Mają straszliwe wyrzuty sumienia z tytułu tego, co robili ich prapradziadowie z Oubangi-Chari albo w Nyassie. Trochę wstydzą się tego, co robili ich dziadkowie w Monachium. Ale to, co uczynili ci sami ich dziadkowie w Teheranie i w Jałcie „na wszelki wypadek” uchodzi ich uwadze.

Warto im o tym stale przypominać. Nie rządóm, lecz opinii publicznej.

Lwówek, 15 października 1980

DWA OKRESY

Panowie współmężczyźni!

Może wreszcie przestaniecie być takimi delikatesami. Może przestaniecie udawać, że spod was to ptaszki wynoszą, że wierzyacie w Bociana, że nie wiecie gdzie ten miód. A po prostu — może wreszcie przyjmiecie do wiadomości, że (używając słownictwa ks. Wujka) niewiasty co miesiąc cierpią na krwie płynienie. I że w związku z tym nie jest sprawą obojętną, czy mogą w tym czasie zachować czystość, również w fizycznym sensie tego słowa.

Otóż przyjmijcie, koledzy współmężczyźni, do wiadomości, że w kraju naszym, jak długi i szeroki, nie uświadczysz tam-paxów, opasek higienicznych, ligniny i waty. Uświadomcie sobie też, że niedostatek owych artykułów czyni z większości waszych żon, córek i siostr istoty przez kilka dni w miesiącu wstydliwie i głęboko upokorzone. Nie przez naturę, lecz przez przemysł lekki i dystrybucję zwaną u nas, nie wiadomo dla-czego, handlem. (Nie zapominajcie, że wasze koleżanki z pracy są na ogół czyimiś żonami, siostrami, córkami.)

Już widzę, panowie, wasze głupie uśmiechy, już widzę jak wzruszacie ramionami: tampaxy — a to co takiego? Opaski higieniczne — a fe! To babska sprawa, i nie nam rycerzom „Solidarności” (czyżby tylko męskiej?) zajmować się takimi paskudztwami. My to, owszem, od tej chwili wytchnienia po trudzie dziejowym nie stronimy. To, to możemy, to lubimy, chcemy. Ale żeby zaraz o ligninie?! To nie nasza sprawa.

Czy aby na pewno? Czy aby na pewno wstydlivy, przykry i upokarzający kłopot naszych żon i narzeczonych, tych co są „wierną rzeką” i tych co są „urodą życia” nas zupełnie, ale to zupełnie nie dotyczy?

Ja rozumiem, że czasy są dziejowe, że wy, koledzy mężczyźni, macie na głowie Same Ważne Sprawy. Jako to: Rewolucja Egzystencjalna, Przeanielenie, Egalitaryzm. Rozumiem, że słowa „okres” używacie jedynie we wzniosłych eksklamacjach takich, jak Wyjątkowy Okres Historyczny, itp. Ale raczcie, proszę, zwrócić uwagę, że dla wielu milionów waszych córek, matek, żon, kochanek i sióstr, na co dzień słowo „okres” kojarzy się z czym innym. Właśnie z owym żenującym brakiem kilku artykułów pierwszej potrzeby.

Więc ruszcie mózgami, wy co między siebie liczycie Wali-górę, Wyrwidęba, Wajdę i Wałęsę. Jeżeli potraficie wymyślać recepty na Powszechną Równość, Silne Państwo i Doskonały System Kartkowy, to może potraficie wymyśleć coś, co umożliwiłoby współtowarzyszkom naszego życia nabywanie opasek higienicznych bez recept.

Koleś, jak one będą stały w kolejkach po tampaxy dla siebie, kto stanie w kolejce po mięso dla ciebie? Staruszków płci obojga może nie starczyć.

Ze średnim poważaniem...

lipiec 1981 r.

MUNDURY I GARNITURY

To już trzeci, od grudnia licząc, artykuł pisany „na Babylon”. Ponieważ tworzą one jakąś tam całość, ewentualnemu czytelnikowi przypominam, że pierwszy wypuszczony był w świat w lutym („Dania jest więzieniem”), zaś drugi w marcu („Czyje jest wojsko”).

I

Podpisując tzw. umowy gdańskie — mało kto pamięta, że akceptowało je biuro, któremu przewodniczył Gierek — kierownictwo partii potraktowało ów rozejm tak, jak Lenin pokój brzeski, tzn. jako wygraną na czasie. Niezależnie od układów personalnych, kierownictwo komunistyczne ani przez chwilę nie miało zamiaru rezygnować z odzyskania możliwej pełni władzy. Wielokrotnie podówczas powtarzana formuła „rozwiązanie konfliktów metodami politycznymi” należy do nowomowy i w normalnej polszczyźnie znaczy *tyle i tylko tyle*, że komuniści sądzą, iż uda im się unieszkodliwić drugą stronę bez masowych aresztowań i bez użycia broni palnej. I nic ponadto. Kierownictwo komunistyczne proklamowało tę taktykę jesienią 1980 r., w momencie gdy partia zewnętrzna po prostu nie istniała, zaś partia wewnętrzna była skłócona i całkowicie zdeorientowana. Jedynymi nietkniętymi twierdzami systemu w kraju był aparat bezpieczeństwa i wojsko. Po to, by móc unieszkodliwić przeciwnika bez masowych aresztowań i bez użycia czołgów, transporterów, gazów łzawiących, armatek wodnych

i broni palnej komuniści musieli wprowadzić jaki taki ład w partii wewnętrznej, restytuować nieistniejącą *in actu* i gwałtownie kurczącą się liczebnie partię zewnętrzną, narzucić nowomowę jako oficjalny i obowiązujący język opisu sytuacji w świecie a przede wszystkim w Polsce oraz język oceny działań ludzkich. To się — jak wiemy — nie udało.

Nie miejsce tu i czas na rozważanie tematu: dlaczego się nie udało i czy w ogóle pokojowa restytucja sowietyzmu w Polsce mogła się udać oraz kiedy Moskwa i Warszawa doszły do wniosku, że dość już zabawy w „środku polityczne”. Osobiście sądzę, że wariant czy też raczej warianty „siłowe” przygotowywane były od dawna, zaś decyzja w sprawie „13 grudnia” zapadła późnym latem 1981 r. Jej widomym znakiem było objęcie stanowiska I sekretarza przez W. Jaruzelskiego. Jeśli nawet mylę się w ocenie tego aspektu kolejnego awansu generała, faktem pozostaje, że w nocy z 12 na 13 grudnia dokonano się gwałtowne przejście od stanu wojennego pełzającego (nominacje, grupy operacyjne, typ propagandy) do otwartego wypowiedzenia wojny społeczeństwu.

Jednym z głównych celów wprowadzenia stanu wojennego było utworzenie namiotu tlenowego, pod którego osłoną można będzie dokonać reanimacji partii zewnętrznej oraz ideologii czyli nowomowy. Bez tych składników system socjalistyczny nie może na dłuższą metę funkcjonować. Powrotne ich ożywienie było, powtarzam, jednym z głównych celów wyprowadzenia czołgów na ulicę. „Racjonalistyczni” krytycy WRON-y, podkreślający, że od 13 grudnia komunistom nie udało się rozwiązać żadnego istotnego problemu społecznego, gospodarczego czy politycznego popełniają na ogół dwa błędy. Zakładają, że komuniści chcieli w pierwszej kolejności rozwiązywać sprawy z punktu widzenia społeczeństwa najważniejsze. Po drugie zapominają, że po to, by jakiegokolwiek istotne problemy rozwiązać na swój sposób, WRON-a musi przede wszystkim odtworzyć partię. A nie zwolnić internowanych, których wsadziła m.in. po to, by reanimować partię.

II

Otóż zarówno pełzający (luty-grudzień) jak i otwarty „przewrót” wojskowy stworzył w partii wewnętrznej szczególną sy-

tuację. Obok starego, „normalnego” aparatu partyjnego, nawykłego do myśli, że on dzierży wartość najwyższą — władzę, on decyduje i rozdziela, on spija miody, pojawił się konkurent; komuniści w mundurach.

Początkowo ludzie partii wewnętrznej milczeli. Komuniści w garniturach musieli sobie zdawać sprawę z tego, że wojsko, SB i ZOMO wystąpiły przede wszystkim po to, by zrobić to, czego oni nie potrafili dokonać w ciągu sławnych 500 dni tj. po to by wesprzeć ich wspólne dobro — system sowiecki. Ci zaś aparaczczycy, którzy tego nie rozumieli (jeżeli w ogóle byli tacy) i tak nie mieli żadnych możliwości ujawnienia swoich poglądów. Zamknięte zostały wszystkie partyjne pseudo-agory czyli oficjalne sieczkarnie słów i zwrotów nieszczęsnej, przerażającej na nowomowę polszczyzny. Nie istniało nawet, a przynajmniej nie pojawiało się w prasie biuro polityczne. Sekretariat KC także. Pierwszym opublikowanym po 13 grudnia tekstem, który Jaruzelski podpisał jako sekretarz KC była wysłana po śmierci Sułowa depesza kondolencyjna. Wdzięczni za „ocalenie” systemu, który zresztą nie mógł być obalony w Polsce (tylko w Polsce), o czym wiedzieli wszyscy myślący ludzie, komuniści w garniturach przede wszystkim odetchnęli z ulgą. Pod stworzonym dla nich namiotem tlenowym. Nie wiem czy wśród tych oddychających z ulgą byli od pierwszej chwili tacy, którzy uświadamiali sobie, że komuniści w mundurach wcale nie zechcą odegrać roli schillerowskiego Murzyna, co zrobi swoje i odejdzie. Oczywiście fakt, że komuniści-wojskowi zaczęli na swój patron przykrawać starą, bolszewicką zasadę łączenia stanowisk i manipulowania podziałem na władzę faktyczną i formalną, zaczął do nich docierać pod koniec stycznia. W orwellowskim świecie, któremu zostaliśmy zaprzędani w Teheranie i Jałcie, w świecie, którego niezbywalnym składnikiem jest stała walka klik „dogmatyków”, i „liberałów”, gołębio-jastrzębi z jastrzębio-gołębiami załagał się nowy, nieznany przed tym konflikt w łonie, pozał się Boże, elity władzy.

Więc właśnie o tym nowym zjawisku.

Po pierwsze, jest konflikt wewnątrz władzy, której baza społeczna jest znikoma.

Po drugie, jest konflikt dystrybucyjny a nie merytoryczny. Znaczy to, że cel Wysokich Podgryzających się Stron jest identyczny — restytucja możliwie najszerszego zakresu panowania

nad społeczeństwem. Przedmiotem sporu jest nie „co”, lecz „kto”; nie co chcą osiągnąć, lecz kto będzie z tego przede wszystkim korzystał. A chodzi przede wszystkim o dobro najwyższe — władzę.

Po trzecie konflikt „munduru” z „garniturem”, jak wszystkie wewnętrzne rozgrywki komunistów artykułowany musi być jako ideologia, jako koncepcja (Panie, zlituj się nad nami!) polityczna, czego wtórnym efektem są zagrania taktyczne. Ktoś musi być „liberałem”, ktoś inny występować jako „beton”. Gra pozorów? W znacznej mierze tak, ale na krótką metę pozory te mają jakieś tam znaczenie. Nie jest obojętne, czy przeciętna „wronich” wyroków sądowych wynosi 2 i pół roku czy 5 lat. Ani z humanitarnego, ani z politycznego punktu widzenia.

Po czwarte, i to jest może najciekawsze, a w każdym razie najsmieszniesze, konflikt wewnątrz elity władzy musi zakończyć się niczym, czyli nie może się zakończyć. To wymaga wyjaśnienia.

Mogłoby się wydawać, że aparat partyjny w garniturach nie ma szans, że zależny jest całkowicie od zbrojnej osłony, którą dowodzi aparat partyjny w mundurach. Mogłoby się zatem wydawać, że bolszewicy wojskowi nie mają ani powodu, ani potrzeby ustępowania bolszewikom cywilnym skrawka zagarniętych prerogatyw. „Sądzę — pisał 4 kwietnia publicysta *Trybuny Ludu* — że władze wojskowe nadal poszukują owego punktu zero, momentu od którego rozpoczyna się niezakłócony marsz w stronę socjalistycznej normalności. Momentu, który przywraca społeczeństwu biologiczną równowagę.” Przekład tego dziwoląga nowomowy na normalną polszczyznę nie przedstawia trudności. Autor chce wierzyć, że komuniści w mundurach zmierzają ku „normalności”, że więc mają zamiar wrócić do sztabów i koszar, ale nie jest pewien, czy aby „władze wojskowe” nie machnęły ręką na tę normalność i nie zagnieździły się przy kole sterowym na dobre. Przeświadczenie, iż przejście z powrotem pełni władzy przez aparat partyjny w cywilu równoznaczne jest z przywróceniem społeczeństwu „biologicznej równowagi” świadczy jedynie o tym, do jakiego stopnia komunistą uwielbia władzę.

Otóż nie podzielam obaw autora tego artykułu. Rodzinna kłótnia między „mundurami” i „garniturami” zakończy się kompromisem. Zgniłym — bo niby co innego miałoby na tym drzewie wyrosnąć.

III

Dokonując skutecznego zamachu na rodzącą się podmiotowość społeczeństwa, wojskowa elita partyjna chciała i miała złecone odtworzenie „matrycy genetycznej”, według której może się samopowielać. Matryca ta zaś jest i musi być ideologiczna, musi reprodukować partię zewnętrzną, ta musi być — siłą rzeczy — cywilna, co z kolei powoduje, że *gros* władzy musi się skupiać w ręku cywilnej partii wewnętrznej.

Czy naprawdę musi? Sądzę, że tak.

Jak niemożliwa okazała się pokojowa, kontrolowana mutacja ustroju w stronę demokracji (w co osobiście ani przez chwilę nie wierzyłem), tak niemożliwa jest mutacja ustroju w stronę poza-ideologicznej i pozapartyjnej dyktatury wojskowej. Przynajmniej dopóki nietknięta jest Wielka Macierz ustroju — sowieckie imperium.

Powrotu do sytuacji sprzed sierpnia 1980 r. nie chce w Polsce nikt, a już szczególnie nie chcą go ani „mundurki” ani „garniturki”. Oni chcą stworzyć sytuację, w której nic analogicznego do Sierpnia nie będzie się mogło zdarzyć. Co, na szczęście, jest nieosiągalne. Osiągalny jest natomiast, na jakiś czas, neo-bierutyzm. Więc bierutyzm nieco odmienny. I jedną z tych zmian będzie widoczna obecność wojskowych w rządowym przez partię wewnętrzną kraju. Komuniści w mundurach ustąpią, ale będą starali się zachować jak najwięcej. Komuniści w garniturach odzyskają, ale nie wszystko.

W rozgrywce, która toczy się na barkach zmęczonego, udreżonego troskami i prześladowaniami narodu, zniewalanego lecz nie zniewolonego społeczeństwa, w tej rozgrywce, która nas nie za bardzo obchodzi, komuniści w garniturach mają dwa atuty: tylko oni mogą — jeśli w ogóle ktoś może — odtworzyć i uruchomić partię zewnętrzną; tylko oni mogą skutecznie produkować ideologię, nowomowę, ów niezbędny składnik świata socjalistycznego. Prawdę mówiąc niczego innego produkować nie potrafią.

W cytowanej przed chwilą *Trybunie Ludu* z 4 kwietnia ukazało się obszerne sprawozdanie ze zorganizowanego przez „garniturki” wielkiego spędu Ideolo. Spęd miał różne cele, ale m.in. ten, by pokazać wszystkim tym generałom, komisarzom i wiernym synom Żelaznego Feliksa, kto naprawdę dysponuje nowomową, kto może ją przystosować do potrzeb etapu, narzu-

cię partii zewnętrznej a poprzez nią przynajmniej spróbować narzucić społeczeństwu. Wy macie broń — powiedziały „garnitury” — i dobrze, żeście po nią sięgnęli. Ale my mamy słowo i bez nas, cywilnych komunistów, nie potraficie nic zrobić. Przeczytajcie w *Żołnierzu Wolności* tego waszego Lwa a zrozumiecie, że potraficie mówić tylko Wyszyńskim (prokuratorem). I przeczytajcie Olszowskiego, a przekonacie się, że mówić Bierutem umiemy naprawdę tylko my. Wy macie broń — ale my mamy nowomowę. Tylko wy i my pospołu, tylko czołgi, więzienia i nowomowa zespolone w jedno tworzą socjalizm.

I komuniści w mundurach zdają sobie z tego sprawę. Czego najlepszym dowodem jest fakt, że Wielkie Ideolo zaczęło się od przemówienia trójjedynego sekretarza-generała-premiera.

IV

Walka o podział władzy, o to, kto lepiej zapewni sowietyzację kraju musi być wyrażona jako ideologia. Nie znaczy to, że podział na „mundury” i „garnitury” pokrywa się z podziałem na jakiś głupi „beton” i pono inteligentnych „liberałów”. Istnienie „betonu” i „liberałów” wpisane jest w matrycę ustroju równie trwale, jak istnienie policji politycznej, czarnego rynku, niskiej wydajności pracy, indoktrynacji przedszkolaków, jak marnotrawstwo ludzi, surowców, pieniędzy. Toteż najpewniej przyszła, względnie ustabilizowana (na dwa? na pięć lat?) władza będzie realizować politykę „betonu” i mówić językiem „liberałów”.

Pozostaje pytanie: co nas, społeczeństwo, może to wszystko obchodzić. My posiadamy swoją fundamentalną wiedzę o komunistach. Wyraża ją powszechnie znane, choć niekoniecznie eleganckie porzekadło: „a ja tym k... nie wierzę”. Otóż jakkolwiek dyrektywa postępowania tak nieładnie wyrażona jest ze wszech miar słuszna, nie należy do niej redukować wiedzy o tych, co nas zniewalają. Bo tak zredukowana wiedza dziwnie dobrze układa się z dziecinną ufnością w bajeczkę o „daniu dogą”, czyli o „dogadaniu się jak Polak z Polakiem”.

Dziś wszyscy zgadzają się, że jednym z głównych błędów „Solidarności” było niedocenianie przeciwnika i przecenianie

własnych sił oraz możliwości. Miało to różne przyczyny; jedną z nich była zbyt uboga wiedza o systemie władzy komunistycznej. A kto nie zna przeciwnika — ten nie może znać siebie i łatwo bierze własne, choćby i szlachetne życzenia za rzeczywistość.

Ale to dotyczy innego tematu. Nie komunistów, lecz społeczeństwa, „Solidarności”, tzw. opozycji. Wcześniej czy później trzeba będzie zacząć o tym pisać. I nie tyle ku pocieszeniu serc, co ku zmadrzeniu głowy. Zamknięci w podziwie dla własnych osiągnięć, w zapalczywym gniewie na przeciwnika, co okazał się silniejszy niż się to większości marzyło i który nie miał zamiaru uprawiać czystej gry (ale też nie obiecywał, że będzie grał *fair*) — nie ruszymy z miejsca. Zaś cierpiętnicze dreptanie w kółko i zabawy w dowcipne skądinąd napisy „junta juje” nie mogą być programem na życie dla 36-milionowego narodu. Nie może być nim również nieustające nabożeństwo majowe — czego zresztą Kościół nigdy nie twierdził.

Lwówek, kwiecień 1982

ALEKSANDER SMOLAR I SEWERYN BLUMSZTAJN
— PARYŻ

Szanowni i Drodzy Panowie,

wczoraj wieczorem i dziś RWE nadawało Waszą dyskusję na temat ewentualnego strajku powszechnego, który miałyby być w ciągu najbliższych miesięcy zorganizowany przez „Solidarność” po to by: a) zmusić komunistów do odwołania stanu wojennego i rozpoczęcia rozmów z Kościołem oraz władzami „Solidarności”; b) by uprzedzić i skanalizować nieuchronny a niekontrolowany wybuch gniewu społecznego. Odbiór był niestety zakłócany przez „radiostację im. Buczka”, nie będę się więc odwoływał do Waszych wypowiedzi, bowiem łącznie mogłem czegoś nie dosłyszeć a coś przekręcić; odniosę się wprost do *meritum* sprawy.

Przyjmijmy na chwilę za pewnik założenie *de facto* dyskusyjne — mianowicie, że „Solidarność” jest w stanie zorganizować, poprowadzić i utrzymać w karbach dyscypliny strajk powszechny w skali kraju, lub choćby kilku ważnych regionów. Założmy dalej, że strajk wybucha 12 października br. Chciałbym usłyszeć odpowiedź na pytanie: jak będzie wyglądała Polska w następnym wtorek, tj. 19 października?

Jak dotychczas nikt ze znanych zwolenników strajku powszechnego — tak się złożyło, że spotkałem ich niewielu, ale to może kwestia przypadku — nikt z nich nie potrafił mi udzielić odpowiedzi na to pytanie. Co gorsza, podejrzewam, że część moich rozmówców nigdy przedtem nie zaprzętała sobie głowy tą kwestią — patrzyli bowiem na mnie z agresywnym zdumieniem ludzi zaskoczonych.

Zanim powiem, jak wyobrażam sobie możliwe odpowiedzi na sformułowane pytanie, chciałbym zwrócić uwagę Panów na pewną okoliczność. Otóż działacz „Solidarności”, który powiedział: wybuch społeczny jest nieunikniony, należy zatem działać na rzecz przygotowania tego wybuchu, tworzy sytuację zwaną w socjologii *the selffulfilment prophecy* — przepowiednia działająca na rzecz spełnienia samej siebie.

Wracam do pytania, a raczej zaczynam odpowiedź. Teoretycznie można ich sobie wyobrazić cztery.

Pierwsza jest „napoleońska”, tzn. zgodna z przypisywaną Cesarzowi maksymą: *on s'engage et puis on voit*. Co w tłumaczeniu na polski znaczy mniej więcej tyle: rozpocząć bitwę — a co dalej, zobaczymy.

Odpowiedź druga brzmieć może tak: 19 października rozpoczynają się pertraktacje; po naszej stronie stołu zasiadają, powiedzmy, arcybiskup Dąbrowski, ks. Orszulik, Wałęsa, Modzelewski, Bujak i Frasyniuk. Nazwiska szerokiego politycznie wachlarza doradców możecie sobie dopisać wedle woli. Nie trzeba dodawać, że po stronie komunistycznej zasiadają przedstawiciele jakiejś nowej ekipy, że skład biura uległ zmianie, że WRON-a została rozwiązana a stan wojenny, przynajmniej *de facto*, odwołany.

Odpowiedź trzecia: strajk został złamany siłami ZOMO, wojska i SB, dogorywają ostatnie, izolowane punkty oporu. Ran-nych i trupów jeszcze nikt nie policzył. W obozach (tym razem naprawdę na stadionach) zamknięto około stu tysięcy osób. Rozprawa ze społeczeństwem dopiero się zaczyna — rzecz jasna pod hasłem „demokracja, sprawiedliwość, porozumienie, pokój społeczny”.

Odpowiedź czwarta: interwencja wojsk Paktu Warszawskiego.

Odpowiedzi drugiej, trzeciej i czwartej nie będę komentował. O pierwszej powiem tylko tyle: Napoleon miał armaty.

Byłbym wdzięczny, gdybyście Panowie udostępniłi „na falach eteru” ten list wraz z Waszą odpowiedzią. W szczególności byłbym rad, gdybyście zechcieli wyraźnie powiedzieć: a) czy widzicie inne możliwe odpowiedzi na zadane na początku pytanie; b) jeżeli tak — to jakie?; c) jeżeli nie — która z zarysowanych przeze mnie ewentualności wydaje się Wam najbardziej prawdopodobna i dlaczego.

Zdaję sobie sprawę, że list mój opatrzoney może zostać jakimś komentarzem. Że wyłaniający się z tekstu obraz nie jest pogodny. Że jestem defetystą, a być może po prostu tchórzem.

Że jeśli nie strajk powszechny — to co? Stwierdzenie pierwsze jest prawdziwe. Drugie nijak się nie ma do meritum — nie o to bowiem chodzi, jaki ja jestem, lecz o to, czy zadane przeze mnie pytanie jest zasadne i prawomocne. Istotne jest natomiast to, co wymienilem w trzeciej kolejności: jak działać dalej? Jest to problem podstawowy i niezwykle trudny (przepraszam za banał). Rzecz jednak w tym, że przyjmując decyzję o strajku powszechnym nie mamy się nad czym dalej zastanawiać; znika myślenie programujące, pozostaje technika działania. Myślenie zaczyna się w momencie, w którym dla dającej się przewidzieć kilkumiesięcznej przyszłości rozważamy inne sposoby działania niż strajk generalny.

Zechciejcie Panowie przyjąć wyrazy sympatii i poważania.

Leopolita

Lwówek, 14 czerwca 1982

P.S. Jeżeli nie czytaliście, Panowie, monografii Aszkenezego o Łukasińskim, gorąco polecam tę, chwilami zdumiewającą aktualną lekturę.

L.

16 nr *Solidarności* (mazowieckiej) dotarł do mnie w 5 dni po napisaniu powyższego listu. Pisząc go, nie znałem wywiadu udzielonego tejże „Solidarności” przez Zbigniewa Romaszewskiego. Wywiad ten, wbrew intencjom p. Romaszewskiego, utwierdził mnie w przekonaniu, że organizowanie strajku powszechnego jest w chwili obecnej posunięciem niesłusznym, by nie powiedzieć samobójczym. Do sprawy tej wrócę jeszcze — w tej chwili wydaje mi się ona dla losów kraju najważniejsza. Nie mając żadnego lub prawie żadnego dostępu do centralnej prasy „Solidarności” regionu Mazowsza, będę pisał swoje uwagi choćby w pięciu, choćby w trzech egzemplarzach. Za błąd swój i ludzi myślących podobnie uważam to, że milczeliśmy w okresie „sławnych 500 dni”, mimo iż nie ulegało dla nas wątpliwości — od wiosny 1981 r. — że musi się to zakończyć przejęciem władzy przez wojsko lub interwencją wojsk Paktu Warszawskiego.

Lwówek, 19 czerwca 1982

WIDZIEĆ JASNO I BEZ ZACHWYCENIA

O ile się nie mylę, dotychczasowy sposób myślenia większości działaczy „Solidarności” opierał się na następujących założeniach uznanych za aksjomaty: a) Wrona się nie utrzyma! b) komuniści muszą rozpocząć rozmowy z Kościołem i legalnie wybranymi władzami związku; c) w czasie tych pertraktacji można będzie, owszem, nieco ustąpić, ale nie za bardzo; d) jeśli Wrona nie zacznie tych pertraktacji, to zniesie ją wybuch gniewu społecznego.

Ludzie rozumujący w ten sposób, a w każdym razie niektórzy z nich, przeżyli 21 lipca rozczarowanie. Z niezrozumiałych dla mnie powodów, są to bowiem ludzie mający — zasadnie — jak najgorszą o komunistach opinię. Więc niby czego się spodziewali? Że Jaruzelski pojedzie z Wałęsą na ryby? Że Rakowski i Olszowski zaproszą na wódkę Kuronia, Macierewicza oraz kilka pań skazanych „z dekretu” na trzy, pięć i dziesięć lat pozbawienia wolności? Odnoszę wrażenie, że w myśleniu działaczy związku zachodzi jakaś fatalna dysproporcja między usprawiedliwioną niechęcią, łagodnie mówiąc, do komunizmu a nieznaną mechanizmem działania tego systemu. Uważa się na przykład, że komuniści kłamią. I faktem jest, że niezmiennie często rozmijają się z prawdą. Ale faktem również jest, że niekiedy mówią prawdę. Na przykład komuniści nigdy nie twierdzili, że mają zamiar godzić się z ograniczeniem swojej władzy. Lub że chcą dyskutować na równych prawach z kimś, kto się z nimi nie zgadza. Wręcz przeciwnie, zawsze mówili, że są partią leninowską, że należy im się „przewodnia rola”, że aparat bezpieczeństwa to najlepsi synowie partii, itp.

Kto nie zwracał na to uwagi, może przeżył rozczarowanie. Ja nie. Niczego się po posiedzeniu sejmu nie spodziewałem.

Myślę, że aksjomaty, które wymieniałem na początku należy odrzucić, jako że działania na nich wsparte są nieskuteczne, a niektóre z nich — propozycja strajku powszechnego — samobójcze. Myślę, że należy przyjąć inne założenia wyjściowe. A mianowicie, że czeka nas ładne parę lat rządów stanu wojennego, lub — jak to zapowiedział Jaruzelski w sejmie — zawieszonego stanu wojennego ze specjalnymi pełnomocnictwami dla rządu. Myślę, że pertraktować i porozumiewać się będzie nikt z nikim, tzn. Jaruzelski z Malinowskim, Milewski z Koźniewskim, Urban z Grabskim a Głowczyk z mianowanymi przez siebie redaktorami. Myślę, że latami będziemy płacili za długi Gierka, obsesje Gomułki, stalinowskie fantasmagorie Minca. Słowem za 38 lat komunistycznej gospodarki, choć — co prawda to prawda — za długi Gierka przede wszystkim. Ale płacić będziemy my — a nie oni.

Więc co? Poddać się? Część zapewne się podda. Ale co mają robić ci, którzy nie chcą i nie potrafią?

Przede wszystkim zdać sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy. Po drugie zastanowić się nad tym, jakie formy organizacji i jakie typy działania nadają się najlepiej dla powolnego, uporczywego, wymagającego poświęceń oporu. Co zachować, co odrzucić, co stworzyć na nowo. (Wyobraźmy sobie na przykład, że chcemy przygotować społeczeństwo do możliwie masowego bojkotu „wyborów”, którą to imprezę komuniści zafundują nam w ciągu kilkunastu miesięcy.) Z góry można założyć, że formy te powinny być bardzo zróżnicowane i że niektóre z nich można „wymyśleć”, inne zaś zrodzą się „same”.

Dlatego sądzę, że każdy z nas powinien sobie zadać trudne pytanie: wyobraź sobie, że nie ma „Solidarności”, a ty odrzucając terror chcesz nadal walczyć o utrzymanie takich wartości jak wolność, sprawiedliwość, rzetelność, suwerenność jednostki, narodu, państwa? Tym razem bez tromtadracji na wiecach, bez szansy trafienia na pierwsze strony światowej prasy, bez tego wszystkiego, co poeta nazywa „kurtyzaną z puzonem przy gębie”.

Sądzę, że naczelnym obowiązkiem publicysty jest widzieć jasno, myśleć poprawnie, mówić zrozumiale.

A że bywa to obowiązek gorzki...

Lwówek, lipiec 1982

GŁOS W DYSKUSJI GŁOSU

Udostępniony mi uprzejmie maszynopis dyskusji „Bilans i perspektywy na półmetku”, mimo normalną i zrozumiałą rozbieżność zdań, zdaje się zawierać pewien wspólny uczestnikom opis sytuacji, ocenę, wnioski, które sprowadzić można do następujących punktów:

1. Społeczeństwo zachowuje się wspaniale, biorąc udział w powszechnym froncie odmowy, co nie pozwoliło komunistom na przeprowadzenie żadnej poważniejszej akcji politycznej.

2. To samo społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z zakresu porażki, jaką poniosło w grudniu 1981 r. i dlatego wyznaje zasadę „wszystko lub nic”, przez wszystko rozumiejąc powrót do stanu sprzed 13 grudnia; stąd należy domniemywać, że wszelkie kompromisowe inicjatywy byłyby przez nie uznane za akt kolaboracji.

3. TKK będąc jedynym ciałem cieszącym się zaufaniem większości społeczeństwa — oczywiście poza Kościołem, ale to inna sprawa — posiadając zatem znaczny kapitał polityczny, nie ma żadnego programu wyjścia z impasu, jest zerem politycznym, nie sprawdziła się zupełnie; rzucone przez nią hasło „społeczeństwa podziemnego” jest co najmniej nierealne.

4. Próba utworzenia podziemia politycznego jak na razie nie udała się i dlatego nie mamy niczego w rodzaju konwentu stronnictw niepodległościowych (literalny tekst dyskusji dopuszcza do tego konwentu jedynie KPN, RMP i grupę „Głosu”, co — mam nadzieję — jest przejęzyczeniem zwykłym, a nie freudowskim).

5. Należy koniecznie stworzyć taką „równię pochyłą”, po której obie strony będą mogły zejść do punktu, w którym

zaczną się pertraktacje; być może dla ułatwienia sytuacji TKK winna w tym przedmiocie przekazać określonym ludziom coś w rodzaju niejawnego mandatu; pożądane jest znalezienie rozwiązania politycznego, które wprowadziłby ograniczałoby znacznie podmiotowość społeczeństwa, ale byłoby wyjściem ze ślepego zaułka stanu wojennego i pozwoliłoby na zajęcie się przerażającym stanem gospodarki.

6. Rozwiązanie polityczne, jakkolwiek kompromisowe, nie tylko nie likwiduje podziemia politycznego, ale niejako zakłada jego istnienie a nadto zakłada, że i ludzie pertraktujący w imieniu „Solidarności” i komuniści udawaliby, że o tym nie wiedzą.

Wierzę, że streszczenie powyższe, acz siłą rzeczy zubażające, jest poprawne.

Zacznę od pierwszych dwóch punktów. Przede wszystkim polityczne oblicze powszechnego frontu odmowy ujawni się (lub nie) w okresie najbliższych „wyborów”, które komuniści będą musieli zafundować sobie i nam w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy. Bez tego sprawdzianu wypowiadałbym się z uznaniem, ale i bez entuzjastycznego optymizmu. A teraz pytanie: czy nie jest aby tak, że między punktami drugim i pierwszym zachodzi związek przyczynowy: bojkot poczynił władzy jest między innymi dlatego tak powszechny, że społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z zakresu grudniowej porażki? Jeżeli odpowiedź miałaby być twierdząca — a obawiam się, że tak — to sytuacja jest bardziej skomplikowana niż to wynika z dyskusji. Nie można bowiem uzyskać jednocześnie dwóch rzeczy: politycznego kompromisu i powszechnego bojkotu politycznych poczynił władzy.

Nie wiem czy TKK zdaje sobie z tego sprawę, ale skromność jej działań politycznych uwarunkowana jest chyba przez taki oto paradoks: by zaryzykować osiągnięcie czegoś w przyszłości (a ryzyko jest niemałe, bo osiągnąć można figę z makiem bez figi i bez maku), społeczeństwo musi w jakimś zakresie zrezygnować z tego, co jest jego siłą największą, tj. z powszechności politycznego bojkotu.

Wydaje mi się zresztą, że uczestnicy dyskusji przeceniają możliwości TKK, że traktują ją jako regularnie obradujące gremium, które może coś nakazać a co innego zakazać. Podejrzewam, iż jest to wizja przesadnie optymistyczna. Ogromny zasięg demonstracji sierpniowych dowodzi nie tyle zakresu władzy TKK, co stanu emocji społecznych. A dodajmy, że przez

dwa ostatnie tygodnie sierpnia „czerwony” zachowywał się tak, jak gdyby chciał wezwanie do udziału w demonstracjach rozpowszechnić możliwie najszerzej.

Zgadzam się, że polityczne wyjście z impasu, choćby skromne i niewygodne, jest pożądane. Obawiam się jednak, że komuniści nie chcą takiego rozwiązania. Musiałoby ono bowiem zakładać, że istnieje druga strona. Otóż komuniści istnienia tej drugiej strony nie uznają. W ich języku — a nowomowa jest jednym z głównych składników systemu komunistycznego — istnieją tylko patrioci zrzeszeni w PRON-ciu (czy jak mu tam) oraz ekstremiści i grupki rozwydrzonych wyrostków (do lat 45). Założmy jednak, że „czerwony” gotów jest pertraktować z — dajmy na to — mandatariuszami TKK. Otóż by do takich rozmów przystąpić, TKK musi mieć mandat świadomości społecznej. To znaczy musi zacząć wyjaśniać społeczeństwu, dlaczego trzeba pójść na ugodę inną niż umowy gdańskie. Bez takiej wstępnej pracy ani TKK, ani jej ewentualni mandatariusze nie będą władni zawrzeć żadnej ugody.

A jeśli nie uгода, to co?

Tu muszę powiedzieć, że mam inny niż przedstawiony w „Bilansie...” stosunek do hasła „społeczeństwa podziemnego”. Rozumiem je jak następuje: chronimy istniejące i tworzymy w miarę możliwości nowe załączki społeczeństwa obywatelskiego — siłą rzeczy muszą one być „podziemne”. Czy i w jakim zakresie się to uda — nie wiem. Sądzę jednak, że z góry rezygnować nie wolno. Dodać tu trzeba rzecz niezwykle, w moim przeświadczeniu, ważną: funkcjonowanie tego, co skrótowo nazywam „podziemnym społeczeństwem obywatelskim” nie będzie w ogóle możliwe, jeśli nie powstanie coś, co nazwałbym „strefą pośrednią”. Rozumiem przez to organizacje, instytucje, obyczaje egzystujące legalnie, na które wpływ ma tzw. podziemie. Zdaję sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie z sobą istnienie owej szarej strefy pośredniej, uważam jednak, że jest ono niezbędne.

Jeśli zatem nie dojdzie do uzgodnionych rozwiązań politycznych, to przez czas jakiś po stronie „społeczeństwa aktywne” mielibyśmy do czynienia ze strukturą dwuwarstwową:

— załączki podziemnego społeczeństwa obywatelskiego: za-wieszona „Solidarność”, a w wypadku takiej czy innej jej likwidacji fragmenty „Solidarności”, które zdecydują się na działalność podziemną, grupy i partie polityczne, elementy systemu niezależnej informacji i opinii, „równoległa” kultura, związki szkolnictwa uzupełniającego etc.;

— strefa pośrednia: poszczególne samorządy robotnicze, w

wypadku likwidacji „Solidarności” oraz utworzenia koncesjonowanych związków zawodowych te ich ogniwa, które nie będą całkowicie dyspozycyjne, poszczególne ogniwa spółdzielczości, niektóre towarzystwa regionalne, niektóre towarzystwa naukowe itp.

Na zakończenie dwie uwagi luzem.

Jeden z uczestników dyskusji powiada, że „wojenny” bilans podziemia jest „żałosny”. Nie miałbym pretensji do „podziemia” o skromność jego osiągnięć — natomiast do szewskiej pasji doprowadza mnie jego papkinada: samochwalstwo, nierzetelność, bezprzykładne gadulstwo, działania zakładające, iż w mury Białoleki, Załęża etc. zostaną, oczywiście, wmurowane tablice pamiątkowe. Zdaję sobie sprawę, że w podziemiu działa wielu ofiarnych i rzetelnych ludzi, wydaje mi się jednak, że procent Papkinów jest tu zdecydowanie zbyt wysoki.

W zakończeniu „Bilansu” p. Położny mówi o konieczności „koordynacji działań autentycznie polskich sił”. Traktuję to jako niezręczność, która trafia się w każdej dyskusji. Przy okazji jednak chciałbym poczynić uwagę natury ogólnej : kategoria „autentycznej polskości” (włoskości, szwedzkości), podobnie jak kategoria „autentycznej rewolucyjności” ma to do siebie, że zawsze znajdzie się ktoś bardziej polski lub bardziej rewolucyjny. Np. Niezależna Grupa Polityczna głosi, iż „nie tylko” KOR, ale ROPCiO, KPN oraz RMP są proveniencji „syjonistycznej”. Moim zdaniem do tej licytacji w ogóle nie warto wchodzić.

Lwówek, wrzesień 1982

ŁYZKA DZIEGCIU DLA SPIĄCEJ KRÓLEWNY

Nigdy nie żywiłem nadmiernych złudzeń ani co do koordynacyjnych zdolności TKK, ani w przedmiocie wykonawczych możliwości RKW. Ograniczona sprawność obu tych ciał wynika przede wszystkim z okoliczności, w jakich przychodzi im działać, jak i z ich prehistorii. Przez to drugie rozumiem m.in. złe strony dziedzictwa „Solidarności”, a w tym bałagan, nawyk puszczania całej pary w gwizdek oraz niejaką skłonność do księżycowej oceny realiów. To wszystko biorąc pod uwagę, w wielu rozmowach broniłem i TKK i RKW, wychodząc z założenia, że gdyby miejsce Bujaka zajął Iksiński, zaś miejsce Hardka — Brzdycy, nie tak wiele by się od tego zmieniło.

Tym razem jednak dyskoordynacja i brak wykonawstwa tj. brak jakichkolwiek działań przekroczyły granice. Nie można poprzestać na słowie prywatnym.

Od połowy września każdy czytający gazety lub słuchający radia dorosły mieszkaniec kraju mógł wiedzieć, że „czerwony” szykuje szybkie rozwiązanie — tj. delegalizację — „Solidarności” oraz powołanie nowych związków zawodowych. Nie należę do wtajemniczonych, nie dysponuję informacjami z jakichś specjalnych „kanałów” czy „przecieków”, niemniej od 20 września znam zasadnicze punkty uchwalonej wczoraj ustawy. Wolno mi zakładać, że skoro mogłem ja — tym bardziej mogłem je znać RKW.

Absolutne minimum tego co RKW winien uczynić, to wydać w ostatniej dekadzie września oświadczenie: wiemy, oceniamy negatywnie, prosimy powstrzymać się z wszelkimi działaniami, chcemy bowiem dokładnie poznać tekst ustawy. Nie twierdząc, że RKW powinien był właśnie tak postąpić, twierdząc jedynie, że było to minimum absolutne. Jak wiadomo, RKW

nie zrobił nic. Osobiście uważam, że nasze regionalne ciało nie-wykonawcze mogło i powinno było uczynić znacznie więcej. Nie miejsce tu jednak na prezentowanie pomysłów, które może znakomite 23 września, są siłą rzeczy do chrzanu 9 października.

Co zatem winni zrobić Bujak, Kulerski i Janas?

Przed wszystkim wyjaśnić swoje zachowanie w w ciągu ostatnich trzech tygodni. Dopóki tego nie uczynią, wszelkie ich wezwania i sugestie będą miały ograniczoną wiarygodność. Łacno też będą mogli usłyszeć: nabraliście wody w usta wtedy — dajcie się wypchać teraz.

Jeśli sądzę, że Regionalny Komitet (na razie może o wykonawczości nie mówmy, bo nie ma o czym) winien zacząć od wyjaśnienia swojej zabawy w śpiącą królową, to nie tylko dlatego, że wolałbym, by nasz związek uniknął pokątnych pyśkówek, lecz przede wszystkim dlatego, że — wojna nie wojna — takie są elementarne wymogi demokracji.

Co się zaś dotyczy stosunku do wronich syndykatów, to mimo całą absurdalność ustawy, która — pomijając inne, ważniejsze zagadnienia — w ostatnim rozdziale anuluje znaczną część własnych postanowień, strzegłbym się przed ogłoszeniem całkowitej i bezwyjątkowej negacji. To wpędziłoby nas w sytuację nie-możliwiającą jakikolwiek manewr polityczny, również tam, gdzie może on być w sposób oczywisty korzystny.

Lwówek, 9 października 1982 r.

MOIM ZDANIEM...

demonstranci krzycząc do ZOMO-wców „gestapo! gestapo!” popełniają błąd. Co prawda jest to błąd porośły już patyną tradycji — o ile mi wiadomo, po raz pierwszy okrzykiem „gestapo!” posługiwali się studenci pałowani na pl. Narutowicza w październiku 1957 r. po rozwiązaniu *Po prostu* — niemniej błąd. Należy raczej skandować: „ka — ge — be”, albo „zo — mowcy — do — Moskwy!”. Trudno oczywiście wymagać od demonstrującego, pałowanego i zapłakanego tłumu, by w swych reakcjach był racjonalny. Nie jest to więc krytyka, lecz raczej sugestia.

Inaczej rzecz ma się z redaktorami gazetek. Od nich należy wymagać reakcji racjonalnych.

Otóż przyrównywanie obozów dla internowanych do hitlerowskich obozów koncentracyjnych zasadne jest w jednym i tylko w jednym przypadku — wówczas gdy analizujemy tzw. podstawy prawne istnienia jednych i drugich. Poza tym porównywanie np. gen. Kiszczaka (cokolwiek byśmy o nim sądzili) z Rudolfem Hoessem, komendantem Oświęcimia i Brzezinki (patrz *Słowo* nr 3 z 20 IV br.) jest bezzasadne, niesmaczne i propagandowo chybione.

Zauważmy, że porównując obozy dla internowanych z hitlerowskimi obozami koncentracyjnymi odwraca się uwagę czytelnika od faktycznych źródeł inspiracji PZPR — mianowicie od wzorów sowieckich.

A tak w ogóle to warto zestawić „nasze” obozy dla internowanych z Berezą Kartuską. Okaże się wówczas, że:

— w kapitalistycznej Polsce wolno było istnienie tego jednego obozu krytykować publicznie — w Polsce socjalistycznej „interny” krytykować nie wolno;

— w Berezie naraz nie przebywało nigdy więcej niż 500 internowanych, zaś w ciągu 5 lat istnienia tego małego szlacheckiego przybytku przewinęło się przezeń 5.000 ludzi — przez socjalistyczne obozy dla internowanych w ciągu pierwszych pięciu miesięcy ich istnienia przeszło na pewno ok. 10.000 osób, ile zaś siedzi ich teraz (w połowie maja) — trudno powiedzieć, ale najpewniej grubo ponad 5.000;

— w Berezie nie trzymano kobiet — socjalistyczna Polska i tu wprowadziła równouprawnienie płci, dodajmy: na szeroką skalę;

— w Berezie nie wolno było nikogo przetrzymywać dłużej niż 6 miesięcy — w obozach socjalistycznych pobyt jest bezterminowy.

Co się zaś tyczy pałowania i innych tego rodzaju zabiegów reedukacyjnych — Bereza, ze wszystkimi swoimi godnymi potępienia praktykami, nie umywała się do komisariatów Śląska.

Jak z tego widać, rządy komunistyczne generałów stanowią wyraźny i wymierny postęp w stosunku do rządów sanacyjnych pułkowników.

maj 1982

Moim zdaniem...

określenie „randomizacja represji” brzmi w sposób uczony i niepozbowione jest perwersyjnego uroku. Usłyszałem je od mego znajomego — intelektualisty. Wszyscy teraz w ramach powszechnego antywroniego zbratania mają znajomych intelektualistów, więc ja też. Słowo „randomizacja” pochodzi od angielskiego „random” — przypadkowy. W bardzo kolokwialnej polszczyźnie „randomizacja represji” wyklada się jako „czerwony pałuje i wsadza do pudła kogo popadło”. W istocie pierwsza połowa maja zaznaczyła się jako wyraźny, skokowy wręcz wzrost krzywej komunistycznego porozumienia się z narodem, czyli kompromisu pały z plecami i przegubów z kajdanami. Internowanych jest z powrotem prawie tyle co w grudniu, zaś aresztowanych znacznie więcej.

Już nazwiska internowanych w grudniu były dobierane przez pijaną papugę. Ale wówczas można było powiedzieć, że papuga wyciągała „losy” z określonej puli dostarczonych jej kartek. Dziś wielu z nas może wymienić nazwiska internowanych lub aresztowanych zupełnie na chybił-trafił. A to kogoś zatrzymał patrol nocą za piętnaście dwunasta i kiedy ów nie-

szczęśnik usiłował wyjaśnić, że ma jeszcze kwadrans czasu, znalazł się najpierw w komisariacie, a w dwa dni później w Białoleńcu. A to jakaś pani z okna zawołała do pałujących zomowców „ludzie, opamiętajcie się!” i ani się opamiętała, jak wylądowała na ostrym dyżurze okulistyki. Słyszałem o pewnej „branzówie”, którą wyrzucono z pracy, bo 13 maja nieopatrznie poszła do bufetu na herbatę (?): w złą godzinę — o 12.10. Może jej zegarek źle chodził?

Ludzie usiłują sobie tę „randomizację” jakoś wyjaśnić, zracjonalizować.

Jedni sądzą, że „organa” otrzymały ilościowy plan i po prostu odwalają to, co zadane. Analogiczna wszak zasada — powiadają — działała w Sowietach w latach trzydziestych; tyle, że — drobiazg — na skalę nie tysięcy lecz milionów, i nie Uherek, lecz Workuty. Inni mówią — „i mówią uczenie” — że represje z pozoru przypadkowe są jako metoda zastraszania skuteczniejsze. Nie wykluczam, iż obie próby „zracjonalizowania” absurdalnych represji chwytają jakiś element prawdy. Wygląda na to, że majowe pałowanie i gazowanie inicjowane było w sposób planowy. Na przykład: Warszawa — tak, Łódź — nie; Gdańsk — 3 maja, Kraków — 13. Pewną rolę mogły w tym odegrać proste względy techniczne: ilość „taboru”, ilość pał, tarcz itp. Również prawdopodobne jest, że bezsensowne i na chybił-trafił internowanie, powiedzmy, docent Jabłońskiej-Deptuły z KUL-u oraz, powiedzmy, Tadeusza Sliwińskiego z MPO w Warszawie działa dezorientująco. A dezorientacja sprzyja zastraszaniu.

Tak więc domniemania te mogą być prawdziwe. Ja to sobie tłumaczę jeszcze inaczej: gdy toczy się wojnę z całym społeczeństwem, to w gruncie rzeczy wszystko jedno, kogo się internuje, kogo wyrzuci z pracy a komu wlepi art. 271 par. 1 kk.

Z punktu widzenia rządzących krajem komunistów, winni są wszyscy.

maj 1982

Moim zdaniem...

dobrze się stało, że w 7 numerze *Skrótu* ktoś zwrócił uwagę Komisji Krajowej, a ściślej tym jej członkom i doradcom, którzy internowani są w IV pawilonie w Białoleńcu, że z tym strajkiem głodowym to coś było nie tak. *Skrót* pisał, że członkowie KK winni oszczędzać sił, będą one bowiem potrzebne krajowi.

I że echo społeczne głódówki było stosunkowo niewielkie... Wszystko to, powtarzam, *Skrót* napisał z taktem i rewerencją należną członkom KK, a już szczególnie internowanym. Ponieważ nie posiadam ani takich cech, ani umiejętności, mógłbym co najwyżej napisać, że strajk głodowy członków KK w Białoleńce był bez sensu, zaś jego efekty społeczne żadne.

A nawet gorzej niż żadne. W czasie trwania głódówki zorientowałem się, że nikt z moich znajomych „sam z siebie” tematu tego nie porusza. A są to na ogół ludzie, którzy o niczym innym niż o wydarzeniach politycznych rozmawiać nie potrafią, co jest skądinąd męczące. Gdym sobie to „omijanie” uświadomił, zacząłem przeprowadzać małą, prywatną niby-ankietę. W rozmowach zahaczałem o głódówkę w Białoleńce. I okazało się, że na 33 rozmówców jedna, powtarzam — jedna osoba uznała tę akcję za celową. Powiedziała mianowicie, że internowani w Białoleńce członkowie KK musieli jakoś zaznaczyć, że się nie załamali, że trwają (ocenę tego argumentu pozostawiam czytelnikom). Pozostałe 32 osoby z zażenowaniem lub bez oświadczały... No, właśnie tyle, że to bez sensu i nie wiadomo po co.

Piszę o tym nie dlatego, by rzecz sama w sobie była taka ważna. Ostatecznie członkowie KK, nawet internowani, nie przestają być ludźmi, czyli są omylni. Fakt, że pomylili się w sprawie tak delikatnej jak własna głódówka, która przecież nie była ich własna, bo akt pomyślany był jako protest społeczny, sprawił, że ludzie otaczający internowanych szacunkiem i współczuciem mieli dodatkowy powód po temu, by temat głódówki otoczyć milczeniem. Czyli zachowywali się dokładnie odwrotnie niż — wolno domniemywać — zakładali głodujący.

Było — stało się. Najważniejsze w tym wszystkim jest co innego. *Skrót* wypowiadając się na temat głódówki wykazał, że członkowie KK nie są wyjęci spod krytyki. Nawet internowani, nawet wówczas, gdy dotyczy to sprawy tak delikatnej jak strajk głodowy.

czerwiec 1982

Moim zdaniem...

Kazimierz Koźniewski ma ogromną ochotę coś doradzić władzy. Nawet nieważne co, byle doradzić. A to jak rozwiązać Związek Literatów. A to jak rozwiązać problem internowanych (*Tu i Teraz* nr 2). Ale jakoś ani generałowie z PZPR, ani sze-

regowi ze „stronnictw sprzymierzonych” nie słuchają rad Koźniewskiego.

Na przykład sprawa internowanych. Jeśli pominąć drobne i nie drobne rozminięcia się z prawdą, sedno propozycji Koźniewskiego streścić można jak następuje: zwolnić wszystkich internowanych, a potem aresztować, wytoczyć procesy i skazać stu czy też trzystu spośród nich. I redaktor nowego tygodnika tłumaczy, jakie to rozliczne korzyści odniesie stąd władza. A nawet nie tylko władza, lecz i społeczeństwo.

Zdawałoby się nic prostszego niż usłuchać mądrej rady. WRON-a jednak nie słucha. Czyżby była głupia? No nie.

Bo WRON-a ma swoje racje. Z jej punktu widzenia nie można zlikwidować instytucji „interny”: jest wojna — muszą być internowani. Obozy odosobnienia to bardzo wygodna instytucja. W każdej chwili, bez „biurokratycznej mitręgi” można zapudłować każdego i trzymać go w pudle bezterminowo. A że w obozach reżym jest jednak nieco łagodniejszy niż w zakładach karnych, więc można przy okazji wspomnieć coś o humanitaryzmie. I dlatego mimo rady Koźniewskiego w obozach „odosobnionych” jest wciąż około 4 tysięcy osób.

Naiwny cynizm Koźniewskiego ujawnia się zresztą nie tylko w samej propozycji, lecz i w stylu, w jakim radę swą podsuwa władzę dzierżącym. Zachwyciło mnie na przykład zdanie: „Zapytałem kogo należy”. To dobrze, że Koźniewski wie kogo należy, a kogo nie należy pytać. Dowodzi to, że wprowadzie nie jest jeszcze dobrym doradcą, ale pewnie się z czasem wyrobi. Kto wie, może kiedyś *Tu i Teraz* zajmie miejsce *Polityki*.

W maju tego roku troje moich znajomych — ludzi wzajemnie nie znających się — było przesłuchiwanym przez oficerów SB, którzy scenariusz „rozmowy” mieli wyraźnie wsparty argumentacją zaczerpniętą z artykułów *Polityki*. To się nazywa doradzać komu trzeba.

Tu i Teraz czyli niezdarne poradnictwo dla władzy.

Polityka czyli związane rozmówki przeznaczone na użytek uboli przesłuchujących jajogłowych.

czerwiec 1982

Moim zdaniem...

To już mój piąty felieton w *Kierunkach*. Bardzo to niewiele — pięć, może osiem stroniczek maszynopisu. Mam nadzieję,

że jadowitych. Na pewno pisanych w moim własnym imieniu i wyrażających moje przeświadczenia. Toteż żale i pretensje kierować należy wyłącznie pod moim adresem. Jak napisał kiedyś Diderot: być może te myśli nie spodobały się nikomu — znaczy to, że są niepotrzebne; byłbym jednak niepokieszony, gdyby spodobały się wszystkim.

Trochę mnie martwi długość „cyklu produkcyjnego”. Od napisania felietonu do jego ukazania się mija czasem sześć tygodni. A gatunek to ulotny — żywi się aktualnością. Próbuję jakoś ten okres skrócić — i stąd niniejsze tłumaczenie się jest niejako poza czasem. Mam nadzieję, że następny felieton będzie już bliższy dacie publikacji.

A przy okazji: *Kierunki* — jakże fatalnie wybrany tytuł. No, ale stało się. Redakcji pisemka pod takim złym tytułem nie pozostaje nic innego, jak robić dobre pismo. Którą to uwagę czyniąc, dowodzę, że posiadam przynajmniej jedną cechę dobrego felietonisty: wredny charakter.

czerwiec 1982

Moim zdaniem...

Mam zamiar pisać o naszej „nielegalnej” prasie. Ale nie o tych wydawnictwach, które jak małopolski *Serwis Informacyjny* czy tygodnik *Mazowsze* są niejako organami danych regionów, lecz o masie tytułów takich jak *Zomorządność*, *Komentarze*, *Miś* i oczywiście *Kierunki*.

Odnoszę tedy wrażenie, że bardzo wiele osób czyta tzw. prasę podziemną, a bardzo mało zastanawia się nad tym, jaka ona jest. Pochodzi to stąd, że wydawanie, kolportowanie a przede wszystkim lektura naszych pisemek pełni w znacznej mierze funkcje psychoterapeutyczne. Człowiek czyta, że Wrona jest kloaką wszelkiej nieczystości (co nie jest pozbawione niejakiich podstaw), naród zaś cnót moralnych i intelektualnych osobliwym nagromadzeniem (o czym można by podyskutować) — bo taka jest na ogół treść tych naszych gazetek. I przy pomocy takiej lektury leczy swoje codzienne upokorzenia, niemoc duszy, poczucie zawiedzionej nadziei.

Poza leczeniem własnych obolałości prasa nasza z upodobaniem zajmuje się jednym tematem w dwóch punktach: a) kiedy, w jakich okolicznościach i wskutek czego władza będzie

musiała zacząć pertraktować ze społeczeństwem; b) czy i z czego powinniśmy w toku tych pertraktacji zrezygnować. Osobiście uważam, że komuniści nie mają zamiaru z nami pertraktować, o czym zresztą mówią wprost. Teza iż „czerwony” musi zacząć rozmowy z przedstawicielami społeczeństwa oparta jest na całkowitym niezrozumieniu istoty ustroju socjalistycznego. Jeśli chodzi o społeczeństwo i tzw. opinię światową, to „czerwony” musi bardzo niewiele. Musi mianowicie spłacać odsetki od długów zagranicznych i pozorować rozmowy z Kościołem. Co też i czyni.

Czy z powyższego wynika, że powinniśmy uczynić to, czego komuniści od nas żądają, tj. zgodzić się na bezwarunkową kapitulację? Bynajmniej. Gdybym tak uważał, nie pisałbym tych felietonów. W szczególności zaś nie zastanawiałbym się nad tym, jaka jest i jaka chciałbym aby była nasza prasa.

Otóż wydaje mi się, że „podziemna” prasa stoi wobec następującej alternatywy: gazetki „frontowe” albo pisma w miarę możliwości normalne. Uważam, że czas gazetek „frontowych” dobiega końca, a jak na mój gust to skończył się dobre dwa miesiące temu. Z czego wynika, że czas już zacząć redagować normalne — w miarę możliwości — czasopisma.

Normalne, tzn. takie, w których jest miejsce na komentarz dotyczący wydarzeń w świecie, analizę konkretnych posunięć komunistów, reportaże (siłą rzeczy ukrywający tropy), ba, nawet mini-recenzję. Normalne, tzn. pisane dobrą polszczyzną, a nie „bluzgiem” odziedziczonym przecież po komunistach. Wreszcie przez normalność rozumiem i to, że jeśli tylko dane piśmiennictwo nie jest objętości kartki zeszytowej i nie jest drukowane na wyżymacze, to należy je sprzedawać, a nie rozdawać. Za darmo — jak na razie — każdy weźmie byle jaką gazetkę. A jeśli *Wola* będzie kosztowała 10 zł, to do redagowania pisma nie wystarczy dobra wola. (Koledzy z *Woli*: wybrałem wasz tytuł tak, dla „bonmotu”, ale naprawdę to chodzi mi przede wszystkim o *Kierunki*.)

Moim zdaniem...

dobrze się stało, że *Kierunki* zorganizowały i opublikowały w nr. 15 rozmowę, w której wzięło udział czterech aktywnych działaczy „Solidarności”. Dzięki temu wiemy, co myśli, jak myśli i jak sobie wyobraża przyszłość część aparatu związku.

Błędem było nazwanie tej rozmowy dyskusją, jako że nikt tam z nikim nie dyskutował — cała czwórka była tego samego zdania. A mianowicie, że:

Ludzie zaczynają tracić wiarę; w Regionie musi powstać jednolity ośrodek dyspozycyjny; należy stosować taktykę stałych ruchawek ulicznych; organizowanie 15-minutowych strajków nie ma sensu; rewolucja musi być krwawa; nie można cały czas myśleć o tym, czy Sowieci wejdą, czy nie wejdą; gdyby weszli, to wojsko stanie po naszej stronie; w sierpniu lub we wrześniu powinien wybuchnąć strajk powszechny przygotowany tak, by wiedziało o tym społeczeństwo, lecz nie wiedziała władza; nie można czekać latami i trzeba postawić wszystko na jedną kartę; ulegniemy, ale z honorem.

Cóż mogę na to odpowiedzieć w tej mojej prywatnej rubryce?

Panowie, domyślam się, jakie są źródła Waszego rozgoryczenia i desperacji. Rozumiem, że stale ryzykujecie 3 do 10, co nie jest przyjemną perspektywą.

Niemniej uważam, że nie wolno, pod żadnym pozorem nie wolno proponować społeczeństwu zbiorowego samobójstwa.

Po pierwsze dlatego, że jest to niemoralne.

Po drugie dlatego, że jest to politycznie błędne.

Po trzecie dlatego, że mało kto was posłucha, czyli że jest to nieskuteczne.

W Waszym, Panowie, rozumowaniu wiele jest luk i błędów. Jestem pewien, że dostrzeżecie je sami, a byłbym niezmiernie rad, gdyby przyczynił się do tego mój felieton. Jest, jak wiecie, krótki i dlatego zajmę się jedną tylko sprawą.

Twierdzicie, Panowie, że nie można czekać latami i że trzeba wszystko postawić na jedną kartę. Wszystko, to znaczy — przepraszam — co?

Pozwólcie też sobie powiedzieć, że czasami należy czekać. Czasami długo. Czasami bardzo długo. Osobiście sędzę, że jesteśmy właśnie w takim miejscu naszych dziejów, kiedy trzeba nastawić się na czekanie. Jak długie? Nie wiem. Umówmy się, że trzy do pięciu. I do tego czekania każdy z nas musi przygotować swą psychikę, perspektywę, z której patrzy na świat. I wspólnie musimy wypracować odpowiednie, długotrwałe struktury, program działania. Nie sędzę też, byśmy mogli liczyć na całe 10 milionów członków „Solidarności” czy choćby na owe 800 tysięcy aktywnych opozycjonistów, których doliczył się — pochopnie, jak sędzę — jeden z Was.

Powiem Wam, Panowie, w sekrecie, że w tym trudnym

okresie, który dopiero się zaczyna, czyha na nas wiele niebezpieczeństw. Nie ze wszystkich zdajemy sobie sprawę. Na przykład z tego, że można się potężnie a niebezpiecznie wygłupić.

22 lipca 1982

Moim zdaniem...

od grudnia ubiegłego roku Czesław Kiszczak pracowicie kształtuje swój „obraz”. Przepraszam, Czesław Kiszczak, członek biura politycznego, generał dywizji, minister spraw wewnętrznych, członek WRON. Więc właśnie z tymi wszystkimi tytułami i funkcjami minister Kiszczak pracuje nad stworzeniem swego „obrazu”. Wykorzystuje przy tym umiejętnie „famę stugębną”, co mu przychodzi o tyle bez trudu, że część owych gęb zatrudnia w swoim resorcie. Po kraju krążą tedy mniej lub bardziej błyskotliwe powiedzonka ministra, a niektóre z nich przedrukowują nawet gazetki „Solidarności”, co już uważam za przesadę.

Niedawno minister miał wyrazić żal z powodu tego, że żona Wiktora Woroszyńskiego nie zwróciła się doń z prośbą o zwolnienie męża z „interny”. Bo gdyby tylko poprosiła, to on, minister, miałby „podkładkę” i natychmiast by zwolnił.

Kilka dni temu znalazłem się w towarzystwie, w którym omawiano powyższe zagranie ministra. Oburzano się. Jak to — mówiono — nie wystarczy mu, że Woroszyński jest niewinny, że wszyscy lekarze, w tym urzędowi, stwierdzają, iż stan jego zdrowia wymaga natychmiastowego zwolnienia... Dlaczego jeszcze naigrawa się z nieszczęśliwej i — pono — niemłodej kobiety.

Ktoś zapytał mnie, co o tym sędzę. Powiedziałem mniej więcej tyle:

Na szefów policji politycznej w krajach socjalistycznych nie oburzam się, jeśli wolno tak powiedzieć, na mocy definicji. Co się dotyczy faktu, że Woroszyński jest niewinny, to argument jest o tyle wątpliwy, że sama instytucja „interny” wymyślona została po to, by móc bez hałasu i procesu wsadzać niewinnych. Choroba to też żaden atut, bo komuniści nigdy nie twierdzili, że tworzą ośrodki odosobnienia wyłącznie dla zdrowych. Wręcz przeciwnie, wśród internowanych w nocy z 12 na 13 grudnia roiło się od ludzi, którym najsurowsza komisja lekarska przyznałaby jednogłośnie renty inwalidzkie „najwyższej” kategorii.

A jeśli chodzi o łaskawy żarcik z żony internowanego — zupełnie nieważne, czy jest to ktoś znany, czy nieznany — to tego właśnie mi brakowało.

To był pazur ministra. W tym pracownice budowanym „obrazie” ubecjsza-żartownisia i generała-liberała brak było właśnie czegoś takiego jak numer z panią Woroszyłską.

Toteż proponowałbym uznać sprawę „obrazu” ministra Kiszcza za definitywnie zakończoną. To znaczy nie kolportować jego „bonmotów”, nie powtarzać suflowanych przezeń „liberalnych” bajdów, nie zastanawiać się nad tym, co miał na myśli.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że nie.

29 lipca 1982

Moim zdaniem...

W pierwszą niedzielę sierpnia jedna z „wrażych radiostacji” nadała tekst Władysława Bieńkowskiego pt. „Odpowiedź na ankietę”. Z wieloma poglądami tam wypowiedzianymi zgadzam się jak najbardziej, a w szczególności z tezą, iż inaczej rozkłada się siły w stumetrówce, a inaczej w biegu na 10 km. I że nas czeka raczej ta druga konkurencja.

No ale normalną rzeczą kolejną zgadzam się nie ze wszystkim. W szczególności... Powiada Bieńkowski, iż przykładem słabego wyrobienia politycznego niektórych działaczy „Solidarności” jest fakt, że pozytywnie oceniają sankcje gospodarcze Zachodu wobec Polski i Związku Sowieckiego. A przecież, argumentuje Bieńkowski, sankcje godzą w każdego z nas i są nieskuteczne. Nadto, dodaje, cały ten numer z sankcjami to ze strony USA gra polityczna, którą Bieńkowski porównuje — nie bardzo zrozumiałem, dlaczego — do gambitu szachowego.

Nie będąc działaczem, należę do tych, którzy dodatnio oceniają wiadome sankcje. Wiem skądinąd, że nie zmuszą one komunistów do odwołania stanu wojennego. Wiem również, że za ich skutki płacić będzie społeczeństwo, czyli ty, ona, ja. Ale wiem nadto coś, o czym Bieńkowski zapomniął. Że gdyby Amerykanie dali Breżniewowi i Jaruzelskiemu następne kilka miliardów dolarów, to ci zmarnotrawiliby je tak jak wszystkie poprzednie datki na biednego komuszka. Tak więc czy inaczej, płacić będzie musiała ona, ty, ja — czyli społeczeństwo.

Główny zaś powód, dla którego pozytywnie oceniam sankcje

jest taki: gdyby Amerykanie nie zastosowali restrykcji gospodarczych, to „czerwony” rozpanoszyłby się w sposób nieporównanie bardziej nieznosny niż obecnie. Miałby bowiem przeliczalny dowód na to, że wolno mu wszystko. To zaś co ogranicza panoszenie się „czerwonego” jest dobre dla społeczeństw żyjących pod rządami komunistów. I *vice versa*.

Z powyższego powodu zdecydowanie negatywnie oceniam politykę państw EWG w sprawie gazociągu i zakupu gazu syberyjskiego. A także dlatego, że nie lubię niczego, co budowane jest przez administrację gułagu.

Skądinąd zdumiewająca jest ta beznadziejna i nieodwzajemniona miłość Zachodu do scytyjskich stepów. Trwa to już ponad 1.000 lat: od Ruryka do rurociągu. Zawsze pomogą w trudnej sytuacji. Każdy kolejny Iwan Groźny może liczyć na towary angielskich kupców. I żaden Iwan zwykły nigdy nic z tego nie ma.

sierpień 1982

Moim zdaniem...

Na moją propozycję sprzedawania a nie rozdawania *Kierunków* powiedziano mi, że sprawa nie jest taka prosta. Rzecz w tym, argumentowano, że część składek płaconych przez wielkie zakłady pracy przeznaczana jest na prasę związkową i robotnicy nie będą chcieli płacić po raz drugi.

Ponieważ kwestia wydaje mi się nader ważna — a dla czego, o tym za chwilę — pozwolę sobie nieco obszerniej wyłożyć moje stanowisko. Ale przede wszystkim odłożmy na bok „wielkie zakłady pracy”. To jest pseudo-argument przejęty — mimowiednie — od „czerwonego”. Pieniądze płacą konkretni ludzie, pisemka czytają, lub nie, też konkretni ludzie: ty, on, ja, Felek, pani Ewa, wuj Jakub, a nie jakieś „zakłady pracy”. Z „zakładami pracy” rozmawiać nie można, zaś z Feliksem, panią Ewą, wujem Jakubem — tak. Można im wtedy wyjaśnić co następuje.

Technicznie sprawa jest w ogóle bardzo prosta: wystarczy zmniejszyć dotacje dla prasy i skierować te pieniądze na inne cele. I niech stara się, by ją k u p o w a n o.

Ważniejsza jednak jest merytoryczna, zasadnicza strona zagadnienia.

Apel TKK z 27 lipca rozumiem w sposób dość prosty: wy-

piąwszy się — o ile to możliwe — na komunistów, budujemy społeczeństwo obywatelskie. Gdzie się tylko da i na tak szeroką skalę, jak to możliwe. Otóż wolna i niezależna prasa jest tego społeczeństwa składnikiem niezbędnym. Ale niezależna znaczy niezależna nie tylko od partii, od władzy komunistycznej, lecz również — w miarę możliwości — niezależna finansowo. W tym od władz regionu. Władze regionu mają swój organ i o.k. Ale jeśli chcą usłyszeć od czasu do czasu parę nieprzyjemnych słów pod swoim adresem — a bez tego nie ma demokracji — to lepiej, by pozostałe pisemka, choćby częściowo, dostawały pieniądze w p r o s t o kupujących i czytających. Leży to również w interesie redakcji, bo i one będą w ten sposób sprawdzane przez jakiś załazek rynku.

Rynek to zresztą najtrudniejsza sprawa w budowie podziemnego społeczeństwa obywatelskiego. Mam na myśli trudności wewnętrzne, a nie groźbę, której źródłem jest ubecja. Po bez mała 40 latach komunistycznych rządów mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że obok p r a w a głównym bastionem wolności jest właśnie r y n e k. I ten bastion komuniści niszczą z premedytacją, dobrze wiedząc, czego i dlaczego się boją.

Nie możemy oczywiście stworzyć gospodarki rynkowej, tak jak możemy próbować tworzyć obywatelską edukację. Ale tam gdzie jest to możliwe choćby w minimalnym zakresie, nie wolno nam zaprzepaszczać takiej szansy.

Dlatego egzystencję opartą wyłącznie na dotacjach i darmowe rozdawnictwo gazetek uważam za rozwiązanie gorsze. A sprzedawanie ich za lepsze.

Howgh, powiedziałem.

sierpień 1982

Moim zdaniem...

... warto zwrócić uwagę na następujący paradoks naszej sytuacji (jeden z wielu). Otóż potraktujmy na chwilę ustrój socjalistyczny jak gdyby to był żywy organizm. Organizm wyposażony w bardzo trwałą matrycę genetyczną i raczej słabo rozwiniętą sferę świadomości. Taki organizm musi być niezwykle oporny wobec wszelkich zmian naruszających wspomnianą matrycę i nieskory do refleksji czyli do uczenia się przy pomocy innych metod niż... powiedzmy bardzo prymitywne.

Wiemy już, że organizm ten okazał się niezdolny do przyswojenia sobie niezależnego związku zawodowego (co zresztą

można było przewidzieć). Reakcja socjalistycznego organizmu była, jak wiemy, bardzo gwałtowna: związek został „odrzucony”, a wraz z nim parę innych nowości, co do których można zakładać, że byłyby dla społeczeństwa pożyteczne.

I tu pojawia się paradoks. „Odrzuciwszy” bowiem obce socjalizmowi ciało, jakim jest niezależny związek zawodowy, socjalistyczny organizm zafundował sobie w zamian inne obce socjalizmowi ciało: masowe demonstracje uliczne. Są one oczywiście rozpędzane przy pomocy tzw. sił porządkowych, działających z większą lub mniejszą brutalnością, ale są.

Powiecie mi, że z punktu widzenia interesu społecznego niezależne związki zawodowe to zjawisko niewątpliwie korzystne, zaś profity płynące z demonstracji ulicznych są dyskusyjne. Powiecie, że w wymiarze choćby czysto finansowym „akcje” tak rozbudowanego aparatu ucisku — nie mówiąc już o stałym utrzymywaniu go — są niezwykle kosztowne. No i że płacimy za to oczywiście my. Bo Jaruzelski, Kiszczak czy Rakowski sami z siebie nie mają ani grosza i wątpliwe, by bez partii komunistycznej byli w stanie zarobić na życie.

To wszystko święta prawda. Ale taki właśnie jest ten ustrój. Kosztowny, pełen marnotrawstwa, bezsensowny i przynoszący w skutkach absurdalne społeczne niespodzianki. Co się tyczy interesu społecznego i kosztów utrzymania „sił porządkowych”, to wszystko dzieje się tak, jak powinno się dziać w socjalizmie. Pierwszym komuniści nie przejmowali się nigdy, a jeśli chodzi o drugie, tj. o wydatki na aparat ucisku, to zawsze byli szczodrzy.

wrzesień 1982

Moim zdaniem...

... najwyższy czas powiedzieć coś nieprzyjemnego o demonstrantach. Niezależnie pisemka wynoszą ich pod niebiosa, a po „czerwonym” niczego rozsądnego nie można się spodziewać. Bredzi jak zwykle. 1 września w dzienniku o 5 rano radio zawiadomiło nas, że instrukcja dla „grupy terrorystycznej” w Katowicach, w punkcie bodaj 19-tym podawała sposób na zabijanie kobiet w ciąży. Bomba! Nie rozumiem, dlaczego później wiadomość tę wycofano. Jak już to już, co sobie szkodować.

Więc skoro nikt, to ja zgodnie z moim wrednym charakterem opowiem, com widział na własne oczy.

1 września, po południu, pryncypalna ulica miasta, sklep z obuwiem. Właśnie „rzucili” buty. Natychmiast przed i w sklepie robi się kompletne bangladesz, czyli mówiąc po staroświecku rozpętuje się pandemonium. Trwa to dość długo, aż zjawia się patrol ZOMO. Czy sam z siebie, czy wezwany przez kogoś — nie wiem, obserwuję to z przeciwległego chodnika. Ludzie spokornieli, ustawili się w kolejce, grzecznie wchodzą do sklepu. Nad wszystkim góruje to wulgarny, to błazeńskodobroduszy zomowiec, chłop zwalisty o tubalnym głosie. Porządek panuje na ulicy i w sklepie. Tylko jakiś mocno starszy mężczyzna hałaśliwie domaga się, aby go wpuszczono nadprogramowo, macha legitymacją, krzyczy o swoim udziale w Powstaniu; w końcu zomowiec wpuszcza go.

Myślę, że coś tu jest nie w porządku; nie tylko z butami. I proszę mi nie mówić, że inni ludzie demonstrują, a inni stoją w kolejce po buty, bo to jawna nieprawda. Społeczeństwo robi i jedno, i drugie: demonstruje oraz stoi w kolejkach. I nie można (tj. wydawałoby się, że nie należy) jednego dnia krzyczeć „gestapo! gestapo!”, a drugiego godzić się potulnie z tym, że faceci, którzy wczoraj lali pałami mnie i moich najbliższych dziś stają się „niezbędni”, bo ja i moi bliźni nie potrafimy sami zorganizować kolejki.

Uważa się na ogół, że sowietyzacja to proces porażający publiczną, polityczną sferę życia. Błąd. Ten rak przeżera całą tkankę społeczną, a co więcej bez sowietyzacji życia codziennego komuniści nie mogą w sposób skuteczny opanować sfery polityki.

To pewnie najsmutniejszy z moich dotychczasowych felietonów.

wrzesień 1982

Moim zdaniem...

warto jednak napisać parę słów w związku z ostatecznym odejściem Władysława Gomułki. Osoba jego związana jest z kilkoma dziesiątkami lat naszych dziejów — jakkolwiek by tam było. A było, prawdę mówiąc, nie najlepiej.

Na tzw. arenie historii pojawił się Gomułka w związku z ciemną, mętną i krwawą aferą w ówczesnym — 1942 r. — sekretariacie KC. Politykiem przestał być w grudniu 1970 r., co również wiązało się z przelewem krwi, tym razem na znacznie

większą skalę. I mimo iż ani „wejście”, ani tym bardziej „wyjście” Gomułki nie były szczególnie błyszczące, wielu niezależnych obserwatorów uważa, iż był najwybitniejszym politykiem doby komunistycznych rządów w Polsce. Podkreśla się też, że był człowiekiem o skromnych wymaganiach. Podzielał obie opinie, choć wydaje mi się, że wymagają one, zwłaszcza zaś pierwsza, obszernego komentarza.

O tyle o ile w sowieckich krajach satelitarnych istnieje coś takiego jak polityka, Gomułka niewątpliwie był — w odróżnieniu od Bieruta czy Jaruzelskiego — politykiem. Prawdę mówiąc, to on nadał „polski kształt” zespołowi środków, przy pomocy których komuniści rządzą w krajach Europy środkowo-wschodniej. A więc: masowe represje odziane w szatę słowną jedności narodowej (lata 44-47), amplituda dopuszczalnych stosunków z Kościołem, wygrywanie hasła „monoetniczności”, sprawa niemiecka, strzelanie z grubej rury czyli straszenie sowiecką interwencją — na tym, a także na wielu innych sprawach odcisnął swój osobisty i swój drobnomieszczańsko-polski ślad „towarzysz Wiesław”. Gnom miał przekonania, za które gotów był ponosić konsekwencje. W szczególności uważał, iż komuniści mogą i w razie potrzeby powinni więzić oraz zabijać niekomunistów, ale nie powinni tych środków stosować względem samych siebie. W tym punkcie różnił się wyraźnie od innych komunistycznych przywódców doby stalinowskiej. Ponieważ totalitarny terror stanowi pewną całościową strukturę, wspomniana osobliwość Gomułki nie była obojętna dla losów społeczeństwa.

Wielu ludzi twierdzi, że Gnom nie miał apetytów ani wymagań Gierka, Ceausescu czy Thoreza. Pewnie to i prawda.

Kilka lat temu jeden z moich kolegów zauważył, że kolejni sekretarze KC wznoszą sobie huty, niczym faraoni piramidy. Gierek — hutę „Katowice”, Bierut — Nową Hutę, Gomułka — hutę „Warszawa”. To rzeczywiście dowodziłoby jego skromności.

wrzesień 1982

Moim zdaniem...

z tym pistoletem i skronią sprawa została — jeśli wolno przy tej okazji tak powiedzieć — postawiona na głowie. Przy najmniej przez zachodnie środki masowego upowszechnienia czyli „śmu” (jak to wymyślił kiedyś jeden z naszych głuchych

na polszczyznę socjologów). Jak wiadomo z wrażeń rozgłośni, owe zachodnie „śmu” rozniosły po świecie wypowiedź pewnego gdańskiego stoczniowca. Miał on w dzień po zmilitaryzowaniu stoczni rzec: „A co można zrobić z pistoletem przyłożonym do skroni?”. Sens wypowiedzi, wciąż wedle zachodniej prasy, jest taki oto: okazało się, że przyłożyli nam pistolet do skroni i nic nie możemy zrobić.

Jeśli tak, jeśli ów stoczniowiec to właśnie powiedział, to mam w tej sprawie dwie uwagi.

Po pierwsze człowiek ów dość późno zorientował się w sytuacji. Pistolet wycelowano w nas nie w dniu ogłoszenia militaryzacji stoczni i nawet nie 13 grudnia, a znacznie, znacznie wcześniej.

Po drugie rozumowanie „mamy pistolet przy skroni, a zatem nic nie możemy zrobić” jest luksusem, na jaki nie możemy sobie — pod groźbą śmierci duchowej, tj. pełnej sowietyzacji — pozwolić. Wobec czego należy sprawę odwrócić i rozmawiać jak następuje: kiedyś ręka trzymająca pistolet uschnie i zależy to między innymi, ale niestety tylko między innymi od naszego zachowania; co wobec tego winniśmy robić, wiedząc, że mamy do skroni przyłożony pistolet?

Jest to w gruncie rzeczy pytanie o program, które rozlega się w kraju od dziesięciu z górą miesięcy. Z tą korzystną różnicą, że ludzie zadają je, mając wreszcie świadomość sytuacji w jakiej się znajdujemy. Bo przedtem zadawali je w przekonaniu, że wrona upadnie jak nie w marcu, to w maju, a jak nie w maju, to bankowo w lipcu. I żywiąc to fałszywe przeświadczenie ani nie byli w stanie udzielić rozsądnej odpowiedzi, ani nie przyjmowali do wiadomości, że się mylą.

Z czego by wynikało, że nawet delegalizacja „Solidarności” ma jakąś pozytywną stronę.

Skroń zatem zaczęła myśleć, a nie tylko płonąć oburzeniem. Co zaś do pistoletu, to składają się nań nie tylko ZOMO, SB, nie tylko Pakt Warszawski i — zaplecze tego wszystkiego — jałtańska transakcja, ale i nasza obecna sytuacja gospodarcza. I tu przyznam, że jestem pesymistą. Czego można spodziewać się po komunistach w sferze ekonomiki, wiadomo od ponad pół wieku (co najmniej). A my? Problem polega na tym, że można i należy utrzymywać oraz rozwijać „podziemne” struktury społeczne, ale niestety nie można „podziemnie” ratować gospodarki.

październik 1982

Moim zdaniem...

Chyba większości filmów Andrzeja Wajdy towarzyszyły dyskusje „obok”. To znaczy nie na temat tego, czy film jest dobry czy zły, lecz o tym, czy Wajda chciał czy nie chciał kogoś obrazić. Obrażać miał Wajda głównie Polaków. Jeśli nie wszystkich, to w każdym razie „prawdziwych”. Schemat rozumowania (?) był tu bardzo prosty: kto nie czuł się obrażony „Popiołami”, „Krajobrazem po bitwie” czy „Weselem”, ten dawał dowód, że nie jest prawdziwym Polakiem. Czysta paranoja. Ale bynajmniej nie specyficznie polska. W swoim czasie amerykańskie pismo *Variety* doszło do wniosku, że kręcąc „Ziemię obiecaną” Wajda chciał obrazić Żydów. Należy się domyślać, że „prawdziwych” Żydów. „Prawdziwi” Polacy i „prawdziwi” Żydzi są w tym względzie jak dwie krople wody. Mętnej.

Ostatnio okazało się, że Wajda nie poprzestał na Polakach i Żydach. Postanowił mianowicie obrazić i Francuzów i rewolucję. Za jednym zamachem. Wygląda na to, że zamiar ten powiódł mu się znakomicie. Lud francuski poczuł się dogłębnie obrażony filmem „Danton”. Rewolucja też. W imieniu obrażonego ludu francuskiego wystąpiła *L'Humanité*, organ Komunistycznej Partii Francji, zaś w imieniu znieważonej rewolucji *Żołnierz Wolności*. Co za szczęście, że nie jestem ani ludem francuskim, ani rewolucją.

Co zaś do *meritum*, to moim zdaniem „Danton” jest filmem ze wszech miar godnym obejrzenia. Choć osobiście wolę inne filmy Wajdy. Na przykład „Popioły”, „Powiatową Lady Macbeth”, „Ziemię obiecaną”, „Wesele”. Ale jeśli kto powie, że przedkłada „Dantona” nad „Wesele”, to nie będę ani tupał nogami, ani toczył piany z ust.

Krytycy, którzy piszą o „Dantonie” jako o dziele sztuki (są jednak i tacy) podkreślają, że film wyróżnia się przez znakomite aktorstwo. To prawda. Tyle, że w pewnym sensie banalna. Wajda zawsze umiał wydobywać z aktorów maksimum. W „Popiele i diamentcie” udało mu się nawet wydobyć z Krzyżewskiej jedyną rolę, jaką miała do zagrania w życiu. Więc skoro wiele lat temu udało mu się z Krzyżewską, cóż dziwnego, że w jego filmie grają Pszoniak, Depardieu, Linda czy Seweryn. Poniżej swoich możliwości zagrał jedynie Byk-Starowiejski. Ale o tym wiedzą tylko ci, którzy widzieli kiedyś Starowiejskiego w pracowni, za kierownicą lub pijącego wódkę.

A tak prywatnie, to zastanawiam się, czy będzie mi kiedyś dane napisanie normalnej recenzji z filmu „Danton”.

13 lutego 1983

Moim zdaniem...

25 lutego na konferencji pisarzy-komunistów podjęto uchwałę domagającą się wprowadzenia zmian w statucie Związku Literatów Polskich. Uchwałę opublikowano w „przekaziorach”, nie muszę więc tłumaczyć, dlaczego owe propozycje są szkodliwe dla kultury, dla organizacji życia literackiego i dla tych pisarzy, którzy do własnej twórczości wprowadzą zasadę dyspozycyjności literatury, zasadę stanowiącą myśl przewodnią wspomnianych zmian statutowych.

Już dziś wiadomo, że początkowo na wspomnianej naradzie przeważały głosy „umiarkowanych”. I że w pewnym momencie prowadzący obrady sekretarz KC, Swirgoń, odczytał tekst rzekomego listu prezesa ZLP, J.J. Szczepańskiego do przewodniczącego Rady Państwa, listu datowanego akuratnie 24 II. Wiadomo dziś, że list ten jest falsyfikatem i że Jan Józef Szczepański żadnego listu do H. Jabłońskiego nie pisał.

Na naradzie, przerażeni „ohydą” listu — tj. falsyfikatu — „umiarkowani” zamilkli i uchwalili to, co mieli uchwalić.

Nie będę się wypowiadał na temat moralnego sensu posługiwania się falsyfikatami, bo każdy wie, co o tym sądzić. Interesują mnie dwa inne aspekty owego chwytu politycznego.

Niektórzy moi znajomi, dowiedziawszy się, że sekretarz KC publicznie posługuje się falsyfikatem orzekli: no nie, to kłamstwo ma tak krótkie nogi, ten chwyt jest tak naiwny, że nie może komunistom przynieść żadnych korzyści, a jedynie kolejną kompromitację.

Naiwny jest, moim zdaniem, ten właśnie pogląd. Po pierwsze posłużenie się falsyfikatem już przyniosło komunistom profit. Osiągnęli to, co zamierzali, tj. uchwalenie przez naradę propozycji zmian w statucie ZLP i uczynienie z nich dokumentu niby-oficjalnego. Po drugie zaś warto sobie uświadomić, że od lat już bez mała 70-ciu ciągle ktoś powiada: no nie, to kłamstwo komunistów jest tak jawne, ten chwyt tak prostacki, że musi się to zakończyć klapą. I co? I nic. Komuniści bimbają sobie z kompromitacji, bo wiedzą, że tam gdzie oni kontrolują

słowo — tam nie ma kompromitacji. W nowomowie posługiwanie się falsyfikatami nazywa się np. „coraz wyższym poziomem kultury politycznej”.

W naradzie partyjnych pisarzy — i to jest drugi aspekt sprawy — obok znanych i nieznanymi miernot brało udział kilku ludzi, których nazwiska posiadają wagę w kulturze polskiej. Mogą oni albo wystąpić z partii, albo w niej pozostać. W przypadku pierwszym będzie to znaczyło, że nie lubią, by ich częstowano falsyfikatami. Podejrzewam jednak, że lubią. Rzecz gustu, można powiedzieć.

28 lutego 1983

Moim zdaniem...

Ukazał się w Paryżu i dotarł do kraju pierwszy numer nowego polskiego kwartalnika, *Zeszyty Literackie*. Znajomi moi dzielą się na tych, co mówią, że to „zbyt kulturalne” (ci to mają chyba polityczną zaćmę) i tych, co mówią „najbardziej podoba mi się to, że nie ma tam słowa o Jaruzelskim”. Inni znów powiadają: „znowu ten koszmarny Brandys”. A jeszcze inni: „Barańczak jest lepszym tłumaczem niż poeta”. Przytaczam te wypowiedzi, bo podoba mi się ich normalność. Gdybym usłyszał tylko powszechne „ach” zachwytu, zaniepokoiłbym się. Znaczyłoby to bowiem, że czytamy nie pismo literackie, lecz kolejne Objawienie Wolnego Słowa. Ja zaś wolę, że jednemu najbardziej w numerze podoba się Kundera, innemu Barańczak a jeszcze innemu Brodski. Swoją drogą mnie też podoba się to, że nie ma nic o Jaruzelskim. Ubawiła mnie natomiast Agnieszka Holland twierdzeniem, że i Polański i Forman za błyskotliwą karierę na Zachodzie zapłacili „utrata własnej oryginalności twórczej”. Rozumiem, że przykładami tej utraty oryginalności są „Matnia”, „Tess”, „Taking off” oraz „Lot nad kukułczym gniazdem”.

Pismo redagują ludzie bliżsi czterdziestki niż czegokolwiek innego. W związku z czym obawiam się, że prędzej czy później odbije im marzec 68. No ale na to nie ma rady — nazywa się to przeżycie pokoleniowe.

Pewnie powinienem teraz odśpiewać „Rotę” i stwierdzić, że my tu w okowach i każde Wasze słowo, to dla nas krynica... Do tego jeszcze zacytować. Np. Norwida i ks. Tischnera. Albo Jakuba Jasińskiego i Marię Janion. Czy jednak wyglądam na

kogoś, kto potrafiłby coś takiego wykonać? A gdybym wykonał, dopiero by wszyscy pomyśleli, że kpię sobie w żywe oczy.

Ja zaś naprawdę cieszę się z tego, że pierwszy numer *Zeszytów Literackich* jest udany. I chciałbym, by był to dobry kwartalnik. Ale skądinąd wiem, że o tym, czy kwartalnik literacki udał się czy nie powiedzieć można dopiero po ośmiu/dziesięciu numerach. Po to zaś, by przez dwa lata regularnie wydawać czasopismo, trzeba mieć autorów, czytelników i, wstyd powiedzieć, pieniądze. Spełnienie wszystkich tych warunków naraz nie wydaje mi się sprawą łatwą. Żywię nadzieję, że panie Bienkowska, Kuryluk i Toruńczyk oraz panowie Barańczak i Karpiński wiedzą, że podjęli się trudnego zadania. Jeśli tak — to jest to pierwszy krok na drodze do sukcesu.

Zastanawiałem się też nad tym, jak mieszkający w stanie Massachusetts Barańczak współredaguje pismo wychodzące w Paryżu. I doszedłem do wniosku, że jest to możliwe przy założeniu, że na tym ichnim Zachodzie funkcjonuje poczta. Czy nam, mieszkańcom Wawrzyszewa, Ursynowa i Pragi II wolno dopuścić do siebie myśl tak śmiałą?

2 marca 1983

Moim zdaniem...

Nie zdarzyło mi się nigdy udzielić wywiadu, ale też, prawdę mówiąc, nie było powodu, by ktokolwiek miał mnie prosić o wywiad. Niemniej postanowiłem zakosztować tego owocu. Ze względów bhp uznałem, że najlepiej będzie, gdy przeczytam sam siebie. Oto rezultat.

P.: — Czy fakt, iż pisujesz stale w *Kosie* oznacza, że zgadzasz się z opublikowaną w nr. 21/22 z 1 I „Deklaracją Solidarności”?

O.: — Nie.

P.: — Dlaczego?

O.: — Bo bardzo źle znoszę jakobińską poetykę, w jakiej napisany jest ten tekst...

P.: — To jest argument estetyczny, czy jedyny, jakim operujesz?

O.: — Nie. Aczkolwiek uważam, że byłby on wystarczający.

P.: — A jakie są te inne?

O.: — Z „Deklaracji” nie wynika nic prócz tego, że jej sygnatariusze są w stanie skrajnej irytacji. Jeśli powiada się, że „celem naszym jest wolność i samorządność społeczeństwa oraz niepodległość państwa”, to brzmi to wzniosłe, ale jak mam ową wzniosłość przełożyć na codzienność? Czy oznacza to, że mam stanąć na stanowisku „wszystko albo nic”? Jeżeli tak, to jest to pozycja zupełnie jałowa. Nikt nigdy nie zdobywa „wszystkiego”. A już na pewno nie politycy.

P.: — Czy Twoja niezgoda jest całkowita? Czy oznacza np., że za niesłuszne uznajesz zdanie „nie wywalczymy niepodległości dla Polski pośrodku zniewolonych narodów”?

O.: — Nie, akurat tę prognozę uważam za wysoce prawdopodobną. Tyle, że z niej wynika, iż do celów ostatecznych raczej daleko. Że suwerenność jest czymś dobrym, to wie każdy i bez „Deklaracji Solidarności”. I co z tego.

P.: — Czy znaczy to, że zgadzasz się z krytyką „Deklaracji Solidarności” opublikowaną w *Tygodniku Wojennym* z 10 III?

O.: — Też nie. *TW* twierdzi, że „Deklaracja” w niczym nie przybliży nas do ugody społecznej. Otóż myślę, że perspektywa „ugody społecznej” jest raczej odległa. Jeśli w ogóle zajdzie możliwość zawarcia kompromisu, to mało kto będzie się przejmował „Deklaracją”. Jej sygnatariusze też nie. Co zresztą świadczy dodatkowo o jej słabości.

P.: — Dlaczego w takim razie pisujesz w *Kosie*?

O.: — Twoje pytanie zdumiewa mnie. Jak Ty właściwie wyobrażasz sobie wolność słowa? Czy wiesz, że większość trafnych i miazdzących uwag o lewicy, jajogłowych i socjalizmie Orwell opublikował na łamach socjalistycznego tygodnika *Tribune*?

P.: — Czy myślisz, że redakcja *Kosa* ma analogiczną koncepcję wolności słowa?

O.: — A może być inna? Zresztą przekonamy się.

12 marca 1983

Moim zdaniem...

Podobno marzeniem partyjnych „liberałów” jest przeprowadzenie w Polsce operacji „Węgry”. Miałoby to polegać na

menadżerskiej, odgórnjej reformie gospodarczej, która zapewniłaby znośną stopę życiową i na udzielaniu społeczeństwu pewnych niewielkich swobód, pod warunkiem, że zadowolili się tym, co mu przyznano. W sumie: salami (średnio), wolność (mało), święty spokój (maksimum). Co prawda w poczynaniach władz nie nie wskazuje na to, by zmierzały choćby ku temu; ale zajmijmy się wspomnianym marzeniem.

Otóż jest ono z kilku względów zupełnie nierealne. Kadar rozpoczął menadżerską reformę gospodarczą w 1963 r., tj. w warunkach światowego boomu gospodarczego. Dziś, jak wiadomo, mamy światową recesję. Stan społeczeństwa węgierskiego w 1963 r. był zupełnie inny niż stan społeczeństwa polskiego w 1983 r. Być może gdyby Gnom w 1968 r... I gdyby była to reforma pomyślana o wiele mądrzej od tzw. reformy Jaszczuka, czyli grudniowej podwyżki cen w 1970. Ale co by było gdyby, tego i tak się nie dowiemy.

Operacja „Węgry” to, *de facto*, marzenie o porozumieniu między władzą (bardzo niechcianą) a społeczeństwem (bardzo zmęczonym). Myślę, że *per saldo* porozumienie takie jest nam potrzebne, choć obawiam się, że jest mało realne. Ale i tak porozumienie polskie musiałoby wyglądać inaczej. Jeśli zasadą kompromisu węgierskiego jest: jedzenia średnio, wolności mało, świętego spokoju bardzo dużo — to zasadą polskiego kompromisu mogłoby być: jedzenia mało, wolności średnio, świętego spokoju średnio.

Matki mogą mi, nie bez pewnej racji, powiedzieć, że jest to sugestia obrzydliwa, bo niby dlaczego ich dzieci miałyby mało jeść. Odpowiem na to, że w najbliższym czasie, z porozumieniem czy bez, szans na to, by nasze dzieci jadły tyle i to co powinny i tak nie ma. Co prawda wiadomo, czyja to sprawa, wiadomo kto 37 lat kierował krajem ku miejscu, w którym znaleźliśmy się, ale od tej wiedzy jedzenia nie przybędzie.

Władza może powiedzieć, że to dla niej żaden interes, bo wolności może przyznać minimum, a pełnię świętego spokoju zapewni ZOMO. To prawda (przynajmniej do czasu). Tylko po co w takim razie opowiadać, że się marzy o operacji „Węgry”?

Jak to po co? By ładnie wyglądać we własnych oczach.

18 marca 1983

MATERIA ARCYDELIKATNA

Z oporami przystępuję do tego pisania. Trapi mnie jednak — o czym nie raz wspomniałem — moje milczenie „za wolności”. Sądzę, że należy ujawniać myśli niepopularne, nawet wówczas, gdy szanse przekonania znaczniejszej ilości ludzi są znikome.

I

Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że niemal od pierwszych dni stanu między episkopatem polskim a ogromną większością działaczy „Solidarności” — niezależnie od tego gdzie się znajdowali — miała miejsce istotna a nieujawniona i niekoniecznie uświadamiana różnica zdań w ocenie sytuacji. Mam wrażenie, że biskupi nader wcześniej przyjęli dwa założenia, nie twierdząc, że tak właśnie — jak poniżej — sformułowane:

a) społeczeństwo musi żyć — w trudnych i ciężkich okolicznościach jest to jego zadanie podstawowe, realizowane bezwiednie przez miliony aktów codziennego zachowania się, należy więc uczynić wszystko co możliwe, by żyło w miarę godnie, wedle, rzecz jasna, religijnego zrozumienia godności;

b) ekipa Jaruzelskiego dysponuje siłą i wiele wskazuje na to, że utrzyma się przy władzy dostatecznie długo, by — nie bacząc na wszystkie trudności — podjąć z nią pertraktacje mające na celu nie tylko ulżenie doli pozbawionych wolności.

Inna była optyka działaczy „Solidarności”. Mniej więcej do lipca 1982 r. ogromna większość z nich pierwszego z wy-

mienionych tu założeń po prostu nie zauważała. Łatwo to wyjaśnić względami natury psychologicznej: bez mała 500 dni żyli w atmosferze karnawału zakończonego niespodziewaną dla nich katastrofą, co w sumie nie sprzyja przyziemnemu myśleniu. Gdy zaś zwracano im uwagę na wspomnianą przyziemną okoliczność, odpowiadali, że stwierdzenie „ludzie muszą żyć” jest banałem, z którego nic nie wynika. W istocie jest to stwierdzenie zawstydzająco banalne, nie jest natomiast prawdą, że nic zeń nie wynika. Inna rzecz, że wnioski z owej banalnej przesłanki można wyciągnąć nader różne, choćby dlatego, że nie jest i nie może to być przesłanka jedyna. Sądzę np., że komunistyczna ekipa rządząca posługuje się takim oto sylogizmem: skoro ludzie muszą żyć, skoro my dysponujemy pałową i wałową, słowem i prawem, to będą musieli żyć tak jak nam to odpowiada.

Wspomniałem przed chwilą o psychologicznych powodach, dla których działacze „Solidarności” nie zauważali banalnej prawdy, iż „ludzie muszą żyć”. Prócz psychologicznych, istniały jednak inne. Przytłaczająca większość działaczy sądziła, że albo ekipa Jaruzelskiego będzie się musiała szybko dogadać z „Solidarnością”, albo zostanie usunięta przez kolejny wybuch społeczny. Tak czy inaczej, rządy silnej ręki miały, wedle tych wyobrażeń, upaść w krótkim czasie. Nie było więc powodu po temu, by zastanawiać się nad tezą mała że przyziemną, to jeszcze nieprzyjemną. Jej znaczenie jawi się wówczas dopiero, gdy uświadomimy sobie, że czeka nas „długi marsz”. A tych, którzy tak uważali, redaktorzy gazetek do głosu dopuścili dopiero w połowie 1982 r.

Jeśli każdy bez trudu zgodzi się z tym, że pierwszej z wymienionych tu przesłanek działacze „Solidarności” nie dostrzegali, to stwierdzenie, iż negowali drugą budzić może opory. Bo też nie negowali oni konieczności pertraktacji z „czerwonym”. Wręcz przeciwnie, natarczywie domagali się porozumienia nie tylko w marcu 1982 r., ale i w czerwcu, i w sierpniu, kiedy oczywiste było, że komuniści z „Solidarnością” nie zamierzają rozmawiać. Domagano się więc porozumienia z kimś, kto go nie chciał i kto przez słowa takie jak „porozumienie” czy „kompromis” rozumiał bezwarunkową kapitulację. Nadto zaś domagano się kompromisu w przeświadczeniu, że wprowadzenie stanu wojennego jest dowodem przegranej komunistów, a w każdym przypadku dowodem ich moralnej porażki, z której sami zdają sobie sprawę. (W ciągu ostatnich 250 lat niewiele narodów europejskich może się poszczycić taką ilością „moral-

nych zwycięstw” jak Polacy.) Nie wiem czy komuniści, szczególnie ci, którzy planowali i dowodzili operacją „13 grudnia”, mieli kiedykolwiek zamiar pertraktować z jakimiś przerażonymi odstępcami „Solidarności”. Jeśli nawet brali pod uwagę taką ewentualność, to szybko okazało się, że rachuby te były całkowicie bezzasadne. Penetracja „Solidarności” przez sb-cję — niezależnie od jej zasięgu — miała charakter czysto policyjny. Znaczących politycznych agentów w „Solidarności” władza nie miała, co jest faktem godnym refleksji. Pertraktować z „Solidarnością”, która nie padła na kolana, komuniści nie zamierzali ani przez moment, nawet gdyby ta „Solidarność” okazała więcej realizmu w ocenie sytuacji. Powiedzieć tedy można, że z różnych względów to, co wymieniałem jako drugą przesłankę działań politycznych episkopatu nie funkcjonowało w relacji „Solidarność” — władza.

W sumie, po pierwszych sześciu miesiącach stanu wojennego trójstronny układ sił — w wymiarze politycznym — wyglądał nader dziwnie:

- podziemna „Solidarność”, ciesząca się poparciem wyraźnej większości społeczeństwa; dodać przy tym trzeba, że właśnie w tym czasie działacze „Solidarności” zaczynają się domyslać, że czeka ich — i nas — długi, trudny marsz;

- episkopat z całym swoim doświadczeniem ostatnich lat trzydziestu kilku, nie mówiąc o dalszej tradycji, ogromnym brzemieniem odpowiedzialności a jednocześnie nadzieją na rozszerzenie i być może pogłębienie duchowego wpływu na społeczeństwo;

- władza komunistyczna, dążąca do przywrócenia maksimum prerogatyw (i korzyści), do jakich komuniści przywykli od lat bez mała czterdziestu, władza dysponująca siłą ZOMO, wojska, SB oraz „zapasowymi” siłami wschodniej potencji.

Nazwałem ten układ dziwnym, bo był takim z wielu względów. Brak mu było równowagi. Władza i społeczeństwo zdecydowanie względem siebie niechętnie (by użyć łagodnego wyrażenia), każde reprezentujące siłę innego rodzaju. Episkopat pewien swych racji zasadniczych. Pewien również poparcia społecznego, za którą to pewnością musiało się kryć pytanie: do jakich granic? O ile bowiem w sferze wiary jest ono — wolno zakładać — praktycznie nieograniczone, o tyle w sferze działań politycznych, które episkopat musiał podjąć, sprawa nie była i nie mogła być równie oczywista.

By uświadomić sobie dziwaczność tego układu, wystarczy powiedzieć, że w rezultacie komunistycznego monopolu słowa każda z wymienionych stron ma inny sposób publicznego wypowiedziania się i że nie istnieje a n i j e d n a płaszczyzna, a n i j e d n o miejsce, w którym mogłyby zabrać głos choćby obok siebie.

II

Wydaje mi się, że w pierwszych miesiącach stanu wojennego episkopat starał się uzyskać zgodę komunistów na rokowania trójstronne. Byłoby to nie tylko sprawiedliwe, społecznie korzystne, ale nadto dla episkopatu znacznie wygodniejsze, bo stwarzające szersze pole manewru. Mam wrażenie, że ostatnią taką próbą były tezy prymasowskiej rady społecznej z maja/czerwca 1982 r. Jeżeli moje domniemanie jest trafne, to gdzieś w drugiej połowie ubiegłego roku biskupi — zapewne z ciężkim sercem — uznali, że przez czas nieokreślony muszą w materii innej niż kościelna prowadzić rokowania dwustronne.

Dzieje tych pertraktacji staną się kiedyś przedmiotem niejednej rozprawy historycznej, i jak to z rozprawami historycznymi bywa, znajdzie się wśród nich kilka dobrych. Nie mam ani możliwości, ani potrzeby zajęcia się tym tematem. Chciałbym jednak zapisać trzy refleksje.

Po pierwsze tedy należę do tych, którzy uważają, iż generalna linia działań episkopatu była słuszna i w gruncie rzeczy — zważywszy istotę, dzieje, ewolucję Kościoła — jedyna możliwa. Bez tego stwierdzenia sens dalszych moich wywodów mógłby ulec przeinaczeniu.

Po drugie wyobrażam sobie, że jedną z groźnych trudności na jakie napotyka się przy rokowaniach z komunistami jest coś, co nazwałbym „pokusą zaufania”. Zapewne naturalnym odruchem rokującego jest założenie, iż skoro on sam jest uczciwy, to uczciwy jest również jego kontrahent. Pokusa ta przybierać może różne kształty, z których najpopularniejsze jest zapewne przeświadczenie, że przecież Jaruzelski też jest Polakiem i że przecież Polak Polakowi itd. Otóż myślę, że Polak Polakowi zrobić może dokładnie to samo co Niemiec Niemcowi,

Turek Turkowi, Hiszpan Hiszpanowi i w ogóle człowiek człowiekowi. Myślę też, że z komunistami trzeba pertraktować. I myślę, że prowadząc te pertraktacje ani przez chwilę nie wolno ulec ludzkiej „pokusie zaufania”. Co jest bardzo trudne.

Po trzecie realizowaniu wspomnianej uprzednio linii episkopatu towarzyszyły potknięcia, które opinia publiczna przypisuje pewnym osobistym cechom obecnego prymasa. Być może tak właśnie jest. Do tego typu potknięć nie przywiązywałbym nadmiernej wagi. Muszę natomiast — skoro już o tym piszę — powiedzieć, że jedno posunięcie episkopatu uważam za pomyłkę nie wynikającą z czyichkolwiek cech osobistych. Mam na myśli spotkanie prymasa z Jaruzelskim w dniu 8 listopada 1982 r., tj. na dwa dni przed datą wyznaczonych przez TKK manifestacji. Wydaje mi się, że popełniono tu dwa błędy na raz. Przede wszystkim błąd w ocenie sytuacji, co pociągnęło za sobą błąd w ocenie bezpośrednich — podkreślam bezpośrednich — faktycznych skutków spotkania.

Rzecz w tym, że wedle mego rozeznania — a mniemanie to podzielało i podziela wielu moich rozmówców — manifestacje miałyby tak czy inaczej skromny zasięg. Czas był źle wybrany, „protestacyjna” energia społeczeństwa zużyta 31 sierpnia oraz na początku drugiej dekady października, nie miała zaś część członków „Solidarności” żywiła zasadny rankor do TKK i liczących się komisji regionalnych za trwające tygodnie całe, beznadziejne milczenie w okresie, gdy komuniści zapinali na ostatni guzik i uprawomocniali delegalizację Związku. Na dodatek — i tego jestem pewien — część działaczy „Solidarności” już po demonstracjach 31 sierpnia zaczęła się zastanawiać nad zakresem przydatności tego typu działań, w takiej jak ówczesna sytuacja. W sumie, wedle mego rozumienia sprawa przedstawia się jak następuje: jeżeli episkopat miał do demonstracji wyznaczonych na 10 listopada stosunek negatywny, to i tak nie musiał nic przedsięwziąć, bo szanse, że manifestacje się udać były niewielkie. Spotykając się z Jaruzelskim 8 listopada, prymas stworzył wrażenie, że 10 listopada „nie wypalił” właśnie w rezultacie tego spotkania. Wrażenie arcyniemiłe i jeszcze na dodatek mylne.

Nie wiem jak oceniali sytuację komuniści, ale dla nich w gruncie rzeczy najważniejszy był ten właśnie trop społecznego odbioru. Spotkanie potrzebne było i episkopatowi i komunistom, ale spotkanie tuż przed 10 listopada potrzebne było tylko komunistom.

III

Napisane przed chwilą ma za swój przedmiot wydarzenia minione. Najnowszą, ale jednak historię. Było stało. Prawdę mówiąc, mogłem napisać dokładnie to samo w listopadzie ub.r. Jeśli tego nie uczyniłem, to z uwagi na to, że komunistyczne władanie Polską spowodowało, iż każda krytyczna uwaga o tym czy innym działaniu episkopatu traktowana bywa jako „atak na Kościół”. Najczęściej było to rzeczywiście atakowanie Kościoła, religii, kleru, wierzących. Ale przecież tak być nie musi. Można wszak uważać, że episkopat, prymas, któryś z biskupów w jakiejś sprawie nie ma racji. Nie wolno takiemu przeświadczeniu dawać wyrazu w prasie oficjalnej, bo po pierwsze, jak sądzę, nie ma w ogóle powodu, by w tej prasie dawać wyraz jakimkolwiek poglądom, po drugie zaś każda uwaga o religii, Kościele czy episkopacie zamieszczona w tej prasie staje się natychmiast komunistycznym paskudztwem. Myślę, że inaczej rzecz przedstawia się z prasą niezależną. A w każdym razie inaczej powinna się przedstawiać.

W tej delikatnej materii dochodzi zresztą do sytuacji zdumiewających, kiedy to propaganda komunistyczna udaje, że broni prymasa przed... Wolną Europą (por. np. *Trybuna Ludu* z 8 VIII br.). Czysta paranoja!

To, co napisałem w poprzednim rozdziale jest lub nie jest słuszne. Zakładam z góry, że nie wszyscy zgodzą się ze mną. Ewentualnych polemistów proszę jedynie, by nie twierdzili, że „atakuję Kościół”, bo to jawna nieprawda oraz by oszczędzili mi argumentu, że episkopat nie podejmuje działań politycznych. Bardzo chciałbym, byśmy wszyscy żyli w kraju, w którym episkopat nie musiałby podejmować działań politycznych. Jakoś jednak na to się nie zanosì.

IV

Po tym wyjaśnieniu wracam do wywodu.

Trzecia z uwag dotyczy relacji „Solidarność” — episkopat, co zresztą nie jest tożsame z problemem ruchu oporu — episko-

pat. W kolokwialnej polszczyźnie mówi się w takich wypadkach nie o episkopacie, lecz o Kościele. Myślę, że to może być mylące. Gdy ludzie dyskutując na tematy polityczne mówią „Kościół”, to nigdy nie chodzi im o mistyczne ciało Chrystusa, rzadko kiedy o wspólnotę wiernych, czasami o ogół księży, najczęściej zaś właśnie o episkopat.

Otóż myślę, że ogromny, wieloaspektowy eksperyment, w którym wszyscy bierzemy udział, będąc jego podmiotem i przedmiotem, dokonuje się również w takiej płaszczyźnie, ma taką — jakby powiedzieli szlifierze diamentów — fację: jak mają układać się stosunki między episkopatem oraz Kościołem jako wspólnotą wiernych a pozbawionym legalności ruchem społecznym, którego przytłaczającą większość stanowią wierzący katolicy? W społeczeństwie cywilnym cała sprawa wygląda inaczej, chociażby dlatego, że nie ma tam masowych ruchów społeczno-wyzwoleńczych pozbawionych legalnej egzystencji. Toteż „ichnie” doświadczenia w niewielkim stopniu są dla nas przydatne. Ważniejsze z tego punktu widzenia jest doświadczenie sławnych pięciuset dni i wymaga ono uważnej analizy. W szczególności winniśmy sobie wyjaśnić, co spowodowało, że w przeświadczeniu poważnej części członków „Solidarności” nastąpiło niemal całkowite utożsamienie „Solidarności” z Kościołem. Nie mam tu na myśli płaszczyzny religijnej czy moralnej, bo te siłą rzeczy mają charakter jednostkowy, lecz w sferze działań politycznych, która nie jest i nie może być tożsama z wiarą.

Posłużmy się dwoma przykładami: rzeczywistym i zmyślonym.

Z enuncjacji episkopatu zniknęło słowo „Solidarność” jako nazwa własna. Inaczej być nie może. Z punktu widzenia formalno-prawnego „Solidarność” jest organizacją nielegalną. Episkopat może uważać i zapewne uważa to prawo za niesłuszne, może prowadząc pertraktacje domagać się jego zmiany, ale póki prowadzi pertraktacje z komunistami, nie może postuluwać się nazwą „Solidarność”. Inaczej rzecz ma się z „Solidarnością”, która będąc nielegalna może sobie pozwolić na nazywanie po imieniu własnego istnienia. Mamy tu więc do czynienia z różnicą zachowań, choć niekoniecznie z różnicą poglądów.

Skądinąd wydaje mi się, że episkopat skłonny byłby w zamian za zgodę na pluralizm związkowy, tj. zgodę na utworzenie innych prócz istniejące związków zawodowych uznać delegalizację „Solidarności” *de iure* i *de facto*. To może być przed-

miotem dyskusji i nie jest powiedziane, że ktoś, mając inny w tym przedmiocie pogląd, musi być wyrodkiem „atakującym Kościół”. Akurat uważam, że przy spełnieniu pewnych istotnych, dodatkowych warunków i zależnie od sytuacji operacja taka mogłaby być — per saldo — korzystna. Wydaje mi się skądinąd, że prawdopodobieństwo spełnienia tych warunków jest bardzo małe, ale nie daje się z góry wykluczyć. Jedno natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości: decyzja w tej sprawie należeć może tylko i tylko do związkowców.

A teraz przykład zmyślony.

Wyobraźmy sobie, że z jakichś względów episkopat uzna za konieczne zwrócenie się do podziemia z propozycją, by zrezygnowało ze swej działalności. Czy może w takiej sytuacji dojść do różnicy zdań? Czy sam fakt takiej różnicy traktować jako katastrofę, czy też uznać, że różnica zdań między ludźmi wolnymi jest czymś normalnym, ponieważ w przedmiocie działań politycznych nikt nie ma monopolu na słuszność, a trafne rozwiązania części tej rodzą się z wymiany odmiennych poglądów niż z założonej z góry jednomyślności.

V

Skoro już zabrnięłem w ostępy, których zazwyczaj unikamy, powiem coś o złudzeniu czy też uproszczonym widzeniu pewnego nader ważnego problemu.

Zacznę od głośnej sprawy artykułu i dymisji o. Virgilio Levi.

Kiedy 25 czerwca rano wysłuchałem w BBC streszczenia artykułu o. Levi — o dymisji nie było jeszcze wówczas wiadomo — powiedziałem sobie: społeczeństwo polskie zareaguje w dwojaki sposób: część po prostu nie przyjmie do wiadomości, zignoruje, część zaś powie „wiadomo, Żydzi”.

Tymi, którzy wszystko wyjaśniają przy pomocy słowa „Żyd” nie będę się tu zajmował. Prywatnie mogę ojcu Levi powiedzieć — cytując Słonimskiego — że jego „przechszczep się nie przyjął”. Mogę mu też opowiedzieć następujące, autentyczne zdanie. Pewien mój znajomy endekoid usłyszał w tamtych

dniach: patrz pan, o n i to wszędzie wleżą — tu Urban, tam ten Levi... Mój znajomy endekoid tym razem uznał, że co za dużo, to niezdrowo i „dał odpór”.

Ważniejsza wydaje mi się postawa pierwszej z wymienionych grup. Tych, którzy całą sprawę zignorowali, w czym umocnić ich i fakt dymisji o. Levi, i zdumiewająca gimnastyka Wolnej Europy.

Reakcja ta wydaje mi się symptomatyczna. Rzecz w tym, że przeciętny Polak zapytany o politykę Watykanu odpowie peanem na cześć papieża-Polaka. Słowem, „nasz człowiek w Watykanie”. Że Jan Paweł II przejdzie do historii jako jeden z największych, najszlachetniejszych i — jeśli piszącemu te słowa wolno tak powiedzieć — najbardziej chrześcijańskich papieży w dziejach Kościoła, tego jestem pewien. Nie zmienia to faktu, iż kuria rzymska nie jest czymś politycznie jednolitym, że sprawa polska jest częścią polityki wschodniej Watykanu, że Watykan prowadzić musi politykę globalną i byłoby źle, gdyby jej nie prowadził. Słowem, że nie wolno wszystkiego sprowadzać do łechcącego dumę narodową faktu, iż tak znakomity papież jest Polakiem.

Na marginesie: wydaje mi się, że między treścią wyrażenia „papież-Polak” i „polski papież” zachodzi istotna różnica. By ją sobie uświadomić, wystarczy wyobrazić sobie takie wyrażenia jak „filipiński papież”, „boliwijski papież”, „irlandzki papież” itd. Nie moja to sprawa, ale podejrzewam, że wyrażenie „polski papież” i analogiczne niosą w sobie zaprzeczenie idei powszechności Kościoła.

Wróćmy jeszcze na chwilę do przykładowo traktowanej sprawy artykułu i dymisji o. Levi. Jeśli mamy ją interpretować jak ludzie dorośli a nie strusie, to nie da się wymyśleć więcej niż dwa zborne i rozsądne wyjaśnienia. Powiedzmy z wariantami — cztery. Wykluczone jest natomiast jedno: że o. Levi tak sobie napisał artykuł, zaniósł do drukarni i opublikował w piątkowym numerze *Osservatore Romano* z 24 czerwca, przypadkiem w 24 godziny po powrocie papieża z Polski.

I znów: uznanie, że Watykan prowadzić musi politykę globalną, że istnieją w kurii różne koncepcje polityki wschodniej, że Polska nie może być samoistnym celem tej polityki nie jawi mi się ani jako nieszczęście, ani jako „atak na Kościół”. Jeśli ktoś chce się zajmować polityką a nie tylko robieniem „zajęczków”, to po prostu powinien o tym wiedzieć.

VI

Nie pisałem tu ani o zasługach episkopatu i w ogóle księży, ani o ogromnej roli Kościoła jako wspólnoty wiernych. O tym piszą wszyscy. Podjąłem problemy, o których się mówi — każdy z nas ma „na sumieniu” takie rozmowy — lecz nie pisze. Uważam, że należy o tych sprawach również pisać. A jeśli ktoś sądzi, że zrobiłem to źle — nie łatwiejszego, niech napisze lepiej.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć o jednym osiągnięciu episkopatu. Mam na myśli Fundusz pomocy dla rolnictwa. Nie został on jeszcze uruchomiony, ale wygląda na to, że z tymi lub innymi ograniczeniami zacznie funkcjonować.

Jeśli tak, uznać to należy za wydarzenie wręcz rewelacyjne. Oto bowiem, po raz pierwszy w 70-letniej historii ustroju socjalistycznego, komunistyczny rząd zgodził się na znaczne dofinansowanie przez Zachód sektora prywatnego, zachowując przy tym ograniczoną jedynie kontrolę nad całym procesem.

Osobiście nie wierzę w to, by impreza trwała dłużej niż 3-4 lata. To znaczy sądzę, że za jakiś czas komuniści zaczną oskarżać Fundusz o co popadnie i w końcu go zlikwidują. Jeśli się mylę — tym lepiej. Sądzę nadto, że przez cały czas swego istnienia Fundusz będzie się potykał z dwiema trudnościami: przyrodzoną niewydolnością komunistycznej gospodarki, w tym bankowości, transportu, zaplecza oraz z tendencją do przechwylenia każdego możliwego dolara na rzecz „sektora socjalistycznego” tj. dla PGR-ów, na pomoc dla Mozambiku i urządzenie prywatnej chlewni dla towarzysza pułkownika-dyrektora Bombali.

I niemniej uważam, iż jeśli Fundusz powstanie i będzie funkcjonował choćby przez trzy lata, będzie to arcyważny etap w smutnej historii naszej gospodarki i naszej gospodarności.

Lwówek, sierpień 1983

CZWOROBOK

W artykule „Wyznania jawne i ukryte” zadałem pytanie: dlaczego wszelkie dotychczasowe próby konspiracji w ustroju socjalistycznym kończyły się fiaskiem? Myślę, że do pytania tego wypadnie powrócić. Tu jednak chciałbym się zastanowić jak, na jakiej zasadzie od dwudziestu dwóch miesięcy działa w Polsce masowy czy też względnie masowy, cywilny ruch oporu. Czworobok, o którym w tytule ma, jak sama nazwa wskazuje, cztery boki: polityka — kultura — konspiracja — policja. Gra na tak wyznaczonym polu nie toczy się w laboratorium modeli symulujących, lecz w społeczeństwie. Należy o tym stale pamiętać, bowiem ze względów chociażby objętościowych o stanie społeczeństwa, tj. nas samych, będzie się tu mówiło w sposób nader skrótowy.

Konspiracja i policja (I)

Stosunki między konspiracją a policją układają się według takiej przede wszystkim zasady: wszędzie gdzie pojawia się konspiracja istnieje uprzednio policja. Nie jest natomiast tak, by wszędzie gdzie mamy do czynienia z policją, musiała powstać konspiracja. Nazywa się to relacją niesymetryczną. Piszę o tym nie dla czezej zabawy i nawet nie dlatego, bym się szczególnie interesował socjalistyczną policją polityczną, owym ukochanym dziecięciem partii komunistycznej, ostoją ustroju, przekształconą — jak powiada Aleksander Zinowiew — w Wielką i Małą Łubiankę rzeczywistością wielkiej i małej logiki Hegla. Sądzę jednak, że o pewnych aspektach istnienia konspiracji nie sposób

pisać z pominięciem policji politycznej czyli w naszym, polskim przypadku ubecji vel s-becji.

I od razu muszę powiedzieć, że nie uważam tej „naszej” s-becji ani za policję tak znakomitą jak to sama o sobie twierdzi, ani tak głupią, gapiowatą i bez trudu dającą się wyprowadzić w pole, jak by to wynikało z różnych opowieści Papkinów podziemia.

Siła ubecji wspiera się na:

— totalitarnym charakterze podstaw ustrojowych peerelii, co sprawia, że działania policji politycznej (i nie politycznej) wyjęte są spod wszelkiej społecznej kontroli;

— żywym wspomnieniu o bierutowskim terrorze, co sprawia, iż ubecja nie musi się uciekać do tzw. niepraworządnych metod śledztwa z tamtych lat, wspomnienia bowiem i strach żyją samoistnie;

— ogromnym budżecie zarówno w złotówkach jak i w dewizach, co pozwala na zatrudnianie tysięcy informatorów (nie zawsze zresztą opłacanych żywą gotówką) oraz na zakup na Zachodzie różnego rodzaju urządzeń, od komputerów poczynając a na gadżetach à la James Bond kończąc;

— pewnych naturalnych i zrozumiałych zachowaniach się przesłuchiwanym oraz sporej ilości niepojętych zachowań się tychże, jako też na niektórych cechach behavioru opozycji, o czym trzeba będzie powiedzieć słów parę a nawet trochę więcej.

Słabością ubecji jest:

— nadmiar — a tak, tak — informacji, co tworzy jak wiadomo, szum, a mówiąc nieuczenie, burdel informacyjny;

— fakt, iż aparat sb w sposób niejako zdwojony poddany jest naciskowi walk frakcyjnych w partii, po pierwsze, naciskowi w sferze decyzji politycznych i po drugie, przez fakt, że frakcje te — tak je elegancko nazwijmy — działają nie tylko na zewnątrz aparatu sb, lecz i w jego łonie;

— ogólny bałagan, indolencja i tu-mi-wisizm cechujące wszystkie sfery życia w kraju socjalistycznym;

— wyobcowanie ze społeczeństwa, które to wyobcowanie powoduje nie tyle odcięcie od źródeł informacji (choć w jakimś stopniu ją uszczupla) co częściową blokadę na poziomie rozumienia lub przewidywania reakcji społecznych.

Zauważyć przy tym należy, że niezależnie od, lub też razem z tymi słabiznami i przewagami, komunistyczna policja działa wedle pewnych schematów czy też mechanizmów, które po

części właściwe są wszystkim policjom na świecie, po części zaś stanowią rezultat działania „genetycznej matrycy” ustroju. Stąd sporo działań s-becji daje się przewidzieć ze znaczną dozą prawdopodobieństwa. I tak np. znając typowy scenariusz komunistycznej amnestii i akcji ujawniania się można było przewidzieć, że ubecja szykuje co najmniej jedno spektakularne „ujawnienie się” — patrz Hardek. Z mechanizmów działania tego samego scenariusza można wnioskować, że po 31 października, tj. po ostatecznym terminie akcji „wielkodusznosc” nastąpi ciąg pokazowych represji, do której to sprawy wrócę jeszcze w tym artykule. Jest wreszcie wysoce prawdopodobne, że minimum 25% ujawnionych najdalej w ciągu roku znajdzie się w więzieniu i to nie dlatego, by łamali prawo w sposób bardziej widoczny niż tysiące innych obywateli, a dlatego, że takie właśnie są mechanizmy komunistycznej amnestii. Oczywiście w toku akcji represyjnej czy też wsadzania byłych ujawnionych prasa pełna będzie uzasadnień wyrażonych w nowomowie, tj. uzasadnień całkowicie bezsensownych. Po czym po iluś tam latach „okaże się”, że kolejna ekipa popełniła kolejny błąd, do którego — przymuszeni — komuniści wykrętnie się przyznają i będą się jeszcze puszyli, jacy to oni są niezwykli.

Wracając bezpośrednio do ubecji. W sumie sędzę, że jest to policja średnia. Założyć należy, że wie niemało. Za pewnik przyjąć trzeba, że tej swojej wiedzy nie wykorzystuje natychmiast, lecz gromadzi i korzysta z niej w miarę własnych potrzeb (np. reklama) lub na żądanie „kierownictwa”. Drugim pewnikiem, który można przyjąć jest, że s-becja umie tę swoją wiedzę sprzedać z jednej strony przesłuchiwanym, z drugiej zaś, „kierownictwu”. Jedni i drudzy otrzymują taki melanz faktów, domysłów i zmyśleń, z którego ma wynikać że sb wie wszystko i jest wyspą sprawności na oceanie niedbalstwa. „Kierownictwo” zapewne wierzy w to, bo chce wierzyć, a gdyby nawet nie chciało, to i tak nie ma innego wyjścia, jako że bez bezpieki wprost żyć nie może. Wierzy temu również spora część przesłuchiwanym, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Głównie, podejrzewam, dlatego, że karmieni byli opowieściami o kompletnej ignorancji i totalnej głupocie ubecjuszy.

Nie twierdząc, że s-becy są wyjątkowo inteligentni. Raczej nie. Twierdząc natomiast, że ich praca nie wymaga żadnej nadzwyczajnej błyskotliwości umysłu, lecz szczególnego treningu i dających się opisać predyspozycji psychicznych. Składa się zaś ta praca w znacznej mierze z cierpliwego wertowania papierów. Jeżeli w zeznaniach pięciu osób pojawia się jakaś „Dorota”, to

przy odpowiednim systemie indeksowania, ustalenie tożsamości owej „Doroty” powierzyć można emerytowanemu księgowemu z PZGS-u pod warunkiem, że nie cierpi na chorobę Parkinsona.

Tyle na razie o ubecji. Zajmijmy się z kolei „konspiracją”. Zacznijmy od polemiki.

Istnieje mianowicie pogląd, że do „konspiracji” należy obecnie „cały naród”. Mniemanie to nieprawdziwe i bzdurne. „Cały naród” nie może należeć do konspiracji — jest to chyba tak oczywiste, że nie wymaga wyjaśnień. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że w dzisiejszej Polsce dziesiątki tysięcy ludzi nie czyta gazetek, nie płaci składek na „Solidarność”, nie chodzi na żadne demonstracje i nawet nie słucha zachodniego radia. I nie są to ani zwolennicy ustroju, ani żadni „kolaboranci”, a najzwyczajsi pod słońcem obywatele peerelii, którzy mają dość wszystkiego: dojazdów do pracy, kolejek, polityki, chorób, biedy, beznadziei, czerwonego, i — nie łudźmy się — „Solidarności”. Nie żeby byli przeciw tej ostatniej, tylko że nie starcza im ani sił, ani zapału, ani czasu.

„Konspiracja” w Polsce jest niewątpliwie zjawiskiem o szerokim zasięgu, ale kto twierdzi, że konspiruje cały naród, ten po prostu gada głupstwa.

Pisząc o naszej „konspiracji” używam cudzysłowu. Pochodzi to stąd, że ogromna większość ludzi w Polsce, którzy uprawiają w szerszym lub węższym zakresie działalność polityczną, syndykalistyczną tj. związkową w naczelnym znaczeniu terminu, kulturalną, charytatywną sprzeczną z obowiązującym prawem tj. nielegalną, z konspiracją *sensu stricto* niewiele lub zgoła nie ma wspólnego. Zakres nielegalnych działań politycznych i zakres działań konspiracyjnych w dzisiejszej Polsce bynajmniej się nie pokrywają.

Tu mogę się spotkać z zarzutem, iż nielegalnymi nazywam działania korzystne społecznie, płynące z czystych i szlachetnych pobudek, działania faktycznych gospodarzy tego kraju, którym owo prawo do gospodarowania na własnej ziemi odebrano. A przecież bezprawne są nie te działania, lecz całe to socjalistyczne, „jałtańskie” państwo wraz ze swym prawodawstwem, sejmem, policją; a szczególnie już bezprawne są ustawy uchwalone przez sejm po 13 grudnia 1981 r. Otóż na te domniemane zarzuty pozwolę sobie odpowiedzieć w sposób następujący. W płaszczyźnie historiozoficznej teza o bezprawnym charakterze peerelii może być zasadna — w płaszczyźnie praktycznej wynika z niej tyle tylko, że siedząc w śledztwie, nie mogę napisać żadnej skargi do prokuratora ani nawet żądać książek, bo przecież w

ten sposób uprawomocniam istnienie bezprawnego tworu, a w szczególności ten jego akt, jakim było wsadzenie mnie do pudła. Jeśli już mam siedzieć za jakieś moje myśli czy działania — do czego wcale mi się nie spieszy — to podtrzymywać na duchu może mnie np. przeświadczenie o słuszności, o kolegach po tamtej stronie bramy czy korytarza — z tego, że siedzę bezprawnie pociecha żadna. Póki nie zmienimy tego ustroju — na co się, niestety, nie zanosi — korzystniej i rozsądniej jest uznać, że istniejące prawa, w tym również złe, absurdalne, szkodliwe, wzajem sobie przeczące są prawem. Mogę i powinienem te prawa krytykować, domagać się ich zmiany, ale w sprawie generalnej nie ma co przeciw ościeniowi wierzgać. Czynność to nie najwygodniejsza, na którą często bywamy skazani — po cóż bez potrzeby mnożyć taką niewygodę.

Tak więc „konspiracja” czyli działania polityczne, charytatywne, syndykalne, oświatowe albo wręcz w świetle obowiązującego prawa nielegalne, albo politycznie przez wupeli czyli właścicieli Polski Ludowej źle widziane.

Komunistyczna prasa w ramach akcji „obnażanie” (ohydy podziemia, opozycji etc.) lubi sobie pokpiwać z pańienek, które zbierają jakieś tam składki. No cóż, zacznijmy od zbierających składki. To jest pierwsza i najszersza sfera „konspiracji”. Ilu ich jest, dokładnie nie wie nikt. Poszczególne regiony mogą mieć przybliżone wyobrażenie o wysokości wpłat, powiedzmy od razu, stale malejącej. Ale właśnie tylko wyobrażenie. A to dlatego, że część pieniędzy zużywana jest na potrzeby fabryk i instytucji, a pewna część ginie wskutek niechlujstwa, bałaganu oraz nadużyć. To ostatnie, jakkolwiek przykre, jest nieuniknionym rezultatem nie tyle nawet słabości ludzkiej natury jako takiej, co faktu, że każdy z nas w jakimś tam stopniu upačkany jest jednym z czterech „N” socjalistycznej codzienności (nie-tolerancja, nieuczciwość, niechlujstwo, nieefektywność).

Jest rzeczą ciekawą, że komuniści — licząc od stycznia 1982 r. — ani razu nie usiłowali złamać tej najszerszej sfery działalności zawieszonego a następnie zdelegalizowanego związku. Moim zdaniem dokonali oni następującej kalkulacji: składkowej siatki „S” nie da się rozbić bez naprawdę masowego terroru — lepiej wziąć ludzi biedą i zmęczeniem. Przyznajmy, że jak na razie było to wyliczenie słuszne. A właściwie częściowo słuszne; jakkolwiek bowiem zmniejsza się ilość zbierających oraz ilość pieniędzy, to sam fakt, że siatka składkowa funkcjonowała prawie dwa lata i czas jakiś będzie jeszcze działać, jest jednym

z najważniejszych, choć skutek swej niepozorności niedocenianym objawem niepokorności społeczeństwa i — co bardzo ważne — wzajemnego względem siebie zaufania ludzi.

Zjawisko, o którym mowa ma i swoją stronę negatywną. Ponieważ za płacenie i zbieranie składek mało kto był represjonowany, ponieważ nader często w danym miejscu pracy o tym kto płaci i kto zbiera wiedzą „wszyscy”, przeto rodzi się przeświadczenie, że wszelka działalność nielegalna jest równie łatwa, równie bezkarna i prowadzona może być w równie jawny sposób. Krótko mówiąc, rodzi się przeświadczenie, że konspiracja to coś bardzo łatwego, za co nic nie grozi.

Drugą stroną masowej działalności „konspiracyjnej” jest kolportaż detaliczny, który jednak represjonowany był nieco częściej niż zbieranie składek. (Pierwszy nawias kwadratowy, który wypada nazwać nawiasem bhp.)

Kolportaż detaliczny siłą rzeczy styka się z działalnością konspiracyjną *sensu stricto*, a zarazem działalnością — jak dotychczas — najbardziej narażoną na represje czyli z tzw. techniką. (Drugi nawias bhp.) Dodajmy też, że jak na razie większość, a w każdym razie znaczna część wpadek techniki miała swe źródło albo w jawnej głupocie „konspiratorów”, albo wynikała z potrzeb reklamowych s-becji.

Niezależnie od gromadzenia informacji o technice, s-becja główne swe wysiłki kierowała na likwidowanie ponadzakładowych porozumień „Solidarności” i władz regionalnych związku. Należy też przypuszczać, że niemało wysiłku włożyła w próby rozpracowania TKK. (Trzeci nawias bhp.)

O politycznych aspektach i problemach „konspiracji” mowa będzie w ostatniej części artykułu. Tu podkreślić należy jedną sprawę. Ruch oporu czynnego powstał spontanicznie, w pierwszych dniach stanu bez niczyjego nakazu, a co za tym idzie bez żadnego szczególnego planu. Władze regionalne, porozumienia międzyzakładowe, TKK — to sprawa o kilka a raczej kilkanaście tygodni późniejsza. Również pierwsze ulotki i „wyżymaczkowe” pisemka zaczęły się ukazywać, zanim uruchomiono aparat dawnych wydawnictw. Tak więc masowy czynny ruch oporu cywilnego istnieje już ponad dwadzieścia miesięcy, co stanowi, jak się wydaje, rekord w historii ustroju socjalistycznego, od 1917 r. licząc. Podkreślam, że chodzi mi o cywilny ruch oporu, bo w określonych warunkach geograficznych i społecznych opór zbrojny trwać może dłużej — przykładem Afganistan. Ale to zupełnie inna sprawa, którą się tu nie zajmuję.

Jeżeli więc przez bez mała dwa lata płacimy i zbieramy składki, wydajemy, kolportujemy i czytamy pisemka, broszury polityczne, powieści a nawet — groza od tego na ogół wieje — poezję, czyż nie jest to najlepszym dowodem niezdarności, głupoty i niewiedzy s-becji?

Przykro mi, ale nie.

Oczywiście s-becja chciałaby złapać Bujaka czy Lisa tak, jak złapała Frasyniuka czy Pałubickiego, chciałaby rozmontować jeszcze jedno porozumienie międzyzakładowe, wiedzieć znacznie więcej o wydawnictwach. Ale twierdzę, że generalnie rzecz biorąc, represję policyjną ogranicza nie niewiedza bezpieczeństwa, lecz masowość ruchu. Bo w kształcie, w jakim ruch oporu cywilnego istnieje do dziś zniszczyć go można jedynie przy pomocy terroru na taką skalę i wyroków tak surowych, by zastraszyć nie Bujaka i nie szefa tej czy innej oficyny wydawniczej — na to bezpieczeństwa nie liczy — lecz pana Władka, który przynosi do fabryki trzy egzemplarze gazetki czy panią Jadzię, która zbiera i przekazuje składki z wojewódzkiego szpitala w N.

Twierdzę, że technicznie komuniści są w stanie to zrobić, tym bardziej, że żadna super-policyjna wiedza nie jest do tego potrzebna. Nie podejrzewam ich również o hamulce moralne. Myślę, że wybrali inną strategię, którą można nazwać strategią dwóch „b” — biedy i beznadziejności. Komuniści wyszli z założenia, że mają czas po prostu dlatego, że nikt nie jest tak szalony, by ryzykować interwencją wojsk paktu. A skoro mają czas, to w pewnym momencie zabiedzeni, zmęczeni i nie mający krzty nadziei ludzie przestaną płacić składki, czytać gazetki, kupować wydawnictwa drugiego obiegu — i wtedy będzie można uderzyć, wykorzystując przy tym nagromadzoną informację. (Oglądane z tej perspektywy podwyżki cen są operacją policyjną niezależnie od zamiarów prof. prof. Bobrowskiego, Gorywody czy Kraszińskiego.) Oczywiście stawce na beznadziejność i biedę towarzyszą nękające akcje bezpieczeństwa, okraszane od czasu do czasu fajerwerkiem typu Hardek czy Cieciora. Ktokolwiek jednak sądzi, że ubecja wykorzystuje w ten sposób cały zasób swych informacji, popełnia — moim zdaniem — poważny błąd i może go spotkać przykra niespodzianka, do której nie będzie psychicznie przygotowany.

Czy jeśli moje domniemanie jest trafne, to znaczy, że „czerwony” gra na pewne? Nie. Strategia ta z różnych względów może zawieść, ale w dającej się przewidzieć perspektywie komuniści, stawiając na biedę i beznadziejność, ryzykują mniej niż mogłoby się wydawać. Faktem jest jednak, że ryzykują.

Konspiracja i policja (II)

Z tego co dotychczas napisałem wynika jednoznacznie, że — wedle mego rozumienia — bezpieczeństwa, mimo że bynajmniej nie wszechwiedząca, wie znacznie więcej niż to przypuszcza przeciętny „konspirator”, który zresztą na ogół działa tak, jak gdyby s-becja w ogóle nie istniała. Ma ta postawa swoje motywacje psychologiczne i swoje — na krótką metę — dobre strony. Ale na dłuższy dystans jest czymś szkodliwym.

Skąd zatem pochodzi wiedza ubecji?

Sami ubecjusze w rozmowach z przesłuchiwanymi lubią się popisywać „cudownie” sporządzonymi taśmami czy fotografiami, sugerują, że ich gadzety są równie niezawodne jak ich archiwa. Przesłuchiwani natomiast i ich koledzy na wolności usilnie zastanawiają się nad tym, kto w ich gronie był kapusiem, wtyką, prowokatorem. Policja dysponuje okazałą siecią informatorów nasłanych i zwerbowanych, lubi również bawić się mikromagnetofonami i aparatami fotograficznymi w kształcie długopisów czy zapalniczek. Uważam jednak, że źródłem co najmniej połowy informacji posiadanych przez s-becję są mili, szlachetni i uczciwi „konspiratorzy”. Cechuje ich bowiem beztroška, gadulstwo oraz skłonność do przechwałek połączona z manią krzykliwego pseudo-spiskowania w rodzaju (przez telefon, w lipcu) „mam dla ciebie ten kompot rabarbarowy, no wiesz, rabarbarowy”.

Prawdę mówiąc, do tekstu niniejszego zamierzałem początkowo dodać aneks pt. „Pijany karbonariusz na plaży nudystów”, ale „Czworobok” i tak rozrósł się ponad miarę. Z aneksu tego pozwolę sobie na przytoczenie jedynie kilku akapitów.

Z rozległej fauny „konspiracyjnej” wymienić należy przede wszystkim: Papkinów, diarystów, Szecherezady i Ulyssesów.

Ulysses „konspiracji” uważa, że jest człowiekiem niezwykle inteligentnym, który z łatwością wyprowadzi w pole ciemnego ówoka, co siedzi po drugiej stronie biurka. W przeświadczeniu Ulyssesa to on prowadzi śledztwo, on „rozgrywa” głupiego s-beka, który w jego rękę jest niczym воск. Czyż trzeba dowodzić, że Ulyssesi rekrutują się przede wszystkim spośród jajogłowych i że trudno o głupszy okaz przesłuchiwanego?

Szecherezada „konspiracji”, niezależnie od płci, musi opowiadać. Jej działalnością steruje maksyma: po cóż konspirować, jeśli nie można opowiadać.

Diarysta „konspiracji” prowadzi szczegółowe notatki, cza-

sami zakodowane. Np.: „czwrtk. 18. Fras. dysk. strjk. powsz”. Ten przykład zmyśliłem, ale znam równie znakomite. Diarysta przechowuje swoje notatki w różnych miejscach, które automatycznie stają się „lokalami” i połowę czasu spędza na sprawdzaniu, gdzie co ukrył.

Papkin „konspiracji” zachowuje się jak Papkin, tj. w znacznej mierze zmyśla, ale za to bardzo głośno. Po to jednak by uwiarygodnić swe łągarstwa, Papkin okrasza je autentycznymi nazwiskami i strzępami zasłyszanych przypadkiem, prawdziwych historii. Ulubionym tematem opowieści Papkina są jego przewagi nad ubecją.

Założmy jednak — nie bezzasadnie — że wspomniana powyżej fauna należy do nieuniknionego marginesu „konspiracji” (na mój gust margines to zbyt szeroki). Myślę, że zasadnicza słabość „konspiracji” w jej grze z ubecją daje się opisać w dwóch punktach.

Otóż każdy z nas podejmujących jakąkolwiek działalność w ramach tego co nazwałem cywilnym ruchem oporu podlega następującej regule: kto wykonuje działania w świetle obowiązującego prawa nielegalne — może się znaleźć w pudle; kto politycznie naraża się komunistom (choćby jego działania mieściły się w ramach obowiązujących przepisów) — może być represjonowany. Jest to oczywiste, i niemniej przeciętny „konspirator” na ogół nie jest nastawiony na to, że może zostać aresztowany. Ma to swoje pozytywne strony. Opłakane skutki takiego „zepchnięcia w nieświadomość” jawią się w momencie aresztowania.

Po drugie, mimo wszystkie lektury, napomnienia i pouczania, większość aresztowanych na własną szkodę łamie fundamentalną zasadę, zgodnie z którą jedyną szansą podejrzanego jest milczenie.

„Konspiracja” i kultura

Z dotychczas napisanego mogłoby wynikać, że bez reszty podzielam pogląd, według którego sukcesy śledczych przypisać należy brakowi wytrzymałości psychicznej oraz intelektualnym lub moralnym pomyłkom przesłuchiwanym. W istocie, rozpatrując poszczególne przypadki bez trudu można wykazać, że Iks dał się wyprowadzić w pole niczym małe dziecko, Ygrek przeraziła się perspektywą kilkuletniej rozłąki z rodziną (która i tak jej nie minęła), zaś Zeta, o którym wiadomo było, że lubi się podobać ucieszyły komplementy i aplauz oficerów śledczych.

I tak dalej i temu podobne. Ale zachowanie w śledztwie zarówno tych co się wyłożyli jak i tych, którzy nic nie mówili wpisane są w układ wzorców naszej kultury. Otóż sądzę, że w śledztwie niektóre z nich sprzyjają śledczym.

Wiem, że brzmi to niczym bluźnierstwo: jak to, w naszej tysiącletniej, śródziemnomorskiej, chrześcijańskiej, bohaterskiej istnieć by miały wzorce zachowań sprzyjające czerwonemu oprawcy za biurkiem śledczego? Horrendum!!!

A jednak.

Zacznijmy od tego, że nasza kultura jest kulturą rozmowy. A śledczy nie proponuje nam niczego innego niż właśnie rozmowę, tj. proponuje byśmy się zachowywali w sposób w pozoru normalny. Bo przecież rozmowa jest normalna a powtarzanie w kółko „odmawiam odpowiedzi” jest nienormalne. (Tyle tylko, że nienormalna jest również sytuacja przesłuchiwanego.)

Po drugie, w kulturze naszej elementarny nakaz dobrego wychowania głosi, że niegrzecznie jest nie odpowiadać na pytania. Jeśli ktoś mnie pyta, czy znam Zyndrama z Maszkowic, to moim odruchem jest powiedzieć „tak”, „nie” lub „kto to jest Zyndram z Maszkowic?”. Tego właśnie uczono mnie od dzieciństwa.

Co więcej — i to jest sprawa trzecia — od dzieciństwa uczono mnie, że nieładnie jest kłamać i że jeśli znam tego nieszczęsnego Zyndrama, to mam powiedzieć „tak”.

Mechanizmy te są niezwykle proste i na ogół tak głęboko zakorzenione, że nieuświadamiane. A wszystkie trzy — o ile nie potrafimy ich przewyciężyć — działają na korzyść śledczego.

Na korzyść jego może działać jeszcze jeden ważny wzorec przekazywany nam przez szkołę, literaturę, dom rodzinny. Tu jednak sprawa jest bardzo skomplikowana. Wszyscy mianowicie wiemy, że Łukasiński, że Piotr Wysocki, że Okrzeja. Popularna historia naszych walk wyzwoleniczych dostarcza gotowych wzorców zachowania w śledztwie i w więzieniu. I tylko zapomina dodawać, że ludzie tacy jak Piotr Wysocki należeli do nielicznych wyjątków, że regułą — przynajmniej do ostatnich lat XIX w. — było składanie obszernych zeznań. A to pomijając, historia popularna umacnia przeświadczenie, że nic łatwiejszego niż zachować się tak jak Wysocki czy (mało skądinąd znany) Machnicki, drugi obok Łukasińskiego przywódca Towarzystwa Patriotycznego. Stąd błędne przeświadczenie, że potrafi to każdy bez wyjątku i bez wysiłku. Wzorec Wysockiego może być niezwykle cenny pod warunkiem, że będzie mu towarzyszyła wiedza o tym, iż jego realizacja nie należy do łatwych.

Można na to odpowiedzieć, że nasza kultura dostarcza wystarczającej ilości nakazów, które jednoznacznie rozwiązują sprawę zachowania w śledztwie. Nakaz wierności sprawie, solidarność z działającymi na wolności itd. To prawda. Ale prawdą jest również to, co napisałem uprzednio. I jeśli tak, to konfliktowy charakter sytuacji przesłuchiwanego jest znacznie bardziej skomplikowany, niż by to wynikało z czytanek dla dzieci i młodzieży.

Powie ktoś, że to typowo inteligenckie dzielenie i że nie trzeba o tym pisać ani mówić, bo w ten sposób osłabia się morale ruchu oporu. Myślę, że dokładnie na odwrót. O tyle, o ile zachowaniami naszymi steruje świadomość, o tyle, o ile wiedza o mechanizmach naszych zachowań się może nam pomóc w przezwyciężeniu strachu i normalnych — w innych sytuacjach — odruchów, o tych trudnościach należy mówić, bo może to pomóc w zachowaniu godności, w tym by „nie być niewolnikiem”.

„Konspiracja” i polityka

Wszystko co dotychczas napisałem oparte było na założeniu, że „konspiracja” istnieje, że jest takim faktem naszej codziennej egzystencji, nad którego celowością nie warto się zastanawiać. Przecież — powtórzmy — powstanie pogrudniowej „konspiracji” nie było rezultatem żadnej centralnej decyzji, lecz procesem masowym i spontanicznym. Bez przesady można powiedzieć, że ten ruch stworzył „czerwony”, wydając dekret o stanie wojennym.

Ale przecież „konspiracja” istnieje po coś i decyzja o jej trwaniu musi być rezultatem nie gniewu, urażonej godności czy słusznych aspiracji, lecz politycznej koncepcji.

Zapytajmy tedy o sens istnienia „konspiracji” czyli ruchu oporu cywilnego w znanej nam obecnie postaci.

I od razu odrzucimy dwa typy odpowiedzi. Komunistyczną, która odmawia konspiracji sensu z przyczyn dla nas w sposób zasadniczy nie do przyjęcia. Odrzucić także wypada odpowiedź pozytywną, posługującą się taką oto argumentacją: „skoro celem naszym jest odzyskanie niepodległości — musimy działać konspiracyjnie”. Wnioskowanie to pomija znaczną ilość ogniów pośrednich, jest zatem — mimo całą szlachetność — nieprawomocne.

Oczyśćmy przedpole odpowiedzi.

Nie pytamy o sensowność nielegalnych działań politycznych, oświatowych, kulturalnych, syndykalnych. Przyjmujemy jako

oczywiste, że rezygnacja z działalności tego typu byłaby społecznie arcyškodliwa i z tego względu uznajemy, że jesteśmy na przekraczanie prawa niejako skazani na mocy wyższej konieczności, czy się nam podoba czy nie. Uznając oczywistość tego typu działań, możemy nadal pytać o sens istnienia konspiracji w ścisłym sensie tego słowa.

Generalnie rzecz biorąc, istnieją dwa niekomunistyczne sposoby negowania sensu konspiracji. Można być zasadniczym przeciwnikiem działań konspiracyjnych, tj. uważać, że konspiracja zawsze i wszędzie przynosi więcej zła niż pożytku. Można też być zdania, że konspiracja jest niecelowa tu i teraz, tzn. w Polsce pod koniec 1983 r. a to dlatego, że niczego się w ten sposób, prócz ofiar, nie osiągnie. Wedle tego mniemania konspiracja nie jest nam obecnie potrzebna, a do realizacji naszych celów winniśmy dążyć w inny sposób.

Nie zgadzając się z ewentualnymi zwolennikami obu tych stanowisk, najdalszy byłbym od posądzania ich o kryptokomunizm czy zwykłe tchórzostwo. Nie zgadzam się z nimi, ale gotów jestem dyskutować, a nawet więcej — z góry przyznając, że w zasadniczej, moralnej niezgodzie na wszelką konspirację jest dla mnie coś sympatycznego.

Prawdę jednak mówiąc, nie spotkałem ani jednego zasadniczego czy taktycznego przeciwnika wszelkiej konspiracji. Znam natomiast ludzi, którzy powiadają co następuje: istnienie tajnych struktur organizacyjnych — z wyjątkiem wydawnictw, prasy i kolportażu — jest obecnie niecelowe. Szeroka „konspiracja”, tj. zakładowe luźne struktury „Solidarności” obumiera, znaczna część porozumień międzyzakładowych została rozbita przez ubecję. Nadto należy się liczyć z tym, że w listopadzie-grudniu sb dokona „wielkiego uderzenia”, wykorzystując znaczną część nagromadzonej przez siebie informacji. W tej sytuacji TKK i działające władze regionalne, jeśli nawet unikną domniemanego listopadowo-grudniowego pogromu, i tak staną się czymś w rodzaju sztabów bez armii.

Zanim powiem dlaczego rozumowanie powyższe, mimo trafności cząstkowych obserwacji i prawdopodobieństwa prognozy dotyczącej „wielkiego uderzenia”, wydaje mi się błędne, chciałbym dokonać pewnej potrzebnej — jak sądzę — klasyfikacji.

Wydaje mi się, że z historii XIX i XX w. znamy cztery typy ugrupowań konspiracyjnych:

- spisek
- nielegalna partia polityczna
- grupa oporu moralnego

— nielegalne stowarzyszenia samopomocowe i oświatowe.
Zacznijmy wyjaśnienia od końca.

Nielegalne stowarzyszenia samopomocowe i oświatowe rozpowszechnione były w XIX-wiecznej Europie tam, gdzie obowiązujące prawodawstwo nie dopuszczało do tworzenia związków zawodowych oraz tam, gdzie władze narzucały rażąco obcy system oświaty. Zdarzało się, że organizacje tego typu istniały w wielu miejscach i bywały względnie masowe. Rzadko natomiast stanowiły spójną strukturę. Rozproszenie było ich siłą i zarazem słabością. (Inna rzecz, że z perspektywy doświadczeń XX w. ubiegłowieczne policje przypominają raczej freblówkę niż „porządny”, totalitarny aparat „wernego Heinricha” czy „Żelaznego Feliksa.”)

Grupami oporu moralnego nazywam działające w warunkach skrajnego terroru i martwoty społecznej, niewielkie organizacje konspiracyjne, których działalność ogranicza się do wydawania ulotek lub biuletynów. Przykładem organizacja „Biała róża” w III Rzeszy lub redakcja rosyjskiej *Kroniki wydarzeń bieżących*. Postawa moralna członków takich ugrupowań zasługuje na najwyższe uznanie. Ich rola polega — jeśli wolno tak powiedzieć — na ratowaniu honoru zaczadzonego bez reszty czy kompletnie sterroryzowanego społeczeństwa oraz na tworzeniu załóżków odrodzenia. Bezpośrednie skutki polityczne działania takich grup są znikome, ale też grupy oporu moralnego nie stawiają sobie takich celów.

Nielegalne partie polityczne nastawione są na wieloletnią działalność. Ich celem jest przeprowadzenie doniosłych zmian politycznych, wśród których istotne miejsce zajmuje postulat legalizacji już to wszystkich, już to niektórych partii działających w podziemiu. Działające w konspiracji partie polityczne z reguły są „kadrowe”, starają się jednak o zdobycie szerszego zaplecza, mniej lub bardziej zjednanych sympatyków.

Spisek w znacznie większym stopniu niż partia polityczna jest „kadrowy”, a w odróżnieniu od nielegalnej partii nastawiony jest na szybki efekt. Ma nim być radykalna zmiana stanu rzeczy, najczęściej obalenie rządu lub skłonienie społeczeństwa do pożądanych działań. Jeśli nielegalna partia polityczna jest zasadniczo „cierpliwa”, to spisek jest zasadniczo „niecierpliwy”.

Stwierdzenie, że istniejąca obecnie w Polsce „konspiracja” nie mieści się w tak uporządkowanym schemacie nie wymaga szczególnej bystrości. Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć, że legalna „Solidarność” również była zjawiskiem bez precedensu.

Ale wydaje się, że w „konspiracji” odnaleźć możemy elementy składowe wszystkich wymienionych tu typów organizacji. Nie wyłączając spisku — bowiem co najmniej przez pierwsze pół roku istnienia naszą „konspirację” cechowało nastawienie psychiczne charakterystyczne dla spisku, tj. nastawienie na szybki efekt, wiara w to, że WRON-a albo lada dzień upadnie, albo będzie musiała zacząć pertraktacje.

To sobie uporządkowawszy, wróćmy do pytania o sens, o celowość dalszego istnienia konspiracji jako elementu ruchu oporu cywilnego.

Zacznę od uwag z obrzeża problematyki.

Po pierwsze, nie jest tedy prawdą, że obecną „konspirację” cechuje wyłącznie tendencja spadkowa. Występuje ona w sposób wyraźny, ale towarzyszą jej zjawiska świadczące o obecności nurtów przeciwnych: powstawanie nowych wydawnictw, nowych czasopism oraz nowych porozumień międzypokładowych, co jest szczególnie ważne tam, gdzie władze regionu zostały rozbite lub rozmyte (np. Małopolska). Jeśli nawet okaże się, że część nowopowstających tworców to efemerydy — a z góry można to założyć — i tak, mówiąc o tendencji spadkowej, winniśmy odnotować zjawiska przeciwstawne.

Po drugie, pomysł, że można zrezygnować z wszelkiej działalności „konspiracyjnej”, zachowując jedynie wydawnictwa, redakcje, „technikę” i kolportaż jest skrajnie naiwny. Gdyby komuś udało się taką ideę zrealizować, byłby to jedynie pierwszy krok w kierunku likwidacji wydawnictw. Prognoza, że TTK i istniejące jeszcze władze regionalne staną się sztabami bez armii może się okazać trafna tylko w dwóch przypadkach: albo wówczas, gdy społeczeństwo pogrąży się w całkowitej apatii, albo wskutek rażących błędów, a więc utraty autorytetu przez sztaby.

Po trzecie wreszcie, gdyby nawet TTK, Wałęsa, episkopat i w ogóle „wszyscy święci” wezwali do zawieszenia wszelkiej działalności nielegalnej w świetle obowiązującego prawa, a więc *de facto* wszelkiej „konspiracji” — co skądinąd trudno sobie wyobrazić — to i tak apel ten nie zostałby wysłuchany. Jedynym jego skutkiem — prócz radości „czerwonego” — byłoby niebotyczne zamieszanie i wyłanianie się nowych podziemnych struktur.

Uwagi powyższe nie dotyczą jednak samego rdzenia sprawy. Jeśli bowiem doszedłbym do wniosku, że wszelką „konspirację” należy choćby okresowo zawiesić, to powinienem to powiedzieć niezależnie od tego, że moje szanse na bycie wysłuchanym byłyby

znikome. Zastrzeżenie to czysto teoretyczne, bo wcale tak nie uważam.

Konspiracja istnieje nie dlatego, że ktoś lubi konspirować (ja, na przykład, zdecydowanie nie lubię) a dlatego, że ludzie wyznaczają sobie pewne cele, które uważają za godne poświęceń oraz dochodzą do wniosku, że w istniejących warunkach ku celom tym nie mogą inaczej zmierzać niż podejmując — zależnie od potrzeb — jawne względnie utajone działania sprzeczne z obowiązującym prawodawstwem.

Mam wrażenie, że nie popełnię błędu, jeśli powiem, że mimo wszystkie różnice jakie — dzięki Bogu — dzielą u nas konserwatystów od liberałów, endekoidów od demokratycznych socjalistów, wierzących od niewierzących, egalitarystów od zwolenników zróżnicowania społecznego, mimo wszystkie te różnice da się wyodrębnić zestaw wspólnych celów cywilnego ruchu oporu. By nie być gołosłownym, spróbuję ten zestaw nazwać.

A więc cel zasadniczy, choćby nie wiem jak odległy: odzyskanie suwerenności społeczeństwa i państwa.

Na jutro zaś, na pojutrze, na za tydzień, za rok :

1. zmiana najbardziej represyjnych i absurdałnych postanowień prawnych, w tym uwolnienie wszystkich więźniów politycznych połączone z możliwością bezwarunkowego ujawnienia się ukrywających się działaczy „Solidarności” i ugrupowań politycznych ;

2. legalizacja niezależnych organizacji społecznych, w tym różnych związków zawodowych (a nie tylko „Solidarności”) ;

3. reorganizacja gospodarki ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb rolnictwa ;

4. obrona wolności słowa, w tym wolności nauki ;

5. obrona faktycznej wolności sumienia — uzgodnione i respektowane, prawne rozdzielenie Kościoła od państwa ;

6. obrona interesów najuboższych grup społecznych — wyłączająca zasadę „równania w dół” ;

7. osiągnięcie tych celów w sposób możliwie minimalizujący koszty społeczne, tj. między innymi unikając anarchii, która musiałaby być tych celów zaprzeczeniem ;

8. jednoznaczne odżegnanie się od terrorystycznych metod działania.

W ramach tego możemy i powinniśmy się różnić oraz spierać, albowiem różnic nie ma jedynie na cmentarzu, a pełna zgodność poglądów cechuje, pono, krowy na pastwisku.

Jeżeli uznamy te cele za ważne i godne poświęceń, to wypada z kolei zadać pytanie, czy nie możemy odłożyć starań o ich realizację do czasu, gdy nastaną bardziej sprzyjające po temu warunki? No, chyba nie. A to dlatego, że zawieszając na kołku nasze działania, pogarszamy jedynie sytuację i sprawiamy, że perspektywa przychylnych okoliczności odsuwa się w jeszcze bardziej odległą przyszłość.

Wychodzi więc na to, że nie możemy zrezygnować z działań nielegalnych. A skoro tak, to musimy uznać, że potrzebne są nam różne formy działania niejawnego, w tym konspiracja w naczelnym znaczeniu tego pojęcia.

Narzuca się tu uwaga, że „Solidarność” nie jest organizacją, która w obecnych warunkach najlepiej nadaje się do działań nielegalnych. Takie też żywie przeświadczenie od ponad roku. W laboratorium, mając do czynienia z modelami pozorującymi, najlepiej byłoby włożyć „Solidarność” do lodówki. W rzeczywistości nie da się i nie należy tego robić. Faktyczny proces społeczny przebiegać będzie, a właściwie już dokonuje się w ten sposób, że w kraju pod nazwą „Solidarność” działają różne ugrupowania o niejednorodnym stanie „skupienia organizacyjnego”; uprawiają one różnorodną działalność, od samopomocowej poczynając a na politycznej kończąc. Grupy te łączy uznanie TTK i istniejących władz regionalnych za ośrodki zwierzchni. Przy czym oparte jest to nie tyle na łączności organizacyjnej, co na uznaniu autorytetu moralnego, do czego dobrze byłoby dodać mądrość istotnych decyzji politycznych. Otóż jednym ze źródeł tego autorytetu TTK jest właśnie fakt, że jej członkowie przebywają w podziemiu. Nie jest więc konspiracyjność Lisa czy Szumiejki jedynie zabiegiem technicznym. „Czerwony” dobrze wie co robi, usiłując wyciągnąć TTK z podziemia groźbą, prośbą a nawet mętną obietnicą zahandlowania wolnością „czwórki” i „siódemki”.

Ten rozproszony stan naszej „konspiracji” wynika przede wszystkim z warunków, w jakich działamy wszyscy. Ale wynika również — nazwijmy rzecz po imieniu — z tych elementów anarcho-syndykalizmu, które współtworzyły „Solidarność” od chwili jej powstania. I nie jest to rezultat niczyjego zamysłu a prosty skutek tego, że masowy ruch wyzwolenczy, w którym istotną rolę odgrywają robotnicy musiał w spontaniczny i w bezwiedny sposób zawierać składniki anarcho-syndykalizmu. Inaczej po prostu być nie mogło. Akurat nie jest tak, bym żywił dla anarcho-syndykalizmu szczególną sympatię. Uważam jednak, że komuniści są ostatnimi ludźmi, którzy mieliby jakie-

kolwiek prawo do zabierania głosu w tym przedmiocie — ciąży na nich krew tysięcy zamordowanych w Hiszpanii anarcho-syndykalistów. Już my polemizować z tendencjami anarcho-syndykalistycznymi — gdy uznamy to za potrzebne — będziemy sami, bez ich pomocy.

Każdy z nas wie, że taka „konspiracja” jest niesprawna i w wielu indywidualnych przypadkach zupełnie nie przystosowana do próby aresztu, śledztwa, więzienia. Sądzę, że zasięgowego nieprzystosowania można i należy zmniejszać, co więcej, uważam, że robiliśmy za mało w tym kierunku. Ale mimo wszystkie mankamenty taka „konspiracja” wydaje się być najlepszą formą względnie masowego oporu cywilnego. Na pewno nie powinna być i nie jest jedyną. Istnieją jednak wydawnictwa; niektóre z nich świeżo powstałe, inne o historii sięgającej czasów „dobrego Eda”. Istnieją jakieś załączki partii politycznych. Nie wiele na ich temat można powiedzieć, przede wszystkim dlatego, że na ogół ograniczają swoją działalność do opublikowania programu.

Wszystko to razem, cała ta „konspiracja” jest zjawiskiem w dziejach państw socjalistycznych bez precedensu. W 39 lat po ustanowieniu władzy komunistycznej, w kraju istnieje i działa względnie masowy, cywilny ruch oporu. Istnieje i działa od 22 miesięcy! Działa niesprawnie, popełnia błędy, często marnuje siły na czystą ekspresję emocji, ale istnieje, ale działa.

Metoda prób i błędów? Na szczęście metodą prób i błędów. Lepszej dotychczas ludzkość nie wymyśliła. Chyba, że ktoś wierzy w iluminacje polityczne. Ja nie. Ja jestem za tym, by objawienia pozostawić religii i poezji — to arcyważne sfery życia ludzkiego; moim zdaniem ważniejsze niż polityka.

A *à propos* prób — myślę, że w najbliższym czasie czekają nas trzy ciężkie. Wysoce prawdopodobne represje policyjne w listopadzie-grudniu (kara za to, że społeczeństwo się nie ujawniło). Styczniowa podwyżka cen (kara za to, że w swoim czasie zmusiliśmy komunistów do mówienia o reformie gospodarczej). Związane z tendencją spadkową w ruchu oporu zjawiska patologii społecznej, którą to próbę uważam za najpoważniejszą z wymienionych.

Obyśmy z tych prób wyszli przy najmniejszej ilości błędów.

Lwówek, wrzesień — 4 października 1983

O STRAJKU WŁOSKIM I...

Strajk włoski, do którego w połowie sierpnia wezwała „S” Stoczni Gdańskiej nie udał się i nie mógł się udać. Po prostu dlatego, że ten typ strajku daje się zauważyć w warunkach gospodarki rynkowej i musi przejść niepostrzeżenie w planowej gospodarce socjalistycznej. Jest to bowiem gospodarka oparta m.in. na permanentnym strajku włoskim. Jej istotą jest bałagan, niewydolność, brak kooperacji, notoryczny brak części zamiennych i niska wydajność pracy. Nie wiadomo zatem, czym miałyby się sytuacja w czasie strajku włoskiego różnić od tego, co dzieje się codziennie we wszystkich socjalistycznych zakładach pracy, instytucjach, urzędach od Władystoku do Hawany, a ściśle Managui.

Krótko mówiąc, rzucając hasło strajku włoskiego, Komisja Zakładowa „Solidarności” Stoczni Gdańskiej strzeliła byka. Poważnego o tyle, o ile świadczącego o tym, że w momencie podejmowania decyzji nasi koledzy-stoczniozcy najwyraźniej zapomnieli, w jakim ustroju żyjemy. Nie byłoby to jednak aż tak ważne, gdyby nie to co zdarzyło się potem.

Przypomnijmy kalendarium.

28 lipca TKK wydaje oświadczenie, w którym wzywa, by w dniu 31 sierpnia dać manifestacyjny wyraz temu, że „Solidarność żyje”. TKK proponuje by: a) w całym kraju przeprowadzić dwugodzinny bojkot komunikacji miejskiej; b) poszczególne ogniwa Związku zorganizowały obchody stosownie do własnych możliwości i doświadczeń. Obie propozycje rozsądne, a pierwsza szczególnie cenna. Jej realizacja była szkołą cywilnego nieposłus-

szeństwa. A dodajmy, że w kilku dużych miastach bojkot udał się nadspodziewanie dobrze.

8 sierpnia RKW „Mazowsze” popiera propozycje Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej.

W kilka dni później Wałęsa w jednym z wywiadów oświadcza, że zgadza się z propozycjami TKK, ale uważa je za zbyt skromne i że on ma swój plan, którego na razie nie może ujawnić. Nie było to może posunięcie najszcześniejsze, ale wciąż jeszcze pół biedy.

W połowie sierpnia „Solidarność” Stocznii Gdańskiej rzuca hasło strajku włoskiego „o ile do 22 sierpnia rząd nie przystąpi do rozmów”. Ponieważ było oczywiste, że „czerwony” do rozmów nie przystąpi i że strajk włoski — patrz wyżej — nie może się udać, przeto pomysł Stocznii należy uznać za niefortunny.

Zaraz potem i Bujak, i Wałęsa — niezależnie od siebie — popierają apel Stocznii, przy czym Bujak, według radia Paryż, motywuje to tym, że Stocznia jako kolebka „Solidarności” ma prawo proponować co zechce, niezależnie od TKK.

I w tym posunięciu naszych przywódców, w tej aprobacie dla ewidentnie złego pomysłu upatruję błąd najpoważniejszy, korzeniami sięgający pewnych złych tradycji Związku (bo przecież i takie były).

Każdemu może się zdarzyć, że wpadnie na kiepski pomysł. Ale przywódcy Związku nie powinni popierać pomysłów w oczywisty sposób chybionych, tylko dlatego, że zrodziły się w historycznym miejscu lub dlatego, że brzmią radykalnie. A na dodatek nie powinni sprawiać wrażenia, że boją się zostać przelicytowani. „To by było na tyle”.

Wpada mi dodać jedno wyjaśnienie.

Istnieje pogląd, że w ramach podziemnego społeczeństwa cywilnego TKK i „Walezy” powinni być wyłączeni spod publicznej krytyki. No, bo członków TKK poszukuje ubecja, a Walezego krytykuje „czerwony”. Nie zauważyłem, by komuniści krytykowali Wałęsę. Owszem, starają się go obrazić, oczernić, oplusknąć. Ale przecież tego co pisze *Żołnierz Wolności* czy *Trybuna Ludu* nie można nazwać krytyką. Chyba, że w nowomowie. Nie widzę jednak powodu, dla którego mielibyśmy posługiwać się językiem władzy. Ja przynajmniej staram się pisać normalną polszczyzną. Tego, iż skrytykowanie w prasie „podziemnej”, Bujaka (czy Lisa, czy Szumiejki) nijak się nie ma do faktu, iż są oni poszukiwani przez bezpiekę nie będę

tłumaczył, bo skoro ktoś nie rozumie tego sam, to wątpliwe, by można mu było to wyjaśnić.

Oczywiście mogę nie mieć racji, gdy chodzi o meritum poruszonych tu spraw... Czekam na argumenty. Mnie tam na pewno wolno krytykować.

Lwówek, wrzesień 1983

MOIM ZDANIEM...

Rakowski show

Siedem lat temu, pisząc o zachowaniu ekipy Gierka, użyłem określenia „wielkochamska buta”. W rezultacie zabrakło mi słów, by nazwać to, co pokazał wicepremier, doktor Rakowski w Stoczni Gdańskiej. Zachowanie wicepremiera, doktora Rakowskiego (nie jest on doktorem żadnej honorowej sprawy, co — niepytany — sam słusznie podkreślił) to rezultat zdumiewającej mieszaniny: demoralizacji jako rezultatu dziesięcioleci udziału w elicie władzy komunistycznej, złego aktorstwa, wysokiego mniemania o sobie, hysterii, arogancji. Można powiedzieć, że wicepremier dobrze zasłużył sobie na opinię jaką się cieszy. (Cieszy?) No, ale mniejsza o osobę. W decyzji pokazania nam wicepremiera w Stoczni zastanawia mnie jedno.

Traktując rzecz w kategoriach czystej socjotechniki, rozumiem, że może istnieć władza, która nie chce być ani szanowana, ani lubiana, ani przychylnie czy choćby obojętnie tolerowana — a po prostu chce, by się jej bano. Rozumiem, że istnieje władza, która żyje z „obcinania kuponów” po Stalinie i Bierucie, po Budapeszcie i interwencji w Czechosłowacji. Być może — nawet bardzo być może — władza ta nie ma innej możliwości, niż właśnie żyć z obcinania takich kuponów. Ale władza, która chce by się jej bano musi być poważna.

A jeśli tak, to po co i dlaczego pokazano nam w telewizji cały ten spektakl?

4 września 1983

Moim zdaniem...

Przeświadczenie, że komunistyczne statystyki są nieprawdziwe, bo fałszowane, jest raczej powszechne. W postaci przedstawionej powyżej sąd ten jako ogólnikowy może być i bywa źle rozumiany. Oto bowiem część ludzi uważa, iż komuniści fałszują prawdziwe dane statystyczne dotyczące stanu gospodarki, szpitalnictwa, budżetu MSW, polityki wydawniczej itd., itp. Tak rozumując, zakłada się, że w kraju socjalistycznym, ktoś tam, gdzieś tam w głębokim ukryciu przechowuje prawdziwe statystyki, z których kiedyś można będzie skorzystać. Złudzenie. Prawdziwymi danymi liczbowymi w kraju socjalistycznym nie dysponuje nikt. Nie istnieje również żaden generalny plan, według którego statystyki byłyby fałszowane. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek, w oparciu o oficjalne dane, usiłował uzyskać zborny zestaw danych dotyczących dowolnej dziedziny życia w przeciągu, powiedzmy, pięciu lat. Nic się tu nigdy nie trzyma kupy, wszystko jedno czy chodzi o zbiory rzepaku, nakłady prasy czy ilość osób pozbawionych wolności.

Upstrzone statystykami czy choćby pojedynczymi danymi liczbowymi referaty ministrów, sekretarzy, generałów, ministrów i pryncypałów przygotowywane są przez anonimowych pomagierów, którzy o prawdziwość czy zorność statystyki nie mogą dbać, nawet gdyby chcieli. A nie chcą, bo i niby dlaczego miałyby im na tym zależeć. Ważne jest, by brzmiało. A czy ma sens — kogo to obchodzi?

Np. na konferencji prasowej w dniu 5 września min. Urban podał, że „po wydarzeniach z 31 sierpnia i 1 września” w całym kraju zatrzymano 1.472 osoby.

Zażółmy na chwilę, że liczba ta jest prawdziwa i zapytajmy, o czym miałyby ona świadczyć?

A no o niczym, jeśli nie liczyć faktu, iż komunistyczny minister uważa zatrzymywanie przez milicję demonstrantów za coś zrozumiałego samo przez się. W kraju socjalistycznym, rzecz jasna. Niechby RFN-owska policja zatrzymała 1.472 demonstrujących niemieckich pacyfów, a minister zaśpiewałby niczym wilk do księżyca.

Ale wróćmy do Polski. Należałoby zapytać, w jakiej proporcji zatrzymywani byli demonstranci. No, bo jeśli co trzeci, to demonstrantów było niewielu, ale za to zakres represji był pokazny. A jeśli co setny lub nawet co dwusetny, to wynikałoby

z tego, że władzę mamy względnie łagodną, ale jakoś dużo demonstrantów.

Szczególnie jeśli zważyć, że ani TKK, ani władze regionalne „Solidarności” nie wzywały do organizowania wielkich pochodów.

11 września 1983

Moim zdaniem...

Na początku bieżącego lub pod koniec ubiegłego roku ekipa specjalistów KGB pracowała nad sporządzeniem falsyfikatu: taśmy, na której utrwalono rzekomą rozmowę pani Thatcher z prezydentem Reaganem. Chodziło o „obnażenie” nie pamiętam jakich to wrednych zamiarów wymienionej pary. Chłopcy z KGB starali się jak mogli i taśma udała się nad wszelki podziw. Po prostu cyscuś. Wiosną, w okresie kampanii wyborczej w Wielkiej Brytanii taśmę podrzucono prasie holenderskiej, uruchomiono też odpowiednich pacyfów oraz postępowych postępców i zrobiła się sensacja na całe trzy dni. A może cztery. Rezultat jednak był żaden: jak wiadomo, pani Thatcher wygrała wybory. Niemniej zachodni specjaliści, po szczegółowej analizie, uznali taśmę za falsyfikat wysokiej jakości czyli falsyfikat ze znakiem „Q”.

Na początku bieżącego a może pod koniec ubiegłego roku dobrana ekipa specjalistów z SB pracowała nad sporządzeniem falsyfikatu: videotaśmy, na której utrwalono rzekomą rozmowę braci Wałęsów. Chodziło, rzecz jasna, o „obnażanie”... Chłopcy z SB czniali jak mogli — a mogli — i taśma wyszła taka więcej ch...wa. Rezultat był żaden, następnego dnia po puszczeniu numeru w TV, w dniu, w którym prasa opublikowała ów „obnażający” tekst, Walezy został owacyjnie powitany na stadionie przez tłum kibiców piłkarskich przybyłych na mecz Iuventus — Lechia. Specjaliści i nie specjaliści po obejrzeniu programu TV oraz przeczytaniu tekstu w środowej prasie uznali taśmę za falsyfikat żenująco nieudany czyli falsyfikat ze znakiem „rwa”.

Morał z tego zestawienia dwóch historyjek płynie taki, że w socjalizmie nie warto się starać, bo i tak w rezultacie wyjdzie z tego chała.

Przyznaję, że nie jest to odkrycie rewelacyjne, tyle że tym razem zilustrowane przykładami zaczerpniętymi z życia wyższych sfer policyjnych.

30 września 1983

Moim zdaniem...

Z niejakim zdumieniem, spojrzawszy na kalendarz, uświadomiłem sobie, że wkroczyliśmy na tereny rocznicy „polskiego października”. Dwudziestą siódmą, by być dokładnym. Zajrzałem następnie do gazet i stwierdziłem, że jak na razie w KC i GZP też o tym zapomniano.

Zabawne; a tak chwałę się Gomułką. Wypadałoby więc wspomnieć, że 27 lat temu „towarzysz Wiesław” ponownie stanął na czele partii. Pamiętali o tym, że od poprzedniego plenarnego Ideolo minęło dwadzieścia lat i że tamto też było XIII, a o Gnomie ani słowa. Może się jeszcze poprawią. Ciekawe, co też w tym przypadku napiszą?

Na usprawiedliwienie powiedzieć można, że z ichniego punktu widzenia sytuacja nie jest wygodna. Ta partia ma, jak wiadomo, fatalną historię. Dosłownie — jak nie urok, to przemarsz wojsk sowieckich. Albo groźba przemarszu, niczym wystający z rękawa as. Więc o czym tu pisać? Że na VIII plenum partia dokonała „dogłębnej samokrytyki” i solennie przyrzekła, iż więcej nie będzie? Że do Warszawy zjechali — dość nagle — goście z Moskwy (a może to nie byli goście, lecz faktyczni władarze)? Nawet o „polskiej drodze do socjalizmu” nie bardzo można dziś wspomnieć, bo okazało się, że jest to droga wiodąca. Do marca 68 i grudnia 70. Co zresztą było, z grubsza, do przewidzenia. Ale to inna sprawa. Można by oczywiście napisać o 56 r. — o manifestacji poznańskiej, o masowych wiecach zwoływanych bez pozwolenia, o rozwiązywaniu spółdzielni produkcyjnych. Ostatecznie można by — choć intelektualnie rzecz biorąc, był to epizod żenujący — napisać o rewizjonizmie. A także o tym, że dziesiątki tysięcy ludzi dało się nabrać — bo to też należy do prawdy o 1956 r. No, ale chyba nikt nie oczekuje od *Trybuny*, *Żołnierza* czy *Rzeczypospolitej*, że nagle zaczną pisać prawdę. Więc podejrzewam, że o tej rocznicy będzie albo w ogóle głucho, albo zostaniemy poczęstowani maleńkim, cichym bełkotem. No, a mały, cichy bełkot zawsze lepszy od dużego i głośnego.

W okolicach 1963 r. wpadłem na pomysł napisania czegoś pod tytułem „Październik czyli klęska”, ale nigdy nie starczyło mi energii na zrealizowanie tej idei. Minęły lata — trudno powiedzieć dużo czy mało, bo to zależy jak patrzeć — i oto z artykułu zrobił się skromny, pogrzebowy felieton złożony u stóp szafy, w której ukryto zwłoki „polskiego października”.

21 października 1983

Moim zdaniem...

Dwa razy w tygodniu, przez cały bodaj październik, RWE nadawało książkę Stanisława Barańczaka o poezji Herberta. Nie znam wszystkich odcinków a i te, których słuchałem nie zawsze były słyszalne. To, co dotarło do mnie podobało mi się niezwykle. Z radością też dowiedziałem się, że książka ukaże się w Stanach po angielsku. Żywię nadzieję, że Barańczak znajdzie polskich wydawców — w kraju i zagranicą.

Tyle miodu. A teraz dziegieć.

W piątym numerze *Wezwania* ukazała się recenzja tegoż autora z wydanej na Zachodzie i w Polsce antologii „Poezja stanu wojennego”. Nie czytałem tej książki i, choć znam część wierszy, o których pisze Barańczak, nie będę się z nim spierał. Muszę mu natomiast powiedzieć co następuje.

Szanowny i miły Panie! Pół biedy, że ja, bo w końcu może jestem głuchy, ale nie znam człowieka, który byłby innego zdania niż to, że poza nielicznymi wyjątkami, poezja stanu wojennego pełna jest ponurej, martyrologicznej grafomanii. Podejrzewam, iż jest to również opinia przynajmniej niektórych redaktorów czasopism literackich drugiego obiegu. (Opowiadano mi — nie wiem czy to prawda — że za poezję *sensu stricto* nie uważa swych wierszy wojennych Krynicki.) Dlaczegoż więc redaktorzy drukują? Zapewne uważają, że obowiązkiem ich jest „ocalić od zapomnienia” ulotną, okolicznościową poezję lat 82/83. A także dlatego, że w warunkach społecznych powołujących do życia tego rodzaju wierszowanie, jest ono zawsze drukowane. Pewnie więc redaktorzy mają swoje racje, choć ja wolałbym, by wiersze te wydawano, z myślą o przyszłych badaczach, w znikomym nakładzie i by poprzeczkę poezji w czasopismach literackich uniesiono nieco powyżej dna. Mam nadzieję, że do tego dojdzie, a nawet dostrzegam pierwsze oznaki poprawy.

Skądinąd obaj — a Pan na pewno lepiej — wiemy, że okolicznościowa poezja ulotna zawsze była i pewnie musi być kiepska. Jasiński (Jakub) jest wyjątkiem — nie regułą. Sam tedy fakt, że większość utworów okolicznościowych powstałych po 13 grudnia to złe i bardzo złe wiersze, uznać wypada za coś „naturalnego”. Zawiadamiam Pana, że w kraju panuje wokół tego kulturalne milczenie ludzi zażenowanych. Nie przerywałbym milczenia, gdyby nie fakt, że uderzył Pan w tak wysokie, pochwalne tony. Łączę wyrazy niekłamanej sympatii.

22 października 1983

L.

SPIS RZECZY

<i>Od Wydawcy</i>	7
<i>Wyznania jawne i ukryte</i>	9
<i>Uwagi na marginesie</i>	19
<i>Alternatywa</i>	34
<i>Po co partii potrzebna jest partia?</i>	41
<i>Uwagi — polemiki — uwagi</i>	65
<i>Chaotyczne i nieprzyjemne</i>	75
<i>Dwa okresy</i>	85
<i>Mundury i garnitury</i>	87
<i>Aleksander Smolar i Seweryn Blumsztajn — Paryż</i>	94
<i>Widzieć jasno i bez zachwycenia</i>	97
<i>Głos w dyskusji „Głosu”</i>	99
<i>Łyżka dziegciu dla śpiącej królowny</i>	103
<i>Moim zdaniem</i>	105
<i>Materia arcydelikatna</i>	127
<i>Czworobok</i>	137
<i>O strajku włoskim i...</i>	154
<i>Moim zdaniem</i>	157

A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 1 9 D E C E M B R E 1 9 8 3
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1983.

for G.T. Hughes et
Alwa

